

MUSAB HASAN JUSUF

RON BRACKIN

SYN HAMASU

Son of Hamas:

A Gripping Account of Terror, Betrayal, Political Intrigue, and Unthinkable Choices

Tłumaczenie

Anna Kurzepa



Książkę tę dedykuję
Memu ukochanemu Ojcu i najdroższej Rodzinie
Wszystkim ofiarom konfliktu palestyńsko-izraelskiego
Każdemu istnieniu ludzkiemu, które uratował mój Bóg

Moi najbliżsi, jestem z Was bardzo dumny. Tylko Bóg wie, przez co przeszliście. Zdaję sobie sprawę, że zadałem Wam głęboką ranę, która być może nie zagoi się w tym życiu i której zawsze towarzyszyć będzie poczucie wstydu.

Mogłem być bohaterem, dumą mego narodu. Wiem, jakiego bohatera życzyliby sobie rodacy - liczyli na bojownika, który poświęci życie i rodzinę dla dobra ogółu. Nawet gdybym zginął, opowiadano by o mnie następnym pokoleniom i zawsze pielęgnowano by pamięć o moich zasługach.

Zamiast tego wśród moich rodaków uchodzę dziś za zdrajcę. Kiedyś byłem Waszą chlubą, a teraz się za mnie wstydzicie. Kiedyś byłem księciem z królewskiego rodu, teraz jestem cudzoziemcem w obcym kraju, który zmaga się z samotnością i niepewnością.

Proszę, zrozumcie, to nie Was zdradziłem, lecz Wasz sposób pojmowania bohaterstwa. Pokój zapanuje tylko wtedy, gdy narody Bliskiego Wschodu - zarówno Żydzi, jak i Arabowie - przejrzą na oczy i przestaną się nienawidzić.

Wiem, że swymi wyborami skazałem się na los wyrzutka, ale jestem gotowy zapłacić tę cenę. Mój Pan też został odrzucony przez swój naród, choć zbawił świat od kary piekła. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, lecz nie ma we mnie strachu. Chciałbym podzielić się z Wami czymś, co pozwoliło mi przetrwać aż do tej pory: cały ten bagaż winy i wstydu, który nosiłem przez ostatnie lata, to niewygórowana cena, jeśli może uratować choć jedno niewinne życie.

Ilu ludzi doceni to, co zrobiłem? Pewnie niewielu, ale to nic. Wierzyłem, że postępuję słusznie, i nadal tak uważam. To przekonanie jest źródłem wewnętrznej siły, która pomaga mi pokonywać kolejne etapy mojej życiowej podróży. Każda uratowana kropla niewinnej krwi daje mi nadzieję i motywuje, by wytrwać aż do końca.

Wszyscy zapłaciliśmy już wysoką cenę, a jednak ciągle napływają nowe rachunki wojny i pokoju. Niech Bóg będzie z nami i wesprze nas, byśmy zdołali unieść ten wielki ciężar.

Kocham Was -
Wasz syn

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	3
OD AUTORA	5
PRZEDMOWA	6
1 W POTRZASKU.....	9
2 DRABINA WIARY	12
3 BRACTWO MUZUŁMAŃSKIE	18
4 KAMIENIE ZOSTAŁY RZUCONE	24
5 PRZETRWAĆ.....	31
6 POWRÓT BOHATERA	36
7 RADYKAŁ	40
8 PODSYCANIE PŁOMIENI	44
9 KARABINY.....	53
10 RZEŹNIA.....	58
11 PROPOZYCJA.....	65
12 NUMER 823	73
13 NIE UFAJ NIKOMU	79
14 BUNT	86
15 DROGA DO DAMASZKU	92
16 DRUGA INTIFADA.....	102
17 KONSPIRACJA.....	110
18 POSZUKIWANY.....	119
19 BUTY.....	125
20 DYLEMAT	132
21 GRA	138
22 TARCZA OCHRONNA	146
23 W RĘKACH OPATRZNOŚCI.....	153
24 ARESZT PREWENCYJNY	159
25 SALIH	167
26 WIZJA DLA HAMASU	176
27 POŻEGNANIE.....	183

EPILOG.....	191
POSTSCRIPTUM.....	194
NAJWAŻNIEJSZE OSOBY.....	198
SŁOWNICZEK.....	202
CHRONOLOGIA WYDARZEŃ.....	206
PRZYPISY	208

OD AUTORA

Czas ma naturę sekwencyjną - jest jak nić rozciągająca się od narodzin aż po śmierć.

Jednak wydarzenia składające się na nasze życie przypominają raczej perski dywan - tysiące wielobarwnych nitek splecionych w misterne wzory i obrazy. Próbować umieścić wydarzenia w porządku czysto chronologicznym to jakby wypruć z dywanu poszczególne nitki i ułożyć je koło siebie. Może tak byłoby prościej, ale stracilibyśmy z oczu piękny wzór.

Wypadki przedstawione w tej książce opisałem najlepiej, jak pamiętam, odtwarzając je ze wspomnień burzliwego życia na Terytoriach Okupowanych i splatając ze sobą odpowiednio w zależności od tego, czy następowały kolejno po sobie, czy też rozgrywały się równolegle.

Aby dać Czytelnikowi jakiś punkt odniesienia i uporządkować arabskie nazwiska i terminy, zamieściłem na końcu krótką chronologię oraz słownik i listę kluczowych postaci.

Ze względów bezpieczeństwa celowo pomiąłem większość szczegółów w opisach tajnych operacji realizowanych przez izraelską służbę bezpieczeństwa Szin Bet. Zależało mi na tym, by ujawnione informacje nie zaszkodziły toczącej się obecnie globalnej wojnie z terroryzmem, w której wiodącą rolę odgrywa Izrael.

I wreszcie *Syn Hamasu* - jak cały Bliski Wschód - jest historią, która ma swój dalszy ciąg. Zapraszam do odwiedzenia mojego blogu na stronie www.synhamasu.pl, gdzie dzielę się przemyśleniami na temat ważnych wydarzeń w regionie. Piszę także na bieżąco o tym, jak Bóg posługuje się tą książką, czego dokonuje w mojej rodzinie i dokąd mnie dzisiaj prowadzi.

Musab Hasan Jusuf

PRZEDMOWA

Pokój na Bliskim Wschodzie jest świętym Graalem, którego już od ponad pięćdziesięciu lat poszukują dyplomaci, przywódcy rządów i prezydenci państw. Każda nowa postać na światowej scenie politycznej uważa się za powołaną do tego, by rozwiązać konflikt arabsko-izraelski. I każda z nich ponosi druzgocącą porażkę, dokładnie tak jak wszyscy poprzednicy.

Niewielu ludzi Zachodu potrafi choćby w niewielkim stopniu zrozumieć całą złożoność Bliskiego Wschodu i jego narodów, jednak ja dostrzegam istotę problemu dzięki temu, że mam wyjątkową perspektywę. Jestem bowiem synem tego regionu i tego konfliktu. Jestem dzieckiem islamu i synem człowieka oskarżanego o terroryzm. Ale jestem także uczniem Jezusa Chrystusa.

Zanim skończyłem dwadzieścia jeden lat, widziałem rzeczy przygnębiające i przerażające: skrajną nędzę, nadużycia władzy, tortury i śmierć. Obserwowałem pozakulisowe poczynania bliskowschodnich przywódców, znanych na całym świecie z czołówek gazet. Miałem dostęp do najwyższych szczebli Hamasu i uczestniczyłem w tak zwanej intifadzie. Byłem przetrzymywany w cieszącym się najgorszą sławą izraelskim więzieniu. Jednak podjęte przeze mnie wówczas decyzje uczyniły mnie zdrajcą w oczach ludzi, których kochałem.

Moja niezwykła podróż dała mi dostęp do pilnie skrywanych tajemnic. Na kartach tej książki odsłaniam niektóre z nich, opisując wydarzenia i powiązania, które do tej pory znane były tylko nielicznym, ukrytym w cieniu postaciom.

Ujawnienie tych faktów prawdopodobnie odbije się głośnym echem w różnych rejonach Bliskiego Wschodu, ale mam nadzieję, że rodzinom wielu ofiar tego niekończącego się konfliktu przyniesie ukojenie i pomoże przezwyciężyć ból po doznanej stracie.

Obecnie mieszkam w Ameryce i często słyszę liczne pytania zadawane przez Amerykanów na temat konfliktu arabsko-izraelskiego. Jednak mieszkańcy Zachodu nie uzyskują adekwatnych odpowiedzi i nie mają dostępu do rzetelnych informacji. Są to między innymi następujące pytania:

- Dlaczego ludzie na Bliskim Wschodzie nie mogą po prostu żyć razem w spokoju?
- Kto ma rację - Izraelczycy czy Palestyńczycy?

- Do kogo naprawdę należy ta ziemia? Dlaczego Palestyńczycy nie przeniosą się po prostu do innych krajów arabskich?
- Dlaczego Izrael nie chce oddać terenów i mienia zagarniętego w czasie wojny sześciodniowej w 1967 roku?
- Dlaczego tylu Palestyńczyków ciągle przebywa w obozach dla uchodźców? Dlaczego nie mają własnego państwa?
- Dlaczego Palestyńczycy tak strasznie nienawidzą Izraela?
- Jak Izrael ma się bronić przed zamachowcami samobójcami i ciągłymi atakami raketowymi?

To dobre pytania, ale żadne z nich nie dotyka sedna problemu. Obecny konflikt swymi korzeniami sięga aż do animozji między Sarą i Hagar opisaną w biblijnej Księdze Rodzaju. Jednak aby zrozumieć uwarunkowania polityczne i kulturowe, wystarczy odnieść się do następstw I wojny światowej.

Po zakończeniu wojny terytoria palestyńskie, które od stuleci były domem dla Palestyńczyków, znalazły się w obrębie mandatu Wielkiej Brytanii. Rząd brytyjski miał nową wizję dla tych terenów, którą sformułowano w Deklaracji Balfoura z 1917 roku: „Rząd Jego Królewskiej Mości przychylnie zapatruje się na ustanowienie w Palestynie domu dla narodu żydowskiego”.

Terytoria palestyńskie zalała fala setek tysięcy imigrantów żydowskich, głównie z Europy Wschodniej, zachęconych przez rząd brytyjski. Starcia między Arabami i Żydami były nieuchronne.

Państwo Izrael powstało w 1948 roku, natomiast terytoria palestyńskie pozostały terytoriami bez ustanowionej państwowości. Gdy nie ma konstytucji, która zapewniałaby podstawy ładu i praworządności, najwyższym autorytetem staje się prawo religijne. A kiedy każdy może interpretować i egzekwować prawo tak, jak mu się podoba, pojawia się chaos. Dla świata zewnętrznego konflikt bliskowschodni wygląda jak zawody w przeciąganiu liny nad skrawkiem ziemi. Ale prawdziwy problem polega na tym, że nikt jeszcze nie zrozumiał... na czym polega prawdziwy problem. W rezultacie negocjatorzy - od Camp David do Oslo - wciąż nastawiają ręce i nogi pacjenta chorego na serce.

Nie napisałem tej książki dlatego, że uważam się za mądrzejszego od wielkich autorytetów, politologów i decydentów. Wierzę jednak, że Bóg dał mi wyjątkową perspektywę, umieszczając mnie po różnych stronach pozornie nierozwiązywalnego konfliktu. Moje życie zostało podzielone tak jak ten osobliwy kraj nad Morzem Śródziemnym

nazywany przez jednych Izraelem, przez drugich Palestyną, a przez innych - Terytoriami Okupowanymi.

Na kolejnych stronach zamierzam przedstawić prawdziwy przebieg wielu głośnych wydarzeń, ujawnić kilka tajemnic i - jeśli mi się uda - pozostawić Czytelnika z nadzieją, że to, co dziś wydaje się nieosiągalne, kiedyś może się ziszczyć.

1

W POTRZASKU

1996

Moje małe białe subaru pewnie pokonało niebezpieczny zakręt na wąskiej ulicy prowadzącej do autostrady pod Ram Allah na Zachodnim Brzegu Jordanu. Lekko naciskając hamulec, powoli zbliżałem się do jednego z niezliczonych punktów kontrolnych rozsianych gęsto na drogach łączących tę okolicę z Jerozolimą.

- Zatrzymaj się! Wyłącz silnik! - krzyknął ktoś łamanym arabskim.

Niespodziewanie zza krzaków wyskoczyło sześciu izraelskich żołnierzy. Otoczyli mój samochód. Każdy z nich trzymał karabin wymierzony prosto w moją głowę.

Serce podeszło mi do gardła. Zatrzymałem samochód i wyrzuciłem kluczyki przez okno.

- Wsiadaj! Wsiadaj!

Nie czekając, jeden z żołnierzy szarpnął za drzwi, złapał mnie i rzucił na ziemię. Ledwie zdążyłem osłonić głowę, gdy zaczęli mnie kopać. Próbowałem ochraniać twarz, ale ich ciężkie buty zaraz znajdowały inne cele: żebra, nerki, plecy i szyję.

Dwóch żołnierzy podniosło mnie i zawlokło do punktu kontrolnego. Tu, za cementową barykadą, pchnęli mnie na kolana. Ręce skrupowali mi z tyłu plastikową opaską zaciskową o ostrych zębach, zapinając ją zdecydowanie za mocno. Jeden z żołnierzy zawiązał mi oczy i wepchnął mnie na tył dżipa. Byłem przerażony. Zastanawiałem się, dokąd mnie zabierają i jak długo to potrwa. Miałem zaledwie osiemnaście lat i tylko kilka tygodni dzieliło mnie od końcowych egzaminów szkolnych. Co się ze mną stanie?

Po kilkunastu minutach samochód się zatrzymał. Jeden z żołnierzy wyprowadził mnie na zewnątrz i rozwiązał mi oczy. Mrużąc je w oślepiającym słońcu, zorientowałem się, że jesteśmy w izraelskiej bazie wojskowej Ofer. Był to jeden z największych i najlepiej chronionych obiektów militarnych na Zachodnim Brzegu Jordanu.

W drodze do głównego budynku mineliśmy kilka czołgów przykrytych brezentem. Te monstrualne kopce zawsze mnie intrygowały, kiedy widywałem je z drugiej strony bramy. Wyglądały jak gigantyczne głazy.

Zaprowadzono mnie do lekarza, który rzucił na mnie okiem - najwyraźniej chciał

sprawdzić, czy wytrzymam przesłuchanie. Wynik musiał być pozytywny, bo po chwili znów miałem kajdanki na rękach i opaskę na oczach. I znów wepchnięto mnie do dżipa.

Kiedy próbowałem skulić ciało w niewielkiej przestrzeni przeznaczonej na nogi pasażerów, tęgi żołnierz przycisnął mi biodro butem i wbił w moją pierś lufę karabinu M16. Duszący odór benzyny snuł się nad podłogą pojazdu i utrudniał oddychanie. Gdy tylko próbowałem zmienić pozycję, lufa karabinu jeszcze bardziej zagłębiała się w moją klatkę piersiową.

Nagle moje ciało przeszył przenikliwy ból, a palce u nóg odruchowo się skurczyły. Poczułem, jakby w głowie wybuchła mi rakietka. Uderzenie zostało zadane z przedniego siedzenia. Zorientowałem się, że to jeden z żołnierzy wymierzył mi cios kolbą karabinu.

Zanim zdążyłem się zasłonić, uderzył ponownie - jeszcze mocniej.

Tym razem w oko. Próbowałem uniknąć ciosów, ale żołnierz, któremu służyłem za podnózek, pociągnął mnie w górę.

- Nie ruszaj się, bo cię zastrzelę! - wrzasnął.

Jednak nie umiałem zapanować nad odruchami. Za każdym razem, gdy jego kolega uderzał, bezwiednie cofałem się przed ciosem.

Moje oko zaczynało puchnąć pod szorstką opaską, twarz zdrętwiała. Krew w nogach przestała krążyć, ledwie łapałem oddech. Nie znałem dotąd takiego bólu. Ale jeszcze gorsza od fizycznego cierpienia była przerażająca świadomość, że jestem zdany na łaskę bezlitosnej, brutalnej i nieludzkiej siły. Próbowałem zrozumieć motywy swoich prześladowców, jednak miałem zamęt w głowie. Można walczyć i zabijać z nienawiści, wściekłości, zemsty czy konieczności, ale ja w niczym im nie zawiniłem. Nie stawiałem oporu. Zrobiłem wszystko, co kazali. Nie stanowiłem dla nich zagrożenia - skrupowany, nieuzbrojony, z zawiązanymi oczami. Co siedziało w tych ludziach, że zadawanie mi bólu sprawiało im taką przyjemność? Nawet najdziksze zwierzę nie zabija dla rozrywki.

Zastanawiałem się, jak na wiadomość o moim zatrzymaniu zareaguje matka. W tym czasie ojciec siedział już w izraelskim więzieniu, więc przejąłem rolę głowy rodziny. Czy będą mnie trzymać w areszcie miesiącami, latami... tak jak jego? A jeśli tak, to jak mama sobie beze mnie poradzi? Zaczynałem rozumieć, co musiał czuć tata - jak martwił się o rodzinę i cierpiał, wiedząc, że się o niego boimy. Kiedy wyobraziłem sobie twarz mamy, łzy napłynęły mi do oczu.

Zastanawiałem się także, czy wszystkie lata spędzone w szkole średniej pójdą na marne. Jeśli rzeczywiście zmierzam do izraelskiego więzienia, nie przystąpię w przyszłym miesiącu do egzaminów końcowych. Padały kolejne ciosy, a w mojej głowie kłębiły się

pytania: *Dlaczego mi to robicie? W czym wam zawiniłem? Nie jestem terrorystą! Jestem jeszcze dzieckiem! Dlaczego tak strasznie mnie bijecie?*

Kilka razy zemdląłem, a gdy przytomność wracała, ciągle leżałem pomiędzy bijącymi mnie żołnierzami. Nie byłem w stanie uniknąć ciosów, mogłem jedynie wyć z bólu. Poczułem, jak żółć podchodzi mi do gardła, zakrztusiłem się i zwymiotowałem.

Zanim na dobre straciłem przytomność, ogarnął mnie potworny smutek. Czy to już koniec? Czy teraz umrę... zanim zacząłem naprawdę żyć?

2

DRABINA WIARY

1955-1977

Nazywam się Musab Hasan Jusuf.

Jestem najstarszym synem szajcha Hasana Jusufa, jednego z siedmiu założycieli organizacji Hamas. Urodziłem się na Zachodnim Brzegu Jordanu w miejscowości Ram Allah i należę do jednej z najbardziej religijnych rodzin islamskich na Bliskim Wschodzie.

Ta historia rozpoczyna się od mojego dziadka, szajcha Jusufa Dawuda, który był przywódcą religijnym - imamem - w wiosce o nazwie Al-Dżanija. Osada ta znajduje się w części Izraela znanej z Biblii jako Judea i Samaria.

Uwielbiałem dziadka. Kiedy mnie przytulał, jego miękka biała broda łaskotała mnie w policzki. Mogłem godzinami słuchać, jak słodkim głosem śpiewa *azan* - muzułmańskie wezwanie do modlitwy, które powtarza się pięć razy w ciągu dnia. Dobrze śpiewać *azan* i recytować Koran to sztuka, a mój dziadek był w tym prawdziwym artystą. Śpiew niektórych muezinów irytował mnie do tego stopnia, że miałem ochotę zatkać uszy watą. Ale dziadek był niezwykle żarliwym człowiekiem - kiedy śpiewał, wprowadzał słuchaczy głęboko w znaczenie *azanu*. Wierzył w każde jego słowo.

W czasach gdy Al-Dżanija znajdowała się pod jurysdykcją Jordanii i pod okupacją izraelską, mieszkało w niej około czterystu osób. Polityka właściwie dla nich nie istniała. Niewielka osada, wtulona między łagodnie falujące wzgórza kilka kilometrów na północny zachód od Ram Allah, była spokojnym i pięknym miejscem. Gdy zachodziło słońce, wszystko wokół nasycalo się odcieniami różu i fioletu. Oddychało się tu czystym powietrzem - tylko jeden mieszkaniec Al-Dżanii miał samochód. Przy dobrej widoczności z niektórych pagórków można było dostrzec wybrzeże Morza Śródziemnego.

Codziennie o czwartej rano mój dziadek był już w drodze do meczetu. Po zakończeniu porannych modlitw brał swego osiołka i szedł w pole. Uprawiał ziemię, pielęgnował drzewka oliwne i pił świeżą wodę ze źródła na zboczu góry.

W domu dziadek stale przyjmował kolejnych gości. Nie był tylko imamem - mieszkańcy wioski traktowali go jak alfę i omegę. Błogosławił każde nowo narodzone dziecko, szepecząc mu do ucha *azan*. Gdy ktoś umarł, dziadek obmywał i namaszczał ciało, a

potem zawijał je w pogrzebowy całun. Odprawiał śluby i pogrzeby.

Mój ojciec, Hasan, był jego ukochanym synem. Już jako mały chłopiec regularnie chodził z dziadkiem do meczetu, mimo że nie miał jeszcze takiego obowiązku. Żaden z jego braci nie dorównywał mu w religijnej gorliwości.

Hasan nauczył się śpiewać azan przy boku swego ojca. Odziedziczył po nim głos i pasję, które porywały ludzi. Dziadek był z niego bardzo dumny. Gdy tata skończył dwanaście lat, dziadek zwrócił się do niego:

- Hasanie, widzę, że poważnie traktujesz Boga i islam. Dlatego pošlę cię do Jerozolimy, abys tam uczył się szariatu.

Szariat to islamskie prawo religijne regulujące sprawy życia codziennego, od rodziny i higieny aż po politykę i ekonomię. Jednak polityka i ekonomia wcale nie interesowały Hasana. Chciał po prostu być jak jego ojciec. Chciał recytować Koran i służyć ludziom. Niemniej już wkrótce miał się przekonać, że dziadek był kimś więcej niż tylko szanowanym przywódcą religijnym i ukochanym wioskowym szajchem.

W świecie arabskim wartości i tradycje zawsze znaczyły więcej niż oficjalne ustawy i urzędy, dlatego ludzie tacy jak mój dziadek często cieszyli się najwyższym autorytetem. Słowa przywódcy religijnego miały rangę prawa szczególnie tam, gdzie władza świecka okazywała się słaba i skorumpowana.

Nie posłano mego ojca do Jerozolimy tylko po to, by uczył się religii - dziadek przygotowywał go do roli przywódcy. Przez kilka następnych lat tata mieszkał i uczył się w Jerozolimie, tuż obok meczetu Al-Aksa, którego złota kopuła kojarzy się na całym świecie z obrazem Świętego Miasta. W wieku osiemnastu lat ojciec zakończył studia i przeniósł się do Ram Allah, gdzie od razu został zatrudniony jako imam w meczecie na starówce. Pragnął gorliwie służyć Allahowi i jego ludowi i nie mógł się doczekać, kiedy rozpocznie pracę dla swojej społeczności, wzorując się na działalności dziadka w Al-Dżanii.

Ale Ram Allah to nie Al-Dżanija - to miasto tętniące życiem, a nie ospała wioska. Gdy ojciec pierwszy raz przekroczył próg meczetu, ze zdziwieniem stwierdził, że czeka na niego tylko pięciu staruszków. Inni wierni spędzali czas w kawiarniach i nocnych klubach, upijali się i uprawiali hazard. Nawet muezin z sąsiedniego meczetu zaopatrzył się w kabel i mikrofon, by móc wypełniać swoje obowiązki bez przerywania gry w karty.

Tata był zdruzgotany stanem duchowym tych ludzi i nie bardzo wiedział, jak ma do nich dotrzeć. Nawet staruszkowie uczęszczający do meczetu nie ukrywali, że ich jedyną motywacją jest perspektywa bliskiej śmierci i pragnienie dostania się do nieba. Ale oni przynajmniej chcieli słuchać. Tak więc ojciec pracował z tymi, których miał do dyspozycji.

Prowadził wiernych w modlitwie i uczył Koranu. Wkrótce pokochali go tak, jakby był aniołem posłanym z nieba.

Poza meczetem sprawy przedstawiały się inaczej. Miłość do Allaha, jaką żywił ojciec, kontrastowała z powierzchowną religijnością jego współwyznawców i przeszkadzała wielu ludziom.

- Cóż to za dzieciak śpiewa azan? - drwili sobie z młodziutkiej twarzy taty. - On jest tu obcy, to wichrzyciel.

- Dlaczego ten smarkacz próbuje nas zawstydzać? Meczet to miejsce dla starszych ludzi.

Któregoś razu ktoś krzyknął mu w twarz:

- Wolałbym być psem niż kimś takim jak ty!

Ojciec spokojnie znosił prześladowania, nigdy się nie bronił ani nie odpowiadał arogancko. Miłość i współczucie dla ludzi nie pozwoliły mu się poddać. Dalej wykonywał powierzoną pracę, wzywając ludzi do nawrócenia i praktykowania islamu.

Swymi troskami dzielił się z dziadkiem, który szybko zdał sobie sprawę, że jego syn ma jeszcze większy potencjał, niż początkowo sądził. Dziadek wysłał go zatem do Jordanii na wyższe studia nad islamem. Ludzie, których ojciec tam spotkał, wywarli ogromny wpływ na dalszą historię mojej rodziny, a nawet na przebieg konfliktu na Bliskim Wschodzie.

Zanim jednak do tego przejdę, muszę krótko wspomnieć o kilku istotnych faktach z historii islamu, by pomóc Czytelnikom zrozumieć, dlaczego wszystkie dyplomatyczne próby rozwiązania konfliktu bliskowschodniego zawiodły i nie dają żadnej nadziei na trwały pokój.

*

W latach 1517-1923 islam - reprezentowany przez Imperium Osmańskie - rozprzestrzenił się z Turcji na trzy kontynenty. Jednak po kilkuset latach wielkiej potęgi ekonomicznej i politycznej scentralizowane i skorumpowane Imperium Osmańskie zaczęło podupadać.

Pod panowaniem tureckim wioski muzułmańskie na całym Bliskim Wschodzie obłożono ciężkimi podatkami i poddawano represjom. Istambuł znajdował się zbyt daleko, by kalif mógł chronić wiernych przed nadużyciami ze strony żołnierzy i miejscowych urzędników.

W XX wieku rozgoryczeni muzułmanie zaczęli poszukiwać innego stylu życia. Niektórzy przyjmowali ateizm propagowany przez nowo przybyłych komunistów. Inni topili problemy w alkoholu, hazardzie i pornografii - w rozrywkach, które na większą skalę pojawiły się wraz z przybyszami ze świata zachodniego, zwabionymi przez bogactwa

naturalne i postępującą industrializację.

Tymczasem w Kairze żył pewien pobożny nauczyciel o nazwisku Hasan al-Banna, który trapił się losem swych rodaków dotkniętych plagą biedy, bezrobocia i bezbożności. Jednak Hasan obwiniał o wszystko Zachód, a nie Turków, i wierzył, że jedynym ratunkiem dla jego narodu - a zwłaszcza dla młodzieży - jest powrót do czystości i prostoty wiary.

Chodził po kawiarniach, gdzie stawał na stoliku lub krześle i wygłaszał kazanie o Allahu. Pijacy kpili z niego, a przywódcy religijni krytykowali. Jednak większość zwykłych ludzi kochała Hasana, bo dawał im nadzieję.

W marcu 1928 roku Hasan al-Banna założył Stowarzyszenie Braci Muzułmanów, popularnie zwane Bractwem Muzułmańskim. Celem nowej organizacji było zreformowanie społeczeństwa zgodnie z zasadami islamu. W kolejnych latach komórki Bractwa pojawiły się we wszystkich prowincjach Egiptu, a w 1935 roku brat Al-Banny założył oddział na terytoriach Palestyny. Po dwudziestu latach organizacja liczyła około pół miliona członków w samym Egipcie.

Członkowie stowarzyszenia wywodzili się głównie z najbiedniejszych i najmniej wpływowych klas społecznych, byli za to fanatycznie oddani sprawie. Z własnej kieszeni potrafili wspierać innych muzułmanów, stosując się do nakazów Koranu.

Wielu ludzi Zachodu stereotypowo utożsamia muzułmanów z terrorystami i nie zna tego oblicza islamu, które odzwierciedla miłość i miłosierdzie. Islam zaleca troskę o biednych, wdowy i sieroty. Pochwala edukację i opiekę społeczną. Jednoczy i daje siłę. Taki właśnie islam powodował pierwszymi przywódcami Bractwa Muzułmańskiego. Oczywiście jest także druga strona medalu - islam nawołujący wszystkich muzułmanów do dżihadu, czyli nieustającej wojny z całym światem, dopóki nie powstanie globalny kalifat pod przywództwem jednego świętego człowieka, który będzie sprawował rządy i przemawiał w imieniu Allaha. Musimy dobrze zrozumieć ten aspekt i mieć go na uwadze w miarę rozwoju mojej opowieści.

Ale wróćmy do naszej lekcji historii. W roku 1948 Bracia Muzułmanie przygotowali zamach stanu przeciwko rządowi egipskiemu, który obwiniali za postępującą sekularyzację kraju. Jednak powstanie zostało przerwane, zanim zdążyło nabrać rozpędu, gdy wygasł Mandat Brytyjski w Palestynie i żydowskie państwo Izrael ogłosiło niepodległość.

Cały muzułmański Bliski Wschód zawrzał gniewem. Według Koranu w razie ataku wroga na jeden z krajów islamskich wszyscy muzułmanie, jak jeden mąż, powinni stanąć do walki w obronie ziemi swych braci. W oczach świata arabskiego obcy najechali na Palestynę i zajęli ziemię, na której znajduje się meczet Al-Aksa - będący dla islamu trzecim

najświętszym miejscem po Mekce i Medynie. Muzułmanie wierzą, że meczet ten wzniesiono na wzgórzu, z którego Mahomet wyruszył w towarzystwie anioła Gabriela w podróż do nieba, gdzie spotkał się z Abrahamem, Mojżeszem i Jezusem.

Egipt, Liban, Syria, Jordania i Irak natychmiast zaatakowały nowe państwo żydowskie. Wśród dziesięciu tysięcy żołnierzy egipskich znalazło się kilka tysięcy ochotników ze Stowarzyszenia Braci Muzułmanów. Koalicja arabska okazała się jednak niedostatecznie liczna i słabo uzbrojona. Niecały rok później siły arabskie zostały wyparte.

Na skutek wojny siedemset pięćdziesiąt tysięcy Arabów palestyńskich musiało uciekać lub zostało wygnanych ze swoich domów znajdujących się na terytoriach przekształconych w państwo Izrael.

Organizacja Narodów Zjednoczonych przyjęła wprawdzie Rezolucję nr 194, w której znalazł się zapis o tym, że „uchodźcom, którzy wyrażą chęć powrotu do swoich domów i życia w pokoju ze swymi sąsiadami, powinno się to umożliwić” oraz że „tym, którzy nie zdecydują się na powrót, powinno się wypłacić odszkodowania za utracony majątek”, jednak postanowienia te nigdy nie weszły w życie. Rzesze wypędzonych nigdy nie odzyskały swoich domów i ziemi. Wielu z nich do dziś mieszka w nędznych obozach dla uchodźców utrzymywanych przez ONZ, w których wychowało się już następne pokolenie Palestyńczyków.

Gdy uzbrojeni członkowie Bractwa Muzułmańskiego po wojnie wrócili do Egiptu, na nowo podjęli zawieszony przewrót polityczny. Jednak plany obalenia rządu zostały ujawnione, dlatego stowarzyszenie zdelegalizowano, jego zasoby skonfiskowano, a wielu członków trafiło do więzienia. Ci, którym udało się uniknąć aresztowania, kilka tygodni później dokonali zamachu na premiera Egiptu.

12 lutego 1949 roku Hasan al-Banna został zabity, prawdopodobnie przez rządowe służby specjalne. Jednak Bractwo Muzułmańskie przetrwało. W ciągu zaledwie dwudziestu lat Al-Banna zdołał otrząsnąć islam z odrętwienia i wzniecić rewolucję, w której wzięli udział uzbrojeni bojownicy. W kolejnych latach liczba członków stowarzyszenia zwiększyła się, a jego wpływy wzrosły, i to nie tylko w Egipcie, ale także w sąsiedniej Syrii i Jordanii.

Gdy w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia mój ojciec przybył do Jordanii, by kontynuować studia, Bractwo Muzułmańskie było tam dobrze zadomowione i cieszyło się uznaniem społecznym. Jego członkowie angażowali się właśnie w to, co leżało tacie na sercu - rozniecali na nowo wiarę, nieśli pomoc cierpiącym, próbowali ratować ludzi od niszczącego wpływu świata. Ojciec wierzył, że Bracia są dla islamu tym, czym dla chrześcijaństwa byli wielcy reformatorzy religijni, jak Marcin Luter czy William Tyndale. Ich

jedynym celem miało być ratowanie bliźnich i zapewnianie im lepszych warunków do życia. Nie było mowy o zabijaniu i niszczeniu. Kiedy ojciec poznał pierwszych przywódców Bractwa, powiedział sobie: „Tak, tego właśnie szukałem”.

Na tym etapie ojciec dostrzegał tylko jedno oblicze islamu - pełne miłości i współczucia. Nie widział natomiast - i być może do dzisiaj nie pozwala sobie zobaczyć - drugiej strony medalu.

Życie muzułmanina można porównać do drabiny. Najniższy jej szczebel to modlitwa i oddawanie chwały Allahowi, kolejne to udzielanie pomocy biednym i potrzebującym, zakładanie szkół i wspieranie działalności charytatywnej. Najwyższym szczeblem jest dżihad.

Drabina jest wysoka. Niewielu podnosi głowę, by zobaczyć, co jest na górze. Postęp jest zwykle stopniowy, prawie niezauważalny - tak jak podchody kota do jaskółki. Jaskółka nie spuszcza kota z oczu. Stoi i obserwuje, jak kot chodzi tam i z powrotem, to do przodu, to do tyłu. Ale jaskółka nie umie ocenić perspektywy. Nie widzi, że kot coraz bardziej się zbliża, aż nagle - w mgnieniu oka - jego pazury wbijają się w ciało ptaka.

Tradycyjni muzułmanie znajdują się na dole drabiny, żyjąc w poczuciu winy, że tak naprawdę nie praktykują islamu. Na samej górze są fundamentaliści znani z telewizyjnych wiadomości, którzy zabijają kobiety i dzieci ku chwale Allaha. Umiarkowani są gdzieś pośrodku.

Jednak umiarkowany muzułmanin jest w pewnym sensie groźniejszy niż fundamentalista. Wydaje się nieszkodliwy, lecz nigdy nie wiadomo, kiedy posunie się o kolejny szczebel w górę. Większość zamachowców samobójców tak właśnie zaczyna.

W dniu, w którym mój ojciec postawił nogę na najniższym szczeblu tej drabiny, nie mógł sobie nawet wyobrazić, jak daleko ostatecznie odejdzie od pierwotnych ideałów. Trzydzieści pięć lat później chciałbym go zapytać: „Pamiętasz, od czego zaczynałeś? Patrzyłeś na zagubionych ludzi i współczułeś im, pragnąłeś, aby zwrócili się do Allaha i byli zbawieni. A teraz - zamachowcy samobójcy i niewinna krew? Czy tego właśnie chciałeś?”. Jednak w naszej kulturze nie ma miejsca na takie rozmowy z ojcami.

3

BRACTWO MUZUŁMAŃSKIE

1977-1987

Kiedy ojciec wrócił na Terytoria Okupowane po skończeniu studiów w Jordanii, był pełen optymizmu i nadziei co do sprawy muzułmańskiej. Wizję pomyślnej przyszłości wiązał z umiarkowaną działalnością Bractwa Muzułmańskiego.

Towarzyszył mu Ibrahim Abu Salim, jeden z założycieli Bractwa w Jordanii. Przybył, aby rozruszać ospałą komórkę stowarzyszenia w Palestynie. Ich współpraca z ojcem dobrze się układała: rekrutowali młodych ludzi, którzy dzielili ich pasję, i formowali z nich małe grupy działaczy.

W 1977 roku, mając tylko pięćdziesiąt dinarów przy duszy, Hasan poślubił siostrę Ibrahima, Sabhę Abu Salim. Rok później pojawiłem się na świecie.

Gdy miałem siedem lat, nasza rodzina przeniosła się do Al-Biry, siostrzanego miasta Ram Allah, a ojciec został imamem w obozie dla uchodźców Al-Amari założonym w obrębie granic miasta. Na Zachodnim Brzegu znajdowało się dziewiętnaście obozów. Al-Amari powstał w 1949 roku i zajmował powierzchnię około dziesięciu hektarów. W 1957 roku rozpadające się namioty zastąpiono przylegającymi do siebie betonowymi domami. Ulice miały szerokość samochodu, a w odkrytych rynsztokach płynęły rzeki ścieków i szlamu. Obóz był przeludniony, woda nie nadawała się do picia. Na samym środku stało jedno samotne drzewo. Uchodźcy byli całkowicie zależni od pomocy ONZ w kwestii zakwaterowania, żywności, ubrań, opieki medycznej i edukacji.

Kiedy ojciec po raz pierwszy wszedł do meczetu, był zawiedziony, ponieważ zastał tylko dwa rzędy modlących się mężczyzn, po dwudziestu w każdym rzędzie. Jednak po kilku miesiącach jego działalności kaznodziejskiej w obozie tłum wypełniał już szczelnie cały meczet, a nawet wylewał się na ulice. Oprócz poświęcenia dla Allaha tata miał także wiele miłości i współczucia dla ludzi. Oni również go pokochali.

Hasan Jusuf był lubiany za swoją zwyczajność. Nie uważał się za lepszego od tych, którym służył. Żył tak jak oni, jadł to co oni i modlił się tak jak oni. Nie nosił drogich ubrań. Od rządu Jordanii otrzymywał skromne wynagrodzenie przeznaczone na funkcjonowanie i utrzymanie miejsc kultu religijnego. Formalnie przysługiwał mu wolny poniedziałek, ale

nigdy z tego prawa nie korzystał. Nie pracował dla pieniędzy - pracował dla Allaha. Uznawał to za swój święty obowiązek i cel życia.

We wrześniu 1987 roku ojciec podjął dodatkową pracę jako nauczyciel religii w klasie składającej się z uczniów pochodzenia muzułmańskiego, którzy uczęszczali do prywatnej szkoły chrześcijańskiej na Zachodnim Brzegu. Dla nas oznaczało to, że mniej go będzie w domu - nie dlatego, że nie kochał swojej rodziny, lecz dlatego, że Allaha ukochał bardziej. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że nadchodzą dni, kiedy wcale nie będziemy go widywać.

Tata chodził do pracy, a mama sama wychowywała dzieci. Uczyla nas, jak być dobrymi muzułmanami - budziła nas na poranną modlitwę, gdy już byliśmy w odpowiednim wieku, i zachęcała do postu w świętym dla islamu miesiącu Ramadan. Było nas teraz sześcioro: miałem trzech braci - Suhajba, Sajfa i Owejsa - i dwie siostry - Sabilę i Tasnim. Mimo że ojciec pracował na dwa etaty, ledwie starczało nam na opłacenie rachunków. Mama nauczyła się liczyć każdego dinara.

Sabila i Tasnim bardzo wcześnie zaczęły pomagać mamie w gospodarstwie. Nigdy się nie skarżyły, były miłe, dobre i piękne. Ich zabawki leżały w kącie pokryte kurzem, bo nie miały czasu się nimi bawić. Nowymi zabawkami stały się dla nich garnki.

- Za dużo pracujesz, Sabila - mówiła mama do starszej siostry. - Usiądź i odpocznij.

Ale Sabila tylko się uśmiechała i pracowała dalej.

Ja i mój brat Suhajb już jako młodzi chłopcy nauczyliśmy się, jak rozpalać ogień i używać pieca. Pilnowaliśmy swoich dyżurów przy gotowaniu i zmywaniu, a poza tym wszyscy opiekowaliśmy się małym Owejssem.

Uwielbialiśmy zabawę w „gwiazdki”. Co wieczór przed pójściem do łóżka ustawialiśmy się w rzędzie, a mama przyznawała nam gwiazdki w nagrodę za to, co zrobiliśmy tego dnia. Wygrywał ten, kto na koniec miesiąca nzbierał najwięcej gwiazdek - zwykle była to Sabila. Oczywiście nie mieliśmy pieniędzy na nagrodę dla zwycięzcy, ale nie o to chodziło. Najbardziej zależało nam na zdobyciu uznania mamy i zawsze niecierpliwie czekaliśmy na wyróżnienie.

Meczet Ali dzieliło od naszego domu tylko kilka przecznic, mogłem więc chodzić tam sam i byłem z tego bardzo dumny. Ze wszystkich sił pragnąłem być taki jak tata, podobnie jak kiedyś on chciał być podobny do swego ojca.

Naprzeciwko meczetu, po drugiej stronie ulicy, znajdował się największy cmentarz, jaki kiedykolwiek widziałem. Obsługiwał Ram Allah, Al-Birę oraz obozy dla uchodźców i zajmował teren pięć razy większy niż pobliskie osiedla mieszkalne. Otaczał go półmetrowy mur. Pięć razy dziennie, gdy azan wzywał na modlitwę, przechodziłem tam i z powrotem

obok tysięcy grobów. Dla chłopca w moim wieku było to przerażające miejsce - szczególnie nocą, gdy zapadała całkowita ciemność. Wyobraźnia podsuwała mi obrazy korzeni wielkich drzew karmiących się zakopanymi ciałami.

Kiedy miałem osiem lat, któregoś razu imam wezwał wiernych na modlitwę południową. Umyłem się, spryskałem wodą kolońską, ubrałem się odświętnie jak tata i wyszedłem. Dzień był piękny. Dochodząc na miejsce, zauważyłem przed meczetem znacznie więcej samochodów niż zwykle i grupę ludzi stojących przy wejściu. Zdjąłem buty i wszedłem do środka. Tuż za drzwiami w otwartej skrzyni leżał owinięty w białe płótno nieżywy człowiek. Nigdy wcześniej nie widziałem martwego ciała. Wiedziałem, że nie powinienem się gapić, ale nie mogłem oderwać od niego wzroku. Zmarły był owinięty całunem, wystawała jedynie twarz. Obserwowałem uważnie jego klatkę piersiową, jakbym czekał, kiedy znowu zacznie oddychać.

Imam wezwał wszystkich, aby ustawili się w rzędach do modlitwy, więc podszedłem do przodu. Jednak ciągle odwracałem głowę, zerkając na ciało leżące w skrzyni. Gdy skończyliśmy recytację, imam poprosił o przyniesienie ciała do przodu, żeby się nad nim pomodlić. Ośmiu mężczyzn podniosło trumnę na ramiona, a ktoś krzyknął: *La ilaha illallah!* („Nie ma Boga prócz Allaha!”). Jakby na sygnał, wszyscy zgromadzeni zaczęli wołać: *La ilaha illallah! La ilaha illallah!*

W pośpiechu założyłem buty i wyszedłem razem z tłumem na cmentarz. Byłem mały, więc żeby nadażyć, musiałem biec pomiędzy nogami starszych. Po raz pierwszy w życiu wszedłem na teren cmentarza - uznałem, że wśród tylu ludzi nic mi nie grozi.

- Nie wchodź na groby - ktoś krzyknął. - To zabronione!

Przedzierałem się powoli przez tłum, aż dotarłem do przygotowanego grobu.

Zajrzałem do środka - w dole, który miał prawie dwa i pół metra głębokości, stał stary człowiek. Słyszałem, jak rozmawiały o nim dzieci z sąsiedztwa. Nazywał się Dżuma. Mówiono, że nigdy nie chodzi do meczetu i nie wierzy w Allaha, ale grzebie zmarłych - czasami dwa albo trzy ciała dziennie.

Czy ten człowiek nie boi się śmierci? - zastanawiałem się.

Mężczyźni opuścili ciało w silne ramiona grabarza. Następnie podali mu butelkę perfum i coś zielonego, pachnącego świeżo i przyjemnie. Dżuma odsłonił całun i polał ciało zmarłego płynem. Potem odwrócił je na prawą stronę w kierunku Mekki i obłożył betonowymi blokami. Następnie czterech mężczyzn zaczęło zasypywać dół łopatami, a imam rozpoczął mowę. Zaczął tak, jak mój ojciec:

- Ten człowiek odszedł - mówił, gdy zasypywano ziemią twarz, szyję i ramiona

zmarłego. - Wszystko, co miał, pozostawił tutaj: pieniądze, dom, synów, córki i żonę. Takie jest przeznaczenie każdego z nas.

Wezwał obecnych do zaniechania grzechu i nawrócenia. Po czym powiedział coś, czego nigdy nie słyszałem od ojca:

- Dusza tego człowieka wkrótce do niego powróci, a z nieba przybędą dwaj straszliwi aniołowie Munkar i Nakir, aby go przesłuchać. Chwycą jego ciało i potrząsną nim, pytając: „Kto jest twoim Bogiem?”. Jeśli udzieli złej odpowiedzi, będą go tłukli wielkim młotem i zostanie posłany do ziemi na siedemdziesiąt lat. Allahu, błagamy cię: gdy nadejdzie nasz czas, pomóż, nam udzielić właściwej odpowiedzi!

Z przerażeniem zająrzałem do otwartego grobu. Ciało było już przysypane ziemią. Zastanawiałem się, kiedy zacznie się przesłuchanie.

- Jeśli jego odpowiedź nie będzie poprawna, ciężar ziemi zmiażdży mu żebra. Robactwo powoli stoczy jego ciało. Będzie dręczony przez węża o dziewięćdziesięciu głowach i skorpiona wielkiego jak szyja wielbłąda, aż nastąpi wskreszenie umarłych, a wówczas przez swe cierpienia być może zasłuży na przebaczenie Allaha!

Nie mogłem uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się tuż obok mojego domu po każdym pogrzebie! Postanowiłem, że nauczę się na pamięć pytań, żeby móc dobrze odpowiedzieć, kiedy nadejdzie mój czas.

Imam zapowiedział, że przesłuchanie rozpocznie się, gdy tylko cmentarz opustoszeje. Poszedłem do domu, ale nie mogłem przestać o tym wszystkim myśleć. Postanowiłem wrócić i podsłuchać tortury. Przeszedłem się po okolicy, próbując namówić kolegów, żeby do mnie dołączyli, ale wszyscy stwierdzili, że zwariowałem. Nie było wyjścia - musiałem pójść sam. Całą drogę na cmentarz trząsałem się ze strachu. Wkrótce znalazłem się wśród morza grobów. Miałem ochotę uciec, ale ciekawość przemogła strach. Myślałem, że usłyszę pytania, wycie - cokolwiek. Ale było cicho. Podeszedłem bliżej, a nawet dotknąłem nagrobka. Ciągłe cisza. Po godzinie znudziłem się i wróciłem do domu.

Mama krzątała się w kuchni. Opowiedziałem jej o pogrzebie i wspomniałem o torturach, które według imama miały się odbywać na cmentarzu.

- Wróciłem tam, kiedy wszyscy już się rozeszli, ale nic się nie wydarzyło.

- Tylko zwierzęta mogą usłyszeć te tortury - wyjaśniła mama - ludzie nie.

Dla ośmiolatka takie wyjaśnienie było zupełnie zadowalające.

Odtąd codziennie obserwowałem, jak na cmentarz przynoszono kolejne ciała. Po jakimś czasie nawet się do tego przyzwyczaiłem i wałęsałem się w pobliżu, żeby zobaczyć, kto umarł. Wczoraj - kobieta. Dzisiaj - mężczyzna. Kiedyś przyniesiono dwóch

nieboszczyków, a kilka godzin później jeszcze jednego. Gdy nic się nie działo, chodziłem między nagrobkami i czytałem o pochowanych tam ludziach: „Zmarł w wieku stu lat”, „Zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat”. Jak się nazywał? Skąd pochodził? Cmentarz stał się moim placem zabaw.

Moi koledzy początkowo bali się cmentarza tak jak ja. Ale namawialiśmy się wzajemnie, żeby wybrać się tam w nocy, a ponieważ nikt nie chciał wyjść na tchórza, ostatecznie przełamaliśmy strach. Doszło do tego, że graliśmy na cmentarzu w piłkę.

*

Nasza rodzina się rozrosła. Rozwijało się także Bractwo Muzułmańskie. W krótkim czasie organizacja skupiająca biedaków i uchodźców stała się stowarzyszeniem wykształconych młodych ludzi, mężczyzn i kobiet, biznesmenów i specjalistów różnych zawodów, którzy łożyli na budowę szkół, działalność instytucji charytatywnych i szpitali.

Zachęteni takim obrotem sprawy młodzi ludzie utożsamiający się z ruchem islamskim, szczególnie w Gazie, doszli do wniosku, że Bractwo powinno wystąpić przeciwko okupacji izraelskiej. „Zajęliśmy się potrzebami społecznymi - mówili - i nadal będziemy o nich pamiętać, ale czy na zawsze mamy się pogodzić z okupacją? Czy Koran nie nakazuje nam wypędzić żydowskich najeźdźców?”. Ci młodzi ludzie nie mieli broni, ale byli twardzi, bezkompromisowi i rwali się do walki.

Mój ojciec i pozostali przywódcy Bractwa na Zachodnim Brzegu mieli inne zdanie. Nie palili się do powtórzenia błędów z Egiptu i Syrii, gdzie stowarzyszenie podjęło nieudane próby przejęcia władzy. Przekonywali, że bracia w Jordanii nie myślą o walce, tylko uczestniczą w życiu politycznym i wywierają silny wpływ na społeczeństwo. Ojciec nie był przeciwnikiem użycia siły, uważał jednak, że Palestyńczycy nie są gotowi, by zmierzyć się z izraelską armią.

Debata toczyła się w organizacji przez kilka lat. Oddolna presja do podjęcia działań zbrojnych była coraz większa. Pod koniec lat siedemdziesiątych Fathi Szakaki, sfrustrowany biernością Bractwa, założył Palestyński Islamski Dżihad. Mimo to Bractwu Muzułmańskiemu udało się zachować pokojowe metody działań jeszcze przez następną dekadę.

W 1986 roku w Hebronie pod Betlejem odbyło się tajne spotkanie o historycznym znaczeniu. Brał w nim udział również mój ojciec, chociaż powiedział mi o tym wiele lat później. Na spotkaniu obecnych było, inaczej niż się czasami podaje, siedem osób: szajch Ahmad Jasin (który miał zostać duchowym przywódcą nowej organizacji), Muhammad Dżamal an-Naszaz Hebronu, Dżamal Mansur z Nablusu, szajch Hasan Jusuf (mój ojciec), Mahmud Muslih z Ram Allah, Dżamal Hamami z Jerozolimy oraz Ajman Abu Taha z Gazy.

Grupa ta była w końcu gotowa podjąć walkę. Postanowiono rozpocząć od aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa, takich jak rzucanie kamieniami i palenie opon. Celem przywódców nowej organizacji było obudzić, zjednoczyć i zmobilizować Palestyńczyków do walki o niepodległość pod sztandarami Allaha i islamu¹.

Tak oto narodził się Hamas, a mój ojciec pokonał kilka kolejnych szczebli w górę na drabinie islamu.

4

KAMIENIE ZOSTAŁY RZUCONE

1987-1989

Hamas potrzebował pretekstu - czegoś, co mogłoby usprawiedliwić wzniecenie powstania. Dogodna okazja nadarzyła się na początku grudnia 1987 roku, choć incydent, który wywołał lawinę wydarzeń, był tragicznym nieporozumieniem.

W Gazie od ciosu nożem zginął Szlomo Sakal, izraelski sprzedawca wyrobów z tworzyw sztucznych. Zaledwie kilka dni później w obozie dla uchodźców Dżabalija w Gazie cztery osoby poniosły śmierć w zwykłym wypadku drogowym. Rozeszła się jednak pogłoska, że Izraelczycy zabili tych ludzi w odwecie za śmierć Sakala. W Dżabalii wybuchły zamieszki. Jakiś siedemnastolatek rzucił koktajlem Mołotowa i został zastrzelony przez izraelskiego żołnierza. W Gazie i na Zachodnim Brzegu na ulice wyległy tłumy demonstrantów, a Hamas stanął na czele rozruchów, które otworzyły nowy rozdział walki z Izraelem. Zdjęcia dzieci rzucających kamieniami w izraelskie czołgi jeszcze w tym samym tygodniu znalazły się na pierwszych stronach gazet na całym świecie.

Tak rozpoczęła się pierwsza intifada, a sprawa palestyńska trafiła na czołówki gazet i do dzienników telewizyjnych. Na naszym cmentarnym placu zabaw wszystko się zmieniło. Codziennie przywożono znacznie więcej ciał niż do tej pory. Żałobnemu nastrojowi towarzyszył teraz gniew i wściekłość. Tłumy Palestyńczyków zaczęły obrzucać kamieniami izraelskich osadników, którzy przejeżdżali obok cmentarza w drodze do pobliskiego osiedla żydowskiego. W odwecie uzbrojeni Izraelczycy strzelali w tłum, zabijając wiele osób, a gdy na scenę wkroczyły Siły Obronne Izraela, zabitych i rannych było coraz więcej.

Nasz dom znajdował się w samym środku tego zamieszania, dlatego izraelskie kule wielokrotnie dziurawiły zbiorniki na wodę znajdujące się na dachu. Martwe ciała znoszone na cmentarz przez zamaskowanych bojowników - fedainów - nie należały już do starych ludzi, którzy zmarli naturalną śmiercią. Zwłoki nierzadko ciągle jeszcze krwawiły, nie obmywano ich ani nie owijano w całuny. Każdego męczennika bezzwłocznie grzebano, tak by nikt nie mógł zabrać ciała, ukraść organów wewnętrznych i zwrócić rodzinie zwłok zmarłego wypchanych szmatami.

Akty przemocy nasiliły się do tego stopnia, że w rzadkich okresach spokoju

zaczynałem się nudzić. Wraz z kolegami przyłączyliśmy się do rzucających kamieniami - chcieliśmy odegrać jakąś rolę w zamieszkach i zaimponować innym jako bojownicy ruchu oporu. Z cmentarza widać było osiedle żydowskie położone wysoko na szczycie wzgórza, otoczone wysokim murem i wieżami strażniczymi. Mieszkało w nim pięciuset osadników. Wielu z nich jeździło nowymi - często opancerzonymi - samochodami. Mieli broń automatyczną i wyglądało na to, że mogą jej używać według własnego uznania. W oczach dziesięcioletniego dziecka byli jak przybysze z innej planety.

Pewnego wieczoru tuż przed modlitwą ukryliśmy się z kolegami przy drodze. Czatowaliśmy na autobus osadników, bo był większy od samochodu i stanowił łatwiejszy cel. Wiedzieliśmy, że codziennie przejeżdża drogą o tej samej porze. Czekaając w naszej kryjówce, słyszeliśmy znajomy głos imama nawołujący przez megafon: *Hajja ala as-sala* („Pośpieszcie na modlitwę”).

Kiedy wreszcie rozległ się charakterystyczny warkot diesla, każdy z nas chwycił po dwa kamienie. Choć byliśmy w ukryciu i nie widzieliśmy drogi, bezbłędnie rozpoznaliśmy położenie autobusu po dźwięku silnika. W odpowiednim momencie wyskoczyliśmy i puściliśmy w ruch naszą amunicję. Odgłos kamieni uderzających o metal upewnił nas, że przynajmniej niektóre z nich trafiły w cel.

Wcale nie był to jednak autobus, ale wielki transporter wojskowy pełen wściekłych żołnierzy izraelskich. Prędko zanurkowaliśmy z powrotem do rowu, który był naszą kryjówką. Pojazd się zatrzymał. Nie widzieliśmy żołnierzy, a oni nie widzieli nas, więc zaczęli strzelać w powietrze. Ostrzał trwał kilka minut, a my w tym czasie chyłkiem wycofaliśmy się do pobliskiego meczetu.

Modlitwa już trwała, ale chyba nikt o niej nie myślał. Wszyscy słuchali terkotu karabinów rozlegającego się na zewnątrz i zastanawiali się, co się dzieje. Nasza grupka wślizgnęła się ukradkiem do ostatniego rzędu z nadzieją, że pozostaniemy niezauważeni. Ale kiedy imam zakończył modlitwę, oczy wszystkich gniewnie zwróciły się w naszą stronę.

Po chwili przed meczet podjechały z piskiem opon pojazdy wojskowe. Do środka wbiegli żołnierze, kazali wszystkim wyjść na zewnątrz i położyć się twarzą do ziemi. Zaczęli sprawdzać dokumenty. Byłem na końcu i umierałem z przerażenia, że mnie rozpoznają i pobiją na śmierć. Ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Może uznali, że dziecko w moim wieku nie miałooby odwagi rzucać kamieniami w transporter wojskowy. W każdym razie cieszyłem się, że zostawili mnie w spokoju. Przesłuchania wlokły się godzinami i wielu miejscowych było na mnie złych. Nie wiedzieli, co zrobiłem, ale nie mieli wątpliwości, że to ja byłem przyczyną obławy. Nie przejmowałem się tym jednak, a nawet byłem podekscytowany.

Razem z kolegami zaatakowaliśmy izraelską potęgę militarną i uszło nam to na sucho. Przyjemność działała jak narkotyk i ośmielała nas jeszcze bardziej.

Po kilku dniach znów urządziliśmy z kolegą zasadzkę, tym razem wybierając miejsce bliżej drogi. Kiedy nadjechał samochód osadnika, wyprostowałem się i cisnąłem kamieniem. Mój „pocisk” uderzył w przednią szybę z takim hukiem, jakby eksplodowała bomba. Szyba nie pękła, ale zobaczyłem przerażoną twarz kierowcy. Przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów, po czym zahamował i wrzucił wsteczny bieg.

Uciekłem na cmentarz. Kierowca pobiegł za mną, ale zatrzymał się przed murem, oparł na nim karabin i uważnie obserwował nagrobki. Kolega uciekł w drugą stronę, zostawiając mnie sam na sam z rozgniewanym i uzbrojonym osadnikiem żydowskim.

Leżałem cicho na ziemi między grobami. Wiedziałem, że kierowca tylko czeka, bym wystawił głowę. Jednak w końcu napięcie stało się nie do zniesienia - nie mogłem już dłużej wytrzymać w bezruchu. Poderwałem się i popędziłem ile sił w nogach. Na szczęście zaczynało się już ściemniać, a osadnik bał się wejść na cmentarz.

Nie ubiegłem jednak zbyt daleko, gdy nagle straciłem grunt pod nogami. Wpadłem do otwartego grobu, gotowego na przyjęcie następnego trupa. „Czy to będę ja?” - pomyślałem. W tym momencie Izraelczyk wystrzelił serię z karabinu, a odpryski kamieni posypały się do wnętrza grobu.

Leżałem skulony, nie mogąc się ruszyć. Po półgodzinie usłyszałem jakąś rozmowę, domyśliłem się więc, że osadnik już odjechał i mogę bezpiecznie wyjść.

Kiedy kilka dni później szedłem drogą, minął mnie ten sam samochód. Tym razem siedziało w nim dwóch ludzi. Kierowca rozpoznał mnie, zatrzymał się i szybko wyskoczył z auta. Znów próbowałem uciec, jednak nie miałem tyle szczęścia co poprzednio - osadnik złapał mnie, uderzył w twarz i zaciągnął do samochodu. Pojechaliśmy w kierunku osiedla. Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie zdenerwowanych, ściskali w garści pistolety i co chwilę oglądali się na mnie. Nie byłem żadnym terrorystą, tylko przestraszonym dzieckiem, tymczasem oni zachowywali się niczym wielcy myśliwi, którzy upolowali tygrysa.

Żołnierz przy bramie sprawdził dokumenty kierowcy i przepuścił samochód machnięciem ręki. Nie zastanowiło go, dlaczego tych dwóch wiezie ze sobą małego Palestyńczyka? Bałem się, ale jednocześnie z zaciekawieniem rozglądałem się po okolicy. Pierwszy raz widziałem osiedle żydowskie od środka. Było piękne: czyste ulice, baseny, cudowny widok na dolinę ze szczytu wzgórza.

Kierowca zawiózł mnie do bazy wojskowej znajdującej się na terenie osiedla. Żołnierze zabrali mi buty i kazali usiąść na ziemi. Myślałem, że zamierzają mnie zastrzelić i

porzucić moje ciało gdzieś na polu. Jednak kiedy zaczęło się ściemniać, kazali mi wracać do domu.

- Ale ja nie wiem, jak trafić z powrotem - zaprotestowałem.

- Ruszaj się, bo inaczej cię zastrzelę! - zagroził jeden z nich.

- Czy możecie oddać mi buty?

- Nie. Idź już wreszcie. A jeśli jeszcze raz rzucisz kamieniem, zastrzelę cię!

Do domu miałem prawie dwa kilometry. Pokonałem tę drogę w skarpetkach, zaciskając zęby, bo żwir i kamienie wpijały się w stopy. Kiedy mama mnie zobaczyła, wybiegła na chodnik i przytuliła mnie z całej siły. Dowiedziała się od kogoś, że porwali mnie izraelscy osadnicy, i bała się, że mnie zabiją. Beształa mnie za głupotę, jednocześnie całując w głowę i mocno przyciskając do piersi.

Można by się spodziewać, że wezmę sobie tę lekcję do serca, ale byłem nierozgarniętym dzieckiem. Nie mogłem się doczekać, kiedy opowiem moim tchórzliwym kolegom o tej niebezpiecznej przygodzie.

Pod koniec lat osiemdziesiątych naloty izraelskich żołnierzy na nasz dom stały się normalnością. Zawsze szukali kogoś, kto rzucał kamieniami i uciekał przez nasze podwórko. Przychodzili uzbrojeni po zęby, a ja nie rozumiałem, dlaczego robią tyle zamieszania z powodu kilku kamieni.

Podczas pierwszej intifady Izrael kontrolował granice, więc zdobycie broni przez Palestyńczyków graniczyło z niemożliwością. Nie przypominam sobie, żebym widział w tamtym czasie choć jednego Palestyńczyka z bronią - z wyjątkiem kamieni i koktajli Mołotowa. Jednak żołnierze izraelscy strzelali do nieuzbrojonych tłumów i bili ludzi pałkami. Według niektórych doniesień trzydzieści tysięcy palestyńskich dzieci odniosło obrażenia, które wymagały pomocy lekarskiej. Nie mieściło mi się to w głowie.

Pewnego dnia ojciec długo nie wracał do domu. Siedziałem przy oknie, wypatrując jego starego samochodu, a w brzuchu burczało mi z głodu. Mama namawiała mnie, żebym zjadł z młodszymi dziećmi, ale odmówiłem. Chciałem poczekać na tatę. Wreszcie usłyszałem znajomy odgłos silnika. Krzyknąłem, że tata wrócił. Mama zaraz zaczęła ustawiać na stole talerze z gorącą kolacją.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział ojciec. - Musiałem pojechać za miasto, żeby rozstrzygnąć spór między dwiema rodzinami. Dlaczego jeszcze nie jedliście?

Szybko się przebrał, umył ręce i usiadł do stołu.

- Umieram z głodu - powiedział z uśmiechem. - Przez cały dzień nie miałem nic w ustach. - Nie było w tym nic dziwnego, bo tata nie mógł sobie pozwolić na jądanie poza

domem.

Smakowity zapach faszerowanej cukinii przygotowanej przez mamę rozchodził się po całym domu.

Usiedliśmy i zaczęliśmy jeść, a ja poczułem ogromny podziw dla taty. Dostrzegałem zmęczenie na jego twarzy, ale wiedziałem, że bardzo kocha swoją pracę. Okazywał tyle serca ludziom, którym służył - a jego poświęcenie dla innych łączyło się z wielkim oddaniem dla Allaha. Kiedy słuchałem, jak rozmawia z mamą, a także z moimi siostrami i braćmi, myślałem, jak bardzo ojciec różni się od większości mężczyzn muzułmańskich. Zawsze chętnie pomagał mamie w pracach domowych i w opiece nad dziećmi. Co wieczór prał swoje skarpety, żeby mama nie musiała tego robić. W kulturze, w której kobiety poczytują sobie za zaszczyt to, że mogą szorować mężowskie nogi po ciężkim dniu pracy, takie zachowanie było czymś niespotykanym.

Siedząc przy stole, opowiadaliśmy tacie, czego uczyliśmy się w szkole i jak minął dzień. Ponieważ byłem najstarszy, dałem pierwszeństwo młodszemu rodzeństwu. Ale gdy nadeszła moja kolej, usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Kto to mógł być o tej porze? Może ktoś miał jakiś poważny problem i przyszedł z prośbą o pomoc?

Podbiegłem do drzwi i otworzyłem małe okienko, które służyło za wizjer. Nie znałem tego człowieka.

- *Abuk mawdzud?* - zapytał płynnym arabskim, czy ojciec jest w domu. Ubrany był po arabsku, a jednak coś mi nie pasowało.

- Tak, jest, zawołam go - odpowiedziałem przez zamknięte drzwi.

Ojciec stał tuż za mną. Otworzył drzwi, a wówczas kilku izraelskich żołnierzy wpadło do środka. Mama prędko nałożyła na głowę chustę. W gronie rodzinnym nie zakrywała twarzy, ale przy obcych - zawsze.

- Czy szajch Hasan to pan? - zapytał nieznajomy.

- Tak, to ja - odparł tata.

Mężczyzna, który przedstawił się jako kapitan Szaj, uścisnął dłoń ojca.

- Witam, miło mi pana poznać. - powiedział uprzejmie. - Jesteśmy z Sił Obronnych i chcielibyśmy, żeby poświęcił nam pan kilka minut. Czy pójdzie pan z nami?

Czego chcieli od taty? Spojrzałem na niego, usiłując wyczytać z jego twarzy, co się dzieje. Uśmiechnął się życzliwie do kapitana. W jego oczach nie było cienia podejrzenia czy gniewu.

- Dobrze, pójdę z wami - odparł. W drodze do drzwi skinął głową do mamy.

- Czekaj w domu na tatę, niedługo wróci - powiedział jeden z żołnierzy.

Wyszedłem za nimi na zewnątrz i rozejrzałem się po sąsiednich domach, ale nigdzie indziej nie dostrzegłem żołnierzy. Usiadłem na schodach, żeby poczekać na tatę. Minęło dziesięć minut, a potem godzina. Dwie godziny. Ciągle nie wracał.

Jeszcze nigdy nie spędziliśmy nocy bez ojca. Choć ciągle był zajęty, wieczorem zawsze wracał do domu. Rano budził nas na modlitwę i odprowadzał nas do szkoły. Co będzie, jeśli nie wróci dziś na noc?

Wszedłem do środka. Moja siostra Tasnim spała na kanapie. Policzki miała jeszcze mokre od łez. Mama próbowała zająć się czymś w kuchni, ale kiedy mijały kolejne godziny, była coraz bardziej zdenerwowana.

Następnego dnia poszliśmy do oddziału Czerwonego Krzyża, żeby dowiedzieć się czegoś o zniknięciu ojca. Urzędnik poinformował nas, że ojciec został aresztowany i że wojsko przekaże Czerwonemu Krzyżowi jakiegokolwiek informacje nie wcześniej niż za osiemnaście dni.

Wróciliśmy do domu i zaczęliśmy odliczać te dwa i pół tygodnia. Cały czas nie mieliśmy żadnych wieści o ojcu. Gdy upłynęło osiemnaście dni, poszedłem znowu do Czerwonego Krzyża, jednak niczego się nie dowiedziałem.

- Przecież powiedział pan „osiemnaście dni”! - protestowałem, z trudem powstrzymując łzy. - Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie jest mój tata.

- Synu, idź do domu - odpowiedział urzędnik. - Wróć w przyszłym tygodniu.

Wracałem wielokrotnie przez kolejne czterdzieści dni, jednak za każdym razem dostawałem tę samą odpowiedź: „Nic nie wiadomo, przyjdź za tydzień”. To nie było normalne. Rodziny palestyńskich więźniów przeważnie w ciągu kilku tygodni od aresztowania otrzymują informację o tym, gdzie są przetrzymywani ich bliscy.

Gdy tylko zwalniano kogoś z więzienia, staraliśmy się dowiedzieć, czy spotkał ojca. Wszyscy słyszeli o jego aresztowaniu, ale nic poza tym. Nawet jego prawnik nie mógł nic wskórać, bo odmawiano mu widzenia.

Później dowiedzieliśmy się, że tatę zabrano do Moskowije, izraelskiego aresztu śledczego, gdzie był przesłuchiwany i torturowany. Agenci izraelskiej służby bezpieczeństwa wewnętrznego Szin Bet wiedzieli, że ojciec należy do ścisłego przywództwa Hamasu. Zakładali, że zna wszystkie działania i plany organizacji, dlatego postanowili wyciągnąć z niego te informacje.

Dopiero po wielu latach ojciec opowiedział mi, co się wówczas działo. Całymi dniami wieszano go pod sufitem skutego kajdankami. Poddawano go elektrowstrząsom aż do utraty świadomości. Umieszczano go w celach z kolaborantami, zwanymi w żargonie więziennym

„ptaszkami”, z nadzieją że zacznie mówić. Nic z tego nie wyszło, więc bito go dalej. Ojciec był nieugięty. Nie puścił pary z ust, nie ujawnił Izraelczykom niczego, co mogłoby zaszkodzić jego palestyńskim braciom i Hamasowi.

5

PRZETRWAĆ

1989-1990

Izraelczycy łudzili się, że skoro aresztowali jednego z przywódców Hamasu, sytuacja na pewno się poprawi. Jednak gdy ojciec przebywał w więzieniu, intifada przybrała na sile. Pod koniec 1989 roku niejaki Amr Abu Sarhan z Ram Allah zabił nożem kuchennym trzech Izraelczyków, pragnąc pomścić w ten sposób śmierć licznych ofiar po stronie palestyńskiej (użył noża, bo w tym czasie Palestyńczycy nie mieli jeszcze swobodnego dostępu do broni). Ten incydent zapoczątkował spiralę przemocy i w efekcie przyczynił się do wzniesienia rewolucji.

Sarhan wyrósł na bohatera w oczach tych Palestyńczyków, którzy w wyniku zamieszek stracili krewnych lub przyjaciół, którym skonfiskowano ziemię albo którzy szukali odwetu z innych powodów. Nie byli to urodzeni terroryści, lecz przyparci do muru ludzie, którzy stracili wszelką nadzieję i perspektywy na przyszłość. Niczego już nie posiadali, więc nie mieli też nic do stracenia. Nie dbali o opinię świata ani nawet o własne życie.

Dla nas, dzieci, możliwość kontynuowania nauki w szkole stała pod dużym znakiem zapytania. Nierzadko gdy po lekcjach wychodziłem ze szkoły, wojskowe dzipy objeżdżały już ulice, a żołnierze izraelscy ogłaszali przez megafon natychmiastową godzinę policyjną, którą traktowano bardzo poważnie. Nie była to godzina policyjna znana z amerykańskich miast, gdzie władze kontaktują się telefonicznie z rodzicami nastolatka przyłapanego poza domem po dwudziestej trzeciej. Palestyńczyk, który znalazł się na ulicy o zakazanej porze (wszystko jedno z jakiego powodu), mógł zostać zastrzelony. Strzelano bez ostrzeżenia, bez próby aresztowania.

Kiedy po raz pierwszy ogłoszono godzinę policyjną, byłem jeszcze w szkole i nie miałem pojęcia, co robić. Od domu dzieliło mnie kilka kilometrów, więc wiedziałem, że na pewno nie zdążę. Ulice opustoszały. Byłem przerażony - nie mogłem zostać w szkole, a gdyby żołnierze zobaczyli mnie na ulicy, zastrzeliliby mnie, mimo że byłem tylko dzieckiem. W tamtym okresie od izraelskich kul zginęło wiele palestyńskich dzieci.

Zacząłem kluczyć od budynku do budynku, skradając się przez podwórka i chowając w krzakach przy drodze. Omijałem miejsca, w których mogłyby mnie zdradzić szczekające

psy. Wiedziałem, że muszę trzymać się jak najdalej od żołnierzy uzbrojonych w karabiny maszynowe. W końcu przedostałem się na naszą ulicę. Poczulem ogromną ulgę, kiedy okazało się, że moi bracia i siostry dotarli do domu przede mną.

Godzina policyjna nie była jedyną zmianą, z którą musieliśmy się oswoić w czasie intifady. W szkole pojawiali się często zamaskowani mężczyźni, by oznajmić, że jest strajk i mamy wracać do domu. Strajki ogłaszane przez ugrupowania palestyńskie miały na celu uderzyć w Izrael ekonomicznie, zmniejszając podatek od sprzedaży odprowadzany przez właścicieli sklepów. Kiedy sklepy były zamknięte, do skarbu państwa wpływało mniej pieniędzy. Ale Izraelczycy nie byli naiwni - wkrótce zaczęły się aresztowania wśród właścicieli sklepów za uchylanie się od płacenia podatków. A zatem kto najdotkliwiej odczuł skutki strajków?

Na domiar złego różne organizacje w ruchu oporu nieustannie walczyły ze sobą o wpływy i prestiż. Zupełnie jak dzieci, które wrywają sobie piłkę. Jednak Hamas stale rósł w siłę i zaczął podważać dominującą pozycję Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

*

Organizacja Wyzwolenia Palestyny (OWP) została założona w 1964 roku, aby reprezentować Palestyńczyków. Trzy największe ugrupowania wchodzące w jej skład to lewicowy ruch nacjonalistyczny Al-Fatah oraz dwie grupy komunistyczne - Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny (LFWP) i Ludowo-Demokratyczny Front na rzecz Wyzwolenia Palestyny (DFWP).

Działacze OWP domagali się, aby Izrael zwrócił wszystkie ziemie należące do terytorium palestyńskiego przed rokiem 1948 oraz zagwarantował Palestynie prawo do samostanowienia. W tym celu organizacja prowadziła globalną kampanię informacyjną, koordynowała wojnę partyzancką i kierowała działaniami terrorystycznymi ze swych baz, znajdujących się najpierw w sąsiedniej Jordanii, a potem w Libanie i Tunezji.

Na dobrą sprawę OWP - w przeciwieństwie do Hamasu i Islamskiego Dżihadu - nigdy nie była organizacją islamską. Do składających się na nią ugrupowań należeli nacjonaści, ale nie wszyscy byli praktykującymi muzułmanami. Wielu w ogóle nie wierzyło w Boga. Już jako młody chłopak uznawałem OWP za organizację skorumpowaną i dbającą głównie o własne interesy. Jej liderzy zlecali podwładnym (często nastolatkom) przeprowadzenie paru pokazowych ataków terrorystycznych w ciągu roku, aby mieć pretekst do zbierania funduszy na walkę z Izraelem. Młodzi fedaini byli jedynie paliwem wykorzystywanym do podsycania gniewu i nienawiści - a także gwarancją nieprzerwanego dopływu darowizn na osobiste konta bankowe przywódców OWP².

W początkowych latach pierwszej intifady Hamas i OWP trzymały się od siebie z daleka z powodu różnic ideologicznych. Siłą napędową Hamasu była głównie gorliwość religijna i teologia dżihadu, natomiast OWP kierowała się nacjonalizmem i ideologią władzy. Zdarzało się, że Hamas ogłaszał strajk i groził spaleniem wszystkich sklepów, które pozostaną otwarte, a po drugiej stronie ulicy działacze OWP zapowiadali spalenie sklepów, które będą zamknięte.

Ugrupowania te łączyła jednak głęboka nienawiść do państwa Izrael, które określały mianem „tworu syjonistycznego”. Ostatecznie uzgodniono, że Hamas będzie organizował strajki dziewiątego dnia każdego miesiąca, a Al-Fatah - największa frakcja OWP - pierwszego. Gdy tylko ogłaszano strajk, normalne życie zamierało. Zamykano szkoły, zawieszano handel, z ulic znikwały samochody. Nikt nie pracował, nie zarabiał i nie uczył się.

Cały Zachodni Brzeg zastygał, a na ulice wylegali zamaskowani demonstranci. Palili opony, malowali graffiti i zmuszali firmy do przerwania pracy. Jednak na dobrą sprawę każdy mógł założyć kominiarkę i podawać się za członka OWP, skoro nie można było sprawdzić, kto ukrywa się pod maską. Wielu ludzi uznało to za świetną okazję do załatwiania własnych spraw i osobistych porachunków. Zapanował chaos.

Izraelczycy starali się obrócić to na swoją korzyść. Skoro każdy mógł być bojownikiem intifady, żołnierze izraelskiej służby bezpieczeństwa również zakładali kominiarki i infiltrowali szeregi demonstrantów. Jako zamaskowani fedaini swobodnie wkraczali do dowolnego palestyńskiego miasta w środku dnia, aby przeprowadzić zaplanowane operacje. A ponieważ nikt nie miał pewności, kim jest człowiek ukrywający twarz pod maską, ludzie robili, co im kazano. Bali się narazić na pobicie, spalenie sklepu albo oskarżenie o kolaborację z Izraelem, co często kończyło się powieszeniem.

W atmosferze chaosu i dezorientacji po pewnym czasie dochodziło nawet do sytuacji komicznych. Parę razy udało się nam namówić starszych kolegów, by w dniu sprawdzianu przyszli do szkoły w maskach i ogłosili strajk. Uważaliśmy, że to świetny żart.

Stopniowo Palestynczycy sami stawali się swymi największymi wrogami.

Te lata okazały się szczególnie trudne dla naszej rodziny. Ojciec był ciągle przetrzymywany w więzieniu, a z powodu nieustannych strajków prawie w ogóle nie chodziliśmy do szkoły. Moi wujowie, przywódcy religijni i inni ludzie z otoczenia postawili sobie za cel nauczyć mnie dyscypliny, a ponieważ byłem pierworodnym synem szajcha Hasana Jusufa, ustawili mi wysoką poprzeczkę. Kiedy nie spełniałem wymagań, bito mnie. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałem, uznawano te wysiłki za niewystarczające. Nawet kiedy chodziłem do meczetu pięć razy dziennie, to było za mało.

Któregoś razu biegałem po meczecie, zwyczajnie bawiąc się z kolegą. Imam dogonił mnie, złapał i podniósł wysoko do góry, po czym rzucił na podłogę. Spadłem na plecy, straciłem oddech i myślałem, że umrę. Potem imam bił mnie jeszcze i kopał. Dlaczego? Nie zrobiłem nic nadzwyczajnego, zachowywałem się jak pozostałe dzieci. Ale od syna Hasana Jusufa oczekiwano o wiele więcej.

Ojciec jednego z moich kolegów był przywódcą religijnym i wpływową osobistością w Hamasie. Często zachęcał ludzi do rzucania kamieniami. Nie przejmował się tym, że dzieci innych rodziców mogą zostać zastrzelone za obrzucanie osadników kamieniami, ale nie wyobrażał sobie, że taki los mógłby spotkać jego jedyne syna. Gdy pewnego razu dowiedział się, że rzucaliśmy kamieniami, zawołał nas do siebie. Myśleliśmy, że chce z nami porozmawiać, ale on wyrwał przewód z grzejnika i zaczął nas okładać z całej siły, aż do krwi. Aby chronić swego syna, zabronił mu się ze mną przyjaźnić. Mój kolega nienawidził ojca, a kilka lat później odszedł z domu, zrywając z nim wszelki kontakt.

Karcenie mnie było jedyną „pomocą”, jakiej udzielano naszej rodzinie, gdy ojciec przebywał w więzieniu. Kiedy go aresztowano, straciliśmy dodatkowy dochód ze szkoły chrześcijańskiej, w której uczył. Szkoła obiecała zachować dla niego miejsce pracy, aż zostanie zwolniony, ale tymczasem brakowało nam pieniędzy na podstawowe wydatki.

Ponieważ w rodzinie tylko tata miał prawo jazdy, nie mogliśmy korzystać z samochodu. Mama musiała pokonywać pieszo długą drogę na targ. Często jej towarzyszyłem i pomagałem nosić zakupy. Pamiętam, że okropnie się wstydziłem naszej biedy. Gdy przemierzaliśmy targowisko, wczolgiwałem się pod wozy w poszukiwaniu nadpsutych produktów, które spadły na ziemię. Mama targowała się o zwiędłe warzywa, których nikt już nie chciał, udając, że kupuje je na paszę dla zwierząt. Zresztą matka nadal musi się o wszystko targować - kiedy piszę te słowa, ojciec przebywa w więzieniu. Łącznie zaliczył już trzynaście pobytów za kratami - więcej niż jakikolwiek inny przywódca Hamasu.

Być może ludzie myśleli, że mamy mnóstwo pieniędzy, i dlatego nam nie pomagali. W końcu ojciec był ważną osobistością w życiu religijnym i politycznym. Nikt też nie wątpił, że możemy liczyć na dalszą rodzinę. Poza tym zakładano, że Allah z pewnością się o nas zatroszczy. Jednak wujowie nas zignorowali, a Allah nie zainterweniował. Mama musiała sama zająć się siedmiorgiem dzieci - w 1987 roku dołączył do nas braciszek Muhammad.

W końcu gdy już nie było innego wyjścia, mama poprosiła przyjaciela ojca o pożyczkę - nie na ubrania czy kosmetyki dla siebie, ale żeby nakarmić dzieci choć raz dziennie. Jednak on odmówił. Nie dość, że nam nie pomógł, to jeszcze odpowiedział znajomym, że mama błagała go o pieniądze.

- Ma przecież pensję od rządu jordańskiego - znajomi nie posiadali się z oburzenia. -
Dlaczego prosi o więcej? Czy ta kobieta chce się wzbogacić na uwięzieniu swojego męża?

Mama nigdy więcej nie poprosiła już nikogo o pomoc.

- Musab - zwróciła się do mnie któregoś dnia - zrobiłabym trochę bakławy i innych słodkości, a ty poszedłbyś je sprzedać robotnikom w dzielnicy przemysłowej. Co ty na to?

Odparłem, że chętnie zrobię wszystko, aby pomóc rodzinie. I tak każdego dnia po szkole przebierałem się, napełniałem tacę ciastkami mamy i szedłem sprzedać, ile się tylko dało. Początkowo byłem onieśmielony, ale z czasem podchodziłem odważnie do każdego robotnika i prosiłem, by kupił coś ode mnie.

Pewnego zimowego popołudnia jak zwykle wybrałem się sprzedawać ciastka, jednak kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że nikogo nie ma. Tego dnia nikt nie pojawił się w pracy z powodu chłodu. Ręce mi grabiwały i zaczęło padać. Trzymając plastikową tacę nad głową jak parasol, zobaczyłem samochód zaparkowany na poboczu drogi, a w nim kilka osób. Kierowca zauważył mnie i wychylił się przez okno.

- Hej, mały, co tam masz?

- Trochę bakławy - odpowiedziałem, podchodząc bliżej.

Spojrzałem do środka i ze zdumieniem rozpoznałem wuja Ibrahima. Jego znajomi osłupieli na widok siostrzeńca Ibrahima, który zebrze w zimny, deszczowy dzień. Mnie z kolei było przykro, że zawstydziłem wuja. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Oni też milczeli.

Wuj Ibrahim kupił ode mnie całą bakławę, kazał mi iść do domu i powiedział, że porozmawiamy później. Gdy pojawił się u nas, był wściekły na mamę. Nie słyszałem, co jej powiedział, ale gdy wyszedł, płakała. Następnego dnia po szkole przebrałem się i oznajmiłem, że jestem gotowy iść z ciastkami.

- Już nie będziesz sprzedawał bakławy - odpowiedziała.

- Ale idzie mi coraz lepiej! Świetnie sobie radzę, naprawdę!

Łzy napłynęły jej do oczu... Już nigdy więcej nie sprzedawałem ciastek.

Byłem zły. Nie dość, że sąsiedzi i rodzina odmówili nam pomocy, to jeszcze mieli czelność potępiać nas, kiedy sami próbowaliśmy sobie pomóc. Może odsunęli się od nas, bo bali się narazić na kłopoty, gdyby Izraelczycy uznali, że pomagają terrorystom? Tylko że my nie byliśmy żadnymi terrorystami. Nie był nim też mój ojciec. Niestety, to miało się wkrótce zmienić.

6

POWRÓT BOHATERA

1990

Kiedy ojciec w końcu wyszedł na wolność, nagle - po półtora roku społecznego wykluczenia - zaczęto nas traktować jak rodzinę królewską. Bohater powrócił. Nie byłem już czarną owcą, ale prawowitym następcą tronu. Moi bracia stali się książętami, siostry księżniczkami, a mama - królową. Nikt nie ważył się nas już więcej potępiać.

Oprócz stanowiska w meczecie ojciec odzyskał też etat w szkole chrześcijańskiej. Pomagał mamie w domu, na ile tylko był w stanie. Dzięki temu ja i rodzeństwo mieliśmy teraz mniej obowiązków. Nie staliśmy się bogatą rodziną, ale mieliśmy dość pieniędzy, by kupować dobre jedzenie, a od czasu do czasu mogliśmy sobie nawet pozwolić na nagrodę dla dziecka, które uzbierało najwięcej gwiazdek w konkursie. Cieszyliśmy się szacunkiem i uznaniem u ludzi. Najważniejsze, że ojciec był z nami. Niczego więcej nie potrzebowaliśmy.

Nasze życie znowu zaczęło toczyć się normalnie. Oczywiście „normalność” to pojęcie względne. Wciąż byliśmy pod izraelską okupacją, a na ulicach codziennie ginęli ludzie. Na pobliski cmentarz stale dowożono zakrwawione ciała ofiar. Ojciec odreagowywał traumatyczne przeżycia z izraelskiego więzienia, gdzie przetrzymywano go przez osiemnaście miesięcy jako podejrzanego o terroryzm. A Terytoria Okupowane przeobrażały się coraz bardziej w dżunglę bezprawia.

Jedyne prawo, którego przestrzegają muzułmanie, to prawo islamskie. Składają się na nie fatwy - orzeczenia religijne dotyczące różnych zagadnień. Fatwy z założenia mają pomagać muzułmanom w stosowaniu Koranu w życiu codziennym. Nie istnieje jednak żaden nadrzędny i jednoczący autorytet, tak więc różni szajchowie wydają różne fatwy dotyczące tego samego problemu. Wierni kierują się odmiennymi zestawami reguł, które mogą być mniej lub bardziej rygorystyczne.

Któregoś popołudnia, kiedy bawiliśmy się w domu z kolegami, usłyszeliśmy krzyki dochodzące z ulicy. Wrzaski i bójki nie należały co prawda do rzadkości, ale kiedy wybiegliśmy z domu, zobaczyliśmy, że nasz sąsiad Abu Salim wymachuje wielkim nożem i próbuje ugodzić swojego kuzyna. Ten z kolei uciekał po podwórku i wywijał się na wszystkie strony, żeby tylko ostrze połyskujące w powietrzu nie dosięgło żadnej części jego ciała.

Pozostali sąsiedzi starali się powstrzymać Abu Salima, był to jednak potężny mężczyzna, który pracował jako rzeźnik. Widziałem kiedyś na podwórku, jak zarzynał byka, cały pokryty lepka, parującą jeszcze krwią. Kiedy teraz próbował dopaść swojego kuzyna, tamta scena stanęła mi wyraźnie przed oczami.

Rzeczywiście - pomyślałem - żyjemy w dżungli.

Nie było żadnej policji, którą można by wezwać, żadnej władzy. Mogliśmy tylko stać i patrzeć. Na szczęście niedoszła ofiara uciekła i gdzieś się zasyła.

Gdy wieczorem ojciec wrócił do domu, opowiedzieliśmy mu całe zajście. Tata nie jest wysoki ani atletycznie zbudowany, ale poszedł do sąsiada i zapytał:

- Abu Salim, co się dzieje? Słyszałem, że była tu dziś bójka.

Rzeźnik przyznał się, że chciał zabić kuzyna.

- Wiesz przecież, że żyjemy pod okupacją - pouczył go ojciec - i nie możemy tracić czasu na głupoty. Musicie się spotkać i przeprosić. I żeby mi się więcej taka sytuacja nie powtórzyła.

Abu Salim szanował mojego ojca, tak jak pozostali mieszkańcy. Uznawał jego autorytet nawet w sprawach osobistych. Zgodził się porozmawiać z kuzynem, a potem stawiał się na spotkaniu mężczyzn z sąsiedztwa zwołanym przez ojca.

- Sytuacja przedstawia się następująco - zaczął tata. - Nie mamy rządu i sprawy całkowicie wymknęły się spod kontroli. Nie możemy walczyć między sobą i przelewać bratniej krwi. Bijemy się na ulicach, w domach i meczetach. Dostyc już tego. Od tej pory przynajmniej raz w tygodniu będziemy się spotykali na zebraniu, żeby rozwiązywać nasze spory po ludzku. Nie mamy policji i nie możemy tolerować waśni i bójek. Mamy poważniejsze problemy. Powinniśmy żyć w zgodzie i pomagać sobie nawzajem. Musimy być jak rodzina.

Zgromadzeni uznali, że propozycja ojca ma sens. Ustalili, że będą się spotykać w każdy czwartek wieczorem, żeby rozmawiać o problemach naszej okolicy i rozstrzygać ewentualne spory sąsiedzkie.

Jako imam miejscowego meczetu ojciec dawał ludziom nadzieję i pomagał w codziennych sprawach. Ponieważ inne instytucje zawiodły, ludzie traktowali go także jak przedstawiciela władzy. Zaczął pełnić taką samą rolę, jaką niegdyś pełnił jego ojciec. Teraz miał za sobą również autorytet Hamasu - autorytet szajcha. Szajch ma większą władzę niż imam - jest nie tyle osobą duchowną, ile kimś w rodzaju generała.

Tata był w domu dopiero od trzech miesięcy, więc chciałem spędzać z nim jak najwięcej czasu. Zostałem przewodniczącym islamskiego stowarzyszenia uczniów w szkole i

chciałem wiedzieć wszystko o islamie i Koranie. Któregoś czwartku poprosiłem ojca, żeby zabrał mnie ze sobą na cotygodniowe spotkanie sąsiedzkie. Przekonywałem, że jestem już przecież prawie mężczyzną i chciałbym być traktowany po męsku.

- Nie - odpowiedział - zostaniesz w domu. To są spotkania dla dorosłych. Później opowiem ci, co się działo.

Byłem zawiedziony, ale rozumiałem tę decyzję. Żadnemu z moich kolegów nie pozwalano uczestniczyć w zebraniach. Ja przynajmniej miałem zostać wtajemniczony w przebieg spotkania po powrocie taty do domu.

Ojciec wyszedł na kilka godzin. Mama przygotowywała właśnie pyszną rybę na kolację, gdy ktoś zapukał do drzwi. Uchyliłem je - to był kapitan Szaj, który aresztował ojca dwa lata wcześniej.

- Abuk mawdzud?

- Nie, nie ma go.

- To otwórz drzwi.

Nie wiedziałem, co zrobić, więc otworzyłem. Kapitan Szaj był uprzejmy, tak jak za pierwszym razem, kiedy przyszedł po ojca, ale nie wierzył mi. Spytał, czy może się rozejrzeć. Nie miałem większego wyboru, więc mu pozwoliłem. Kiedy przeszukiwał dom, zaglądając do wszystkich pokoi, szaf i za drzwi, zastanawiałem się, jak ostrzec tatę. Nie miałem wtedy komórki i nie mogłem zadzwonić. Jednak po namyśle zdałem sobie sprawę, że nawet gdybym go ostrzegł, nic by to nie zmieniło. I tak wróciłby do domu.

- Uwaga, wszyscy mają być cicho! - kapitan Szaj rozkazał żołnierzom, którzy czekali na zewnątrz.

Żołnierze schowali się w krzakach i za budynkami i czekali na tatę. Bezradnie usiadłem przy stole i nasłuchiwałem. Po jakimś czasie ktoś głośno krzyknął „Stój! Nie ruszaj się!”. Wiedzieliśmy, że nie oznacza to nic dobrego. Czy tata znowu pójdzie do więzienia?

Po kilku minutach ojciec wszedł do środka. Kręcił głową i uśmiechał się do nas przepraszająco.

- Znowu mnie zabierają - powiedział. Ucałował mamę i każdego z nas. - Nie wiem, jak długo to potrwa. Sprawujcie się dobrze. Dbajcie o siebie.

Założył marynarkę i wyszedł. Ryba na talerzach zdążyła już zupełnie wystygnąć.

Znowu zaczęliśmy być traktowani jak uchodźcy, nawet przez ludzi z sąsiedztwa, których tata wspierał i bronił. Niektórzy pytali o ojca z udawaną troską, ale miałem wrażenie, że tak naprawdę jego los wcale ich nie obchodzi.

Wiedzieliśmy, że ojciec znajduje się w izraelskim więzieniu, ale nikt nie chciał nam

powiedzieć w którym. Przez trzy miesiące szukaliśmy go po różnych miejscach, aż w końcu dowiedzieliśmy się, że przetrzymują go w specjalnym ośrodku, w którym przesłuchuje się tylko najgroźniejszych przestępców. *Dlaczego?* - zastanawiałem się. Hamas nie przeprowadził jeszcze żadnych ataków terrorystycznych, a jego członkowie nie mieli nawet broni.

Gdy wreszcie udało nam się ustalić, gdzie przetrzymują tatę, władze izraelskie pozwoliły nam na półgodzinne odwiedziny raz w miesiącu. Na widzenia wpuszczano jednocześnie tylko dwie osoby, więc każdy z nas wchodził po kolei z mamą. Kiedy zobaczyłem tatę pierwszy raz, zdziwiłem się, że zapuścił brodę i wygląda mizernie. Ale tak dobrze było go zobaczyć mimo kiepskiej kondycji. Nigdy się nie skarżył, wypytywał tylko, co słychać u nas, i kazał sobie opowiadać wszystkie szczegóły z naszego codziennego życia.

Podczas jednej z wizyt podał mi torebkę cukierków. Wyjaśnił, że co drugi dzień więźniowie dostają po jednym cukierku, a on odkłada je wszystkie dla nas. Papierki przechowywaliśmy potem jak skarby aż do dnia, w którym znowu wypuścili tatę na wolność.

Ten długo wyczekiwany dzień w końcu nadszedł. Nie spodziewaliśmy się taty i kiedy stanął w drzwiach, wszyscy uwiesiliśmy się na nim, nie wierząc własnym oczom. Wieść o jego powrocie szybko się rozeszła i przez następnych kilka godzin ludzie tłumnie przybywali do naszego domu, żeby przywitać ojca. Przyszło ich tak wielu, że zużyliśmy całą wodę z naszych zbiorników, żeby każdego poczęstować szklaneczką. Czuję dumę, widząc tak wielki podziw i szacunek dla mego ojca, ale jednocześnie złościłem się na tych ludzi. Gdzie się podziawali, kiedy tata był w więzieniu?

Gdy już sobie poszli, ojciec powiedział mi:

- Nie pracuję dla tych ludzi ani dla ich uznania, ani po to, żeby troszczyli się o mnie i o naszą rodzinę. Pracuję dla Allaha. Dobrze wiem, że wy wszyscy również płacicie za to wysoką cenę. Wy też jesteście sługami Allaha i musicie być cierpliwi.

Rozumiałem to, ale zastanawiałem się, czy ojciec zdaje sobie sprawę, jak ciężko było nam bez niego. Nie skończyliśmy jeszcze rozmawiać, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Izraelczycy znów zaarrestowali ojca.

7

RADYKAŁ

1990-1992

W sierpniu 1990 roku, gdy ojciec był po raz trzeci przetrzymywany w więzieniu, Saddam Husajn najechał na Kuwejt.

Palestyńczyków ogarnęło istne szaleństwo. Wszyscy wylegli na ulice, wiwatowali i wypatrywali pocisków, które miały spaść jak grad na Izrael. Nasi bracia wreszcie przybywają nam na ratunek! Zadadzą Izraelowi mocny cios w samo serce i wkrótce okupacja się skończy!

Rząd izraelski zaopatrzył swoich obywateli w maski gazowe, spodziewając się ataku gazowego podobnego do tego, który w 1988 roku uśmiercił pięć tysięcy Kurdów. Jednak Palestyńczycy otrzymali tylko jedną maskę na gospodarstwo domowe. Mama dostała maskę, ale ja i sześcioro rodzeństwa nie mieliśmy żadnego zabezpieczenia. Uruchomiliśmy zatem wyobraźnię i zrobiliśmy własne maski. Kupiliśmy też arkusze foliowe, które przymocowaliśmy taśmą klejącą do okien i drzwi. Ale rano okazało się, że z powodu wilgoci taśma się odkleiła.

Bez przerwy śledziliśmy wiadomości w izraelskiej telewizji i wznosiliśmy okrzyki radości za każdym razem, gdy nadawano ostrzeżenie o nadlatujących pociskach. Wspinaliśmy się na dach, żeby zobaczyć, jak irackie rakiety Scud zapalają łunę nad Tel Awiwem. Ale niczego takiego nie widzieliśmy.

Może z Al-Biry nie ma dobrej widoczności - próbowałem to sobie jakoś wytłumaczyć. Postanowiłem wybrać się do wujka Dawuda do Al-Dżanii - z jego domu rozciągał się widok aż do Morza Śródziemnego. Zabrałem ze sobą młodszego brata Suhajba. Po dotarciu na miejsce wdrapaliśmy się na dach i zobaczyliśmy pierwszą rakietę. Właściwie dostrzegliśmy tylko pożar wzniecony przez wybuch pocisku, ale i tak był to niesamowity widok!

Gdy w wiadomościach usłyszeliśmy, że na Izrael spadło kilkadziesiąt rakiet Scud i że zginęło tylko dwóch Izraelczyków, byliśmy pewni, że rząd kłamie. Doniesienia te okazały się jednak prawdą. Irakijczycy przesterowali rakiety, aby wydłużyć ich zasięg, przez co straciły na mocy i celności.

Zatrzymaliśmy się jeszcze u wujka przez pewien czas, aż wreszcie siły ONZ zmusiły wojska Saddama Husajna do wycofania się z powrotem do Bagdadu. Czułem złość i

rozczarowanie. *Dlaczego wojna tak szybko się skończyła?* - to pytanie nie dawało mi spokoju. - *Przecież Izrael nadal istnieje, a mój ojciec ciągle siedzi w izraelskim więzieniu! Irakijczycy powinni kontynuować ostrzał raketowy!*

Rozczarowanie udzielało się wszystkim Palestyńczykom. Po kilkadziesiąt lat okupacji wybuchła wreszcie prawdziwa wojna i Izrael został zaatakowany głowicami bojowymi. A jednak nic się nie zmieniło.

*

Kiedy po zakończeniu wojny w Zatoce Perskiej ojciec został zwolniony z więzienia, mama oznajmiła, że chce sprzedać złoto ze swojego posagu, żebyśmy mogli kupić kawałek ziemi, zaciągnąć pożyczkę i zbudować własny dom. Do tej pory wynajmowaliśmy mieszkanie.

Kiedy taty nie było, właściciel nas oszukiwał, obrażał matkę i zachowywał się wobec niej grubiańsko.

Mama zaimponowała tacie gotowością rozstania się z cenną pamiątką, jednak ojciec obawiał się, że w razie ponownego aresztowania możemy mieć problemy ze spłatą kredytu. Mimo wszystko postanowili zaryzykować i w 1992 roku wybudowaliśmy dom w Betanii koło Ram Allah, w którym moja rodzina mieszka do dzisiaj. Miałem wtedy czternaście lat.

W porównaniu z Al-Birą i Ram Allah Betania była o wiele spokojniejsza. Chodziłem do meczetu niedaleko naszego nowego domu i przyłączyłem się do ruchu *dżalsa* - na spotkaniach tej grupy uczyliśmy się na pamięć wersetów Koranu i poznawaliśmy zasady, które według naszych przywódców miały doprowadzić do powstania ogólnoswiatowego państwa islamskiego.

Kilka miesięcy po przeprowadzce po raz kolejny aresztowali tatę. Jak zwykle nie przedstawiono mu żadnych konkretnych zarzutów. Ponieważ znajdowaliśmy się pod okupacją i obowiązywał stan wyjątkowy, władze izraelskie zatrzymywały ludzi, których podejrzewano o jakikolwiek związek z działalnością terrorystyczną. Jako przywódca religijny - w domyśle: polityczny - ojciec był łatwym celem.

Schemat aresztowania i zwolnienia, po którym następowało ponowne aresztowanie, miał się powtarzać przez wiele lat, choć wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Nieustanne pobyty ojca za kratami w coraz większym stopniu destabilizowały życie naszej rodziny. Tymczasem Hamas nieuchronnie zmierzał w stronę agresji i przemocy. Młodsze pokolenie naciskało na przywódców, domagając się bardziej zdecydowanych działań.

- Izraelczycy zabijają nasze dzieci! - wołali. - My rzucamy kamieniami, a oni strzelają do nas z karabinów maszynowych. Żyjemy pod okupacją. ONZ, społeczność

międzynarodowa i wszyscy wolni ludzie uznają nasze prawo do obrony. Sam Allah, niech jego imię będzie błogosławione, żąda od nas podjęcia walki. Na co jeszcze czekamy?

Ataki, do których wówczas dochodziło, w większości nie były zorganizowanymi akcjami, tylko inicjatywą pojedynczych osób. Przywódcy Hamasu nie mieli kontroli nad poszczególnymi członkami organizacji, którzy kierowali się własnymi interesami. Wizją mojego ojca była wolność dla wyznawców islamu. Wierzył, że powinniśmy walczyć o tę wolność z Izraelem. Jednak dla młodego pokolenia walka stała się już nie tyle środkiem do celu, ile celem samym w sobie.

Na Zachodnim Brzegu zrobiło się niebezpiecznie, ale jeszcze gorzej było w Gazie. Ze względu na położenie geograficzne dominującą pozycję w Gazie zdobyło fundamentalistyczne Bractwo Muzułmańskie z Egiptu. Sytuację pogarszało przeludnienie. Gaza była jednym z najgęściej zaludnionych rejonów na świecie - właściwie przeistoczyła się w jeden wielki obóz dla uchodźców o powierzchni trzystu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych, w którym słoczono ponad milion ludzi.

Na ścianach baraków w obozie uchodźcy wieszali akty własności i klucze - niemy dowód i codzienne przypomnienie o tym, że kiedyś posiadali domy i gospodarstwa, które Izrael przejął jako łup wojenny. Było to idealne środowisko do werbowania nowych członków Hamasu. Uchodźcy mieli silną motywację i dużo wolnego czasu. Doświadczyli prześladowań nie tylko od Izraelczyków, lecz także od swych rodaków Palestyńczyków, którzy uznawali ich za obywateli drugiej kategorii czy wręcz za swego rodzaju najeźdźców, ponieważ obozy dla uchodźców zbudowano na ziemi ich sąsiadów.

Właśnie z obozów dla uchodźców wywodziła się większość młodych, niecierpliwych działaczy Hamasu. Należał do nich Imad Akil. Był najmłodszym z trzech braci i studiował farmację. Wszystko wskazuje na to, że któregoś dnia czara goryczy w końcu się przelała - Akil zdobył karabin, zastrzelił kilku żołnierzy izraelskich i zabrał ich broń. Inni poszli za jego przykładem i Akil w krótkim czasie zyskał liczne grono zwolenników. Działając niezależnie, utworzył niewielki oddział bojowy i przeniósł się na Zachodni Brzeg, gdzie było większe pole do działania i więcej potencjalnych celów ataków. Z rozmów zasłyszanych na mieście wiedziałem, że Hamas jest z niego bardzo dumny, mimo że formalnie Akil nie podlegał organizacji. Przywódcy Hamasu nie chcieli, żeby łączono akcje Akila z ich działalnością. Dlatego utworzono skrzydło militarne - Brygady Iz ad-Din al-Kasam - i przekazano Akilowi dowództwo. Wkrótce Akil był najbardziej poszukiwanym Palestyńczykiem w Izraelu.

Teraz Hamas był już uzbrojony. Karabiny szybko wyparły kamienie, graffiti i koktajle Mołotowa. Izrael musiał uporać się z nowym problemem. Do tej pory Izraelczycy bronili się

przed atakami OWP przeprowadzanymi z terenów Jordanii, Libanu i Syrii - teraz musieli zmierzyć się z wrogiem, który atakował z ich własnego terytorium.

8

PODSYCANIE PŁOMIENI

1992-1994

13 grudnia 1992 roku w okolicy Tel Awiwu pięciu członków Brygad Al-Kasam porwało izraelskiego funkcjonariusza straży granicznej Nissima Toledano. Domagali się, by Izrael uwolnił szajcha Ahmada Jasina. Izraelczycy odmówili. Kiedy dwa dni później znaleziono ciało Toledano, Izrael rozpoczął potężną ofensywę wymierzoną w Hamas. W jednym dniu aresztowano ponad tysiąc sześciuset Palestyńczyków. Władze izraelskie zdecydowały się na potajemną deportację czterystu piętnastu przywódców Hamasu, Islamskiego Dżihadu i Bractwa Muzułmańskiego. Wśród deportowanych znalazł się mój ojciec, który w tym czasie przebywał w więzieniu, a także trzech wujowie.

Miałem wówczas zaledwie czternaście lat. Nikt z nas nie wiedział, co się tak naprawdę dzieje, jednak gdy wiadomość o deportacji się rozniosła, zrozumieliśmy, że ojciec znalazł się w dużej grupie nauczycieli, przywódców religijnych, inżynierów i pracowników opieki społecznej, których wytypowano do wywiezienia. Skuto ich kajdankami, zawiązano im opaski na oczach i usadzono w autobusach. Po kilku godzinach od pojawienia się tej informacji adwokaci i obrońcy praw człowieka zaczęli składać protesty. Autobusy zatrzymano w drodze, gdy o piątej nad ranem Izraelski Sąd Najwyższy zebrał się w celu rozpatrzenia zarzutów. Sąd obradował przez czternaście godzin, a ojciec i inni deportowani byli cały czas przetrzymywani w autobusach - skrupowani, z zawiązanymi oczami, bez jedzenia i wody, bez możliwości skorzystania z toalety. Ostatecznie sąd poparł działania rządu i autobusy podjęły przerwana podróż na północ. Później dowiedzieliśmy się, że wywieziono naszych bliskich w jakieś odludne miejsce w południowym Libanie. Choć był to środek ostrej zimy, pozostawiono ich tam bez żywności i schronienia. Ani Izrael, ani Liban nie zezwoliły organizacjom humanitarnym na dostarczenie deportowanym żywności i leków. Bejrut odmówił przetransportowania chorych i rannych do szpitali.

18 grudnia Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjęła Rezolucję nr 799, wzywającą do umożliwienia deportowanym „bezpiecznego i natychmiastowego” powrotu. Izrael odmówił. Kiedy przetrzymywali tatę w więzieniu, mogliśmy go przynajmniej odwiedzać, jednak teraz żadne spotkanie nie wchodziło w grę, ponieważ granica z Libanem była zamknięta. Kilka

tygodni później w końcu zobaczyliśmy go w telewizji - pierwszy raz od dnia deportacji. Okazało się, że członkowie Hamasu mianowali go sekretarzem generalnym obozu. Ustępował rangą tylko Abd al-Azizowi ar-Rantisiemu, innemu przywódcy Hamasu.

Codziennie śledziliśmy wiadomości telewizyjne z nadzieją, że znów choć przez chwilę zobaczymy twarz taty. Czasami pokazywano go, jak przez megafon wydaje instrukcje deportowanym. Na wiosnę udało mu się przekazać nam list ze zdjęciami zrobionymi przez reporterów i pracowników organizacji humanitarnych. W końcu udostępniono deportowanym telefony komórkowe i co tydzień mogliśmy porozmawiać z tatą przez kilka minut.

Media przeprowadzały wywiady z bliskimi deportowanych, aby wzbudzić współczucie światowej opinii publicznej. Moja siostra Tasnim wrzuciła do łez widzów na całym świecie, wołając do kamery: *Baba! Baba!* („Tatusiu, tatusiu!”). Naszą rodzinę uznano za nieoficjalnego rzecznika wszystkich pozostałych rodzin. Zapraszano nas na każdą akcję protestacyjną. Braлиśmy udział w nieprzerwanej demonstracji przed kancelarią premiera Izraela w Jerozolimie. Ojciec był z nas bardzo dumny. Gesty solidarności docierające do nas z całego świata, nawet ze strony izraelskich mediatorów, dodawały nam otuchy. Pół roku później pojawiła się wreszcie wiadomość, że stu jeden deportowanych ma wrócić do domów. Jak wszystkie rodziny, trzymaliśmy się kurczowo nadziei, że będzie wśród nich ojciec.

Tak się jednak nie stało.

Następnego dnia odwiedziliśmy bohaterów, którzy powrócili z Libanu, żeby dowiedzieć się czegoś o ojcu. Powiedzieli nam tylko tyle, że tata czuje się dobrze i wkrótce wróci do domu. Upłynęły kolejne trzy miesiące, aż wreszcie Izrael zgodził się na powrót pozostałych deportowanych. Byliśmy w siódmym niebie.

Wyznaczonego dnia niecierpliwie czekaliśmy przed więzieniem w Ram Allah, gdzie mieli zostać zwolnieni pozostali deportowani. Najpierw wypuścili dziesięciu, potem kolejną grupę... Jednak taty wśród nich nie było. Gdy wyszedł ostatni mężczyzna, żołnierze oznajmili, że to już wszyscy. Nie poinformowano nas, co się dzieje z ojcem i dlaczego nadal go przetrzymują. Inne rodziny z radością zabrały swoich bliskich do domów, a my staliśmy tam sami w środku nocy, zastanawiając się, gdzie jest tata. Wracaliśmy do domu zniechęceni, rozczarowani i zmartwieni. Dlaczego nie zwolniono taty razem z innymi więźniami? Gdzie teraz przebywa?

Nazajutrz zadzwonił pełnomocnik ojca z informacją, że tata wraz z kilkoma innymi deportowanymi został ponownie zatrzymany w więzieniu. Izraelczycy najwyraźniej doszli do wniosku, że deportacja przyniosła skutki odwrotne od zamierzonych. Na wygnaniu ojciec i inni przywódcy palestyńscy trafili na czołówki gazet i zaskarbili sobie sympatię światowej

opinii publicznej, ponieważ uznano, że zastosowane wobec nich sankcje są zbyt surowe i naruszają prawa człowieka. Cały świat arabski uważał ich teraz za bohaterów swojej sprawy, przez co zyskali jeszcze większy wpływ i znaczenie.

Deportacja miała jeszcze jeden nieprzewidziany skutek, który miał się okazać katastrofalny dla Izraela. Deportowani wykorzystali pobyt na zesłaniu do nawiązania bezprecedensowej współpracy między Hamasem a Hezbollahem, najważniejszą islamską organizacją polityczną i paramilitarną w Libanie. Ten fakt niósł ze sobą poważne konsekwencje historyczne i geopolityczne. Ojciec i inni przywódcy Hamasu często wymykali się z obozu, żeby już bez udziału mediów spotykać się z liderami Hezbollahu i Bractwa Muzułmańskiego. Na terytorium Palestyny nigdy nie nawiązaliby takich kontaktów.

Kiedy ojciec i jego towarzysze przebywali w Libanie, najbardziej bezkompromisowi członkowie Hamasu pozostawali na wolności, a ich poglądy ulegały postępującej radykalizacji. W miarę jak owi „młodzi gniewni” tymczasowo przejmowali role przywódcze, ugrupowanie coraz bardziej oddalało się od OWP.

Mniej więcej w tym samym czasie Izrael rozpoczął potajemne negocjacje z Jasirem Arafatem, które doprowadziły do Porozumień z Oslo w 1993 roku. 9 sierpnia Arafat przekazał izraelskiemu premierowi Icchakowi Rabinowi list, w którym oficjalnie uznał „prawo państwa Izrael do pokojowego i bezpiecznego istnienia” i odrzucił „użycie terroryzmu oraz innych aktów przemocy”.

Z kolei Rabin oficjalnie uznał OWP za „reprezentanta ludności palestyńskiej”, a prezydent Bill Clinton zniósł zakaz kontaktów amerykańskich z tą organizacją. 13 września świat obiegły sensacyjne zdjęcia Arafata i Rabina, którzy podają sobie ręce w Białym Domu. Przeprowadzony wtedy sondaż wykazał, że przeważająca większość Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu i w Gazie popiera warunki Porozumień ujęte w tzw. Deklaracji Zasad, znanej także jako Deklaracja Pokojowych Intencji. Dokument ten torował drogę do ustanowienia Autonomii Palestyńskiej (Palestyńskich Władz Narodowych), wzywał do wycofania oddziałów izraelskich z Gazy i Jerycha i nadawał tym terenom autonomię. Ponadto umożliwił Arafatowi i OWP powrót z wygnania w Tunezji.

Mój ojciec odnosił się do Deklaracji Zasad sceptycznie. Nie ufał Izraelowi ani OWP, dlatego nie wierzył w proces pokojowy. Z drugiej strony przyznawał, że niektórzy przywódcy Hamasu mają inne powody, by kontestować Deklarację Zasad. Obawiali się po prostu, że porozumienie pokojowe może faktycznie okazać się trwałe! A pokojowe współistnienie Izraela z Palestyną oznaczałoby koniec Hamasu. Jego liderzy uważali, że organizacja nie mogłaby się dalej rozwijać w warunkach pokoju. Na podsycaniu konfliktu zależało również

innym grupom oporu. Trudno o pokój w sytuacji, gdy krzyżuje się tyle sprzecznych celów i interesów.

Dlatego w dalszym ciągu dochodziło do ataków. 24 września w sadzie w pobliżu Basry fedain z Hamasu zasztyletował Izraelczyka. Dwa tygodnie później Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny i Islamski Dżihad wzięły na siebie odpowiedzialność za śmierć dwóch Izraelczyków na Pustyni Judzkiej. Kilka tygodni po tym wydarzeniu Hamas zastrzelił dwóch żołnierzy izraelskich w pobliżu osiedla żydowskiego w Gazie.

Jednak żadne z tych zabójstw nie poruszyło opinii światowej w takim stopniu, jak masakra, do której doszło w piątek, 25 lutego 1994 roku. W trakcie żydowskiego święta Purim i muzułmańskiego Ramadanu Baruch Goldstein, lekarz urodzony w Ameryce, wszedł do meczetu Al-Haram Al-Ibrahimi w Hebronie, gdzie według miejscowej tradycji pochowani są Adam i Ewa, Abraham i Sara, Izaak i Rebeka oraz Jakub i Lea. Zaczął strzelać bez ostrzeżenia - zabił dwudziestu pięciu Palestyńczyków, którzy się tam modlili, a ponad sto osób ranił. Tłum zrozpaczonych, rozwścieczonych ludzi poturbował go na śmierć.

Na ekranie telewizora oglądaliśmy obraz zarejestrowany przez kamery, jak ze świętego miejsca wynoszą po kolei jedno zakrwawione ciało za drugim. Byłem w szoku. Wszystko toczyło się jakby w zwolnionym tempie. Moje serce przepełniał gniew, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwałem, z intensywnością, która z jednej strony zaskakiwała, a z drugiej strony przynosiła osobliwe ukojenie. Zaraz potem ogarniała mnie fala odrętwiającego żalu. Później znów pojawiał się gniew - i odrętwienie. Nie byłem w tych odczuciach osamotniony. Wydawało się, że wszyscy na Terytoriach Okupowanych przeżywają takie odrealnione, wycieńczające stany.

Ponieważ Goldstein miał na sobie mundur wojskowy, a żołnierzy izraelskich na miejscu zdarzenia było mniej niż zwykle, Palestyńczycy byli przekonani, że wysłał go rząd w Jerozolimie - a jeśli nie wysłał, to przynajmniej osłaniał. Dla nas żołnierze strzelający z byle powodu czy szaleni żydowscy osadnicy - to było jedno i to samo. W głosie przywódców Hamasu przebijała teraz przerażająca determinacja. Myśleli już tylko o pomszczeniu tej potwornej zbrodni.

6 kwietnia samochód z ładunkiem wybuchowym zniszczył autobus w Afuli, zabijając osiem osób i raniąc kolejne czterdzieści cztery. Hamas oświadczył, że to odwet za Hebron. Tego samego dnia dwóch Izraelczyków zostało zabitych, a czterech innych rannych, kiedy członkowie Hamasu ostrzelali przystanek autobusowy w pobliżu Aszdod.

Tydzień później doszło do pierwszego oficjalnego zamachu samobójczego wymierzonego w Izrael. W ten okrutny sposób przekroczone kolejny próg przemocy. W

środkowy poranek 13 kwietnia 1994 roku - tego samego dnia, kiedy mój ojciec został nareszcie zwolniony z więzienia po deportacji w Libanie - dwudziestojednoletni Amr Salah Diab Amarna pojawił się na dworcu autobusowym w Haderze - miejscowości położonej w środkowym Izraelu między Hajfą a Tel Awiwem. Amarna miał przy sobie torbę, w której niósł dwa kilogramy mieszanki wybuchowej zawierającej nadtlenek acetonu oraz metalowe odłamki. O godzinie 9.30 wsiadł do autobusu do Tel Awiwu. Dziesięć minut później, gdy autobus wyjeżdżał z dworca, położył torbę na podłodze i detonował ładunek.

Bomba rozerwała się na drobne odłamki, zabijając sześciu pasażerów autobusu i raniąc trzydzieści osób. Kolejny ładunek eksplodował w momencie przybycia ratowników. Był to „drugi z serii pięciu ataków” przeprowadzonych w odwecie za Hebron, jak głosiła później ulotka Hamasu.

Byłem dumny z Hamasu. Uznałem ataki za wielkie zwycięstwo nad izraelskim okupantem. Dla piętnastolatka świat jest czarno-biały - dzieli się na dobrych i złych, a zli zasłużyli sobie na wszystko, co ich spotyka. Widziałem, co dwukilogramowa bomba wyładowana gwoździami i łożyskami kulkowymi może zrobić z ciałem człowieka - i miałem nadzieję, że będzie to czytelny komunikat dla Izraelczyków.

Po każdym zamachu samobójczym na miejsce tragedii przybywały brygady ochotników zwane ZAKA, złożone z ortodoksyjnych Żydów ubranych we fluorescencyjne kamizelki. Ich zadanie polegało na przygotowaniu materiału do identyfikacji ofiar - w tym celu członkowie brygad zbierali krew i szczątki ciał (także ciał ofiar nieżydowskich oraz ciała zamachowcy), które trafiały następnie do zakładu medycyny sądowej w Jaffie. Tamtejsi patolodzy starali się zidentyfikować fragmenty ciał pochodzące od poszczególnych ofiar. Nierzadko jedynym sposobem połączenia ze sobą różnych części były testy DNA.

Rodziny, które nie znalazły swoich bliskich wśród rannych w miejscowych szpitalach, kierowano właśnie do Jaffy, dokąd udawały się pogrążone w rozpacz. Patolodzy odradzali oglądanie szczątków, tłumacząc, że lepiej zapamiętać swych bliskich takimi, jacy byli za życia. Jednak większość mimo to chciała dotknąć ciała ukochanej osoby ostatni raz, nawet jeśli pozostała po niej sama stopa.

Zgodnie z prawem żydowskim zmarłego należy pochować w dniu śmierci, dlatego często zdarzało się, że grzebano najpierw większe części ciała, a mniejsze fragmenty dodawano później, gdy testy DNA potwierdziły tożsamość osoby. Rodziny ofiar na nowo pogrążały się w bólu i żalobie.

Tragedię w Haderze uznano za pierwszy oficjalny zamach bombowy, ale w rzeczywistości była to już trzecia próba - z każdym kolejnym podejściem hamasowski

konstruktor bomb Jahja Ajjasz doskonalili swe rzemioslo. Ajjasz byl studentem wydzialu inzynieryjnego na Uniwersytecie Birzeit. Nie nalezal do zadnego radykalnego ugrupowania muzulmanskiego czy nacjonalistycznego. Byl po prostu rozgoryczonym mlodym czlowiekiem, ktoremu rzad izraelski odmowil pozwolenia na kontynuowanie studiow za granica - w rewanzu postanowil zajac sie konstruowaniem bomb. Zostal bohaterem w oczach Palestynczykow i jednym z najbardziej poszukiwanych przestepcow w Izraelu.

Poza dwiema nieudanymi probami oraz zamachami z 6 i 13 kwietnia Ajjasz jest odpowiedzialny laczenie za smierc przynajmniej trzydziestu dziewięciu osob w pieciu kolejnych zamachach. Wiedze na temat konstruowania bomb udalo mu sie takze przekazac innym terrorystom, takim jak jego przyjaciel Hasan Salama.

*

Podczas wojny w Zatoce Jasir Arafat poparl Saddama Husajna oraz inwazje na Kuwejt, przez co narazil sie Stanom Zjednoczonym i krajom arabskim zrzeszonym w koalicji, ktorej przewodzili Amerykanie. W rezultacie kraje te zaczely przekierowywac swoje wsparcie finansowe z OWP do Hamasu.

Jednak po zawarciu Porozumien z Oslo Arafat znow znalazl sie w centrum zainteresowania. Wspolnie z premierem Izraela Icchakiem Rabinem oraz izraelskim ministrem spraw zagranicznych Szymonem Peresem zostal laureatem pokojowej Nagrody Nobla.

Porozumienia z Oslo przewidywaly, ze Arafat utworzy Autonomie Palestynska na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy. Dlatego 1 lipca 1994 Arafat przekroczyl granice z Egiptem w Rafah i ulokowal sie w Gazie. „Jednosc narodowa” - przemawial do tlumow swietujacych jego powrot z zeslania - „jest nasa tarcza, tarcza naszego ludu. Jednosc, jednosc, jednosc”³.

Jednak terytoria palestyńskie byly dalekie od zjednoczenia.

Hamas i jego zwolennicy mieli za zle Arafatowi, ze potajemnie prowadzil rozmowy z Izraelem i zlozyl obietnice, iz Palestynczycy nie beda walczyc o niepodleglosc. Nasi rodacy wciaz przebywali w izraelskich wiazieniach. Nie istnialo tez panstwo palestyńskie. Moglimy jedynie zarzadzac Jerychem na Zachodnim Brzegu - malym miasteczkiem bez szczegolnego znaczenia - oraz Gaza - wielkim, przeludnionym obozem dla uchodzcow na wybrzezu.

"Arafat siedzial teraz z Izraelczykami przy jednym stole i sciskal im rece. Moi rodacy zadawali sobie jednak pytanie: "A co z przelana palestyńską krwia? Czy tak niewiele dla niego znaczy?"

Z drugiej strony, niektorzy Palestynczycy przyznawali, ze Autonomia daje nam

przynajmniej Gazę i Jerycho. Tymczasem co osiągnął Hamas? Czy wyzwolił choć jedną palestyńską wioskę?

Być może mieli rację. Jednak Hamas nie ufał Arafatowi - głównie dlatego, że był on gotów zgodzić się na państwo palestyńskie w ramach Izraela, zamiast odzyskać terytoria Palestyny w takim kształcie, jaki miały przed powstaniem państwa Izrael.

- Czego wy od nas oczekujecie? - odpowiadał Arafat i jego poplecznicy, gdy przypierano ich do muru. - Od kilkudziesięciu lat walczyliśmy z Izraelem i doszliśmy do wniosku, że nie uda nam się wygrać. Wyrzucono nas z Jordanii i Libanu, wylądowaliśmy tysiące kilometrów stąd, w Tunezji. Społeczność międzynarodowa była przeciwko nam. Nie mieliśmy żadnej siły przebicia. Związek Radziecki się rozpadł i jedyną światową potęgą pozostały Stany Zjednoczone. A Ameryka popiera Izrael. Zaoferowano nam autonomię i możliwość odzyskania terenów, które należały do nas przed wojną sześciodniową w 1967 roku - więc skorzystaliśmy z tej propozycji.

Kilka miesięcy po przybyciu do Gazy Arafat po raz pierwszy odwiedził Ram Allah. Mój ojciec był w gronie kilkudziesięciu przywódców religijnych, politycznych i biznesowych, którzy go przywitani. Szef OWP podszedł do szajcha Hasana Jusufa i ucałował rękę taty, uznając jego autorytet religijny i polityczny.

Przez następny rok ojciec i inni przywódcy Hamasu wielokrotnie spotykali się z Arafatem w Gazie. Rozmowy te były próbą pogodzenia i zjednoczenia władz Autonomii Palestyńskiej i Hamasu. Zakończyły się jednak fiaskiem, kiedy Hamas ostatecznie odmówił udziału w procesie pokojowym. Pogodzenie naszych ideologii i celów było nadal bardzo odległe.

*

Przekształcenie Hamasu w organizację terrorystyczną w pełnym tego słowa znaczeniu stało się faktem. Wielu jego członków wspięło się na sam szczyt drabiny islamu. Umiarkowani przywódcy polityczni, jak mój ojciec, nie krytykowali bojowników. Nie mogli - na jakiej podstawie mieliby sprzeciwić się stosowaniu przemocy? Przecież bojownicy mieli za sobą pełne poparcie Koranu.

Choć osobiście ojciec nigdy nikogo nie zabił, tolerował zamachy. Tymczasem Izraelczycy, nie mogąc znaleźć i zaarrestować młodych, agresywnych bojowników, zadowalali się łatwiejszymi celami, takimi jak tata. Być może liczyli na to, że zatrzymując jednego z liderów Hamasu, zapobiegną dalszym atakom. Nigdy jednak nie zadali sobie trudu, żeby właściwie rozpoznać, czym w rzeczywistości jest to ugrupowanie i na jakiej zasadzie działa. Minęło wiele bolesnych lat, zanim zrozumieli, że Hamas nie jest typową organizacją

mającą określone zasady i strukturę. Hamas jest duchem, ideą. Nie można zniszczyć idei - jeśli ktoś próbuje to zrobić, stymuluje ją tylko do dalszego rozwoju. Hamas jest jak płazinię: jeśli utniesz mu głowę, wyrośnie druga.

Problem polega na tym, że nadrzędna idea, najważniejszy cel przyświecający Hamasowi to iluzja. Syria, Liban, Irak, Jordania i Egipt wielokrotnie podejmowały bezskuteczne próby zepchnięcia Izraela do morza i utworzenia na jego ziemiach państwa palestyńskiego. Zawiódł nawet Saddam Husajn i jego rakiety Scud. Gdyby miliony uchodźców palestyńskich miały faktycznie odzyskać domy i pola odebrane im ponad pół wieku temu, Izraelczycy musieliby dosłownie zamienić się z nimi miejscami. A ponieważ jest jasne, że to nigdy nie nastąpi, Hamas przypomina Syzyfa z greckiej mitologii - skazanego na wieczne wtaczanie pod górę głazu, który niezmiennie stacza się ze zbocza, tak że Syzyfowi nigdy nie udaje się dokończyć pracy.

Jednak nawet ci, którzy rozumieli, jak nierealna jest misja Hamasu, trwali w wierze, że pewnego dnia Allah pokona Izrael, być może nawet w jakiś nadprzyrodzony sposób.

OWP była dla Izraela problemem czysto politycznym, który wymagał politycznego rozwiązania. Natomiast Hamas „zislamizował” sprawę palestyńską, czyniąc z niej kwestię religijną, wymagającą rozwiązania o charakterze religijnym. A ponieważ wierzyliśmy, że ziemia, na której znajduje się Izrael, należy do Allaha, problem palestyński stał się nierozwiązywalny. Takie podejście ucinało wszelkie dyskusje. Dla Hamasu ostatecznym problemem nie była polityka, jaką prowadził Izrael, ale sam fakt istnienia tego państwa.

A mój ojciec? Czy on też został terrorystą? Któregoś popołudnia przeczytałem w gazecie nagłówek donoszący o kolejnym samobójczym zamachu bombowym („operacji męczeńskiej”, jak mówiono w Hamasie), w którym zginęło wielu cywilów, w tym kobiety i dzieci. Zastanawiałem się, jak pogodzić dobroć i uczciwość mego ojca z faktem, że jest jednym z przywódców organizacji odpowiedzialnej za takie tragedie. Wskazując na artykuł, zapytałem go, co o tym wszystkim myśli.

- Pewnego dnia - odpowiedział - zobaczyłem owada przed domem. Rozważałem, czy mam go zabić, ale nie mogłem tego zrobić.

W ten wymijający sposób dawał mi do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego z zabijaniem bez skrupułów. Jednak cywile izraelscy nie byli insektami.

Nie, mój ojciec nie konstruował bomb, nie przywiązywał ich zamachowcom i nie wybierał celów ataku. Ale odpowiedź taty przypomniła mi się wiele lat później, gdy przeczytałem w Biblii historię ukamienowania niewinnego młodego człowieka o imieniu Szczepan. Jest tam napisane: „Szaweł zaś zgadzał się na zabicie go” (Dzieje Apostolskie 8:1).

Bardzo kochałem ojca, podziwiałem go i szanowałem jego przekonania. Jednak choć nie był zdolny zabić owada, najwyraźniej jakoś to sobie wytłumaczył, że inni mają prawo wysadzać niewinnych ludzi w powietrze, rozrywając ich ciała na strzępy, pod warunkiem że jego własne ręce nie zostaną splamione krwią.

Od tej pory wizerunek ojca w moich oczach nie był już jednoznacznie pozytywny.

9

KARABINY

ZIMA 1995-WIOSNA 1996

Po zawarciu Porozumień z Oslo społeczność międzynarodowa oczekiwała, że władze Autonomii Palestyńskiej będą kontrolować Hamas. W sobotę 4 listopada 1995 roku oglądałem telewizję, gdy nagle przerwano program, by nadać wiadomość specjalną. Podczas wiecu pokojowego na Placu Królów w Tel Awiwie postrzelono Icchaka Rabina. Kilka godzin później władze ogłosiły, że Rabin nie żyje.

- No proszę! - powiedziałem głośno. - Jakieś palestyńskie ugrupowanie jest wciąż na tyle silne, by dokonać zamachu na premiera Izraela! Powinni to zrobić już dawno. - Bardzo się cieszyłem z jego śmierci i miałem nadzieję, że to wydarzenie zaszkodzi OWP i podważy upokarzającą kapitulację Arafata przed Izraelem.

W tym momencie zadzwonił telefon. Natychmiast rozpoznałem charakterystyczny głos - Jasir Arafat chciał rozmawiać z moim ojcem.

Przysłuchiwałem się rozmowie. Ojciec nie mówił zbyt wiele, był uprzejmy i przytakiwał Arafatowi.

- Rozumiem - powiedział na koniec. - Do widzenia.

Potem zwrócił się do mnie:

- Arafat prosi, żebyśmy spróbowali powstrzymać Hamas przed świętowaniem śmierci premiera - powiedział. - Ten zamach to wielki cios dla Arafata, ponieważ Rabin wykazał się wielką odwagą polityczną, gdy przystąpił do negocjacji pokojowych z OWP.

Wkrótce okazało się, że Rabin nie zginął wcale z rąk Palestyńczyków. Został zabity strzałem w plecy przez izraelskiego studenta prawa. Ta informacja rozczarowała wielu członków Hamasu. Ja sam uznałem za zabawne, że fanatycy żydowscy i ekstremiści z Hamasu mieli ten sam cel.

Zamach na Rabina wzbudził powszechne zaniepokojenie na całym świecie. Naciskano na Arafata, by skuteczniej kontrolował terytoria palestyńskie, dlatego ten zaczął represjonować członków Hamasu. Policjanci Autonomii przyszli do naszego domu, poprosili tatę, by się spakował, i wywieźli go do aresztu w kwaterze Arafata. Po raz pierwszy Palestyńczycy zamykali własnych rodaków w więzieniu. Było to przykre, ale ojca traktowano

przynajmniej z należyтым szacunkiem - w przeciwieństwie do innych represjonowanych otrzymał wygodny pokój, a sam Arafat odwiedzał go czasem, by przedyskutować różne kwestie.

Wkrótce do palestyńskich aresztów trafili wszyscy główni przywódcy Hamasu oraz tysiące szeregowych członków. Wielu torturowano, by wydobyć z nich informacje. Niektórzy zginęli. Innym udało się uniknąć aresztowania - ukrywali się przed władzami i kontynuowali ataki wymierzone w Izrael.

Nienawidziłem teraz jednocześnie władz Autonomii Palestyńskiej, Jasira Arafata, Izraela i zeświecczonych Palestyńczyków. Dlaczego mój ojciec, który kocha Allaha i jego lud, musi płacić tak wysoką cenę - myślałem - a w tym czasie bezbożnicy pokroju Arafata i OWP pozwalają odnieść zwycięstwo Izraelczykom, których Koran przyrównuje do świń i małp? Na domiar złego społeczność międzynarodowa gratuluje Izraelowi, bo nakłonił terrorystów, by uznali jego prawo do istnienia.

Miałem siedemnaście lat i za kilka miesięcy kończyłem szkołę średnią. Za każdym razem, kiedy odwiedzałem ojca w więzieniu i przynosiłem mu z domu jedzenie lub rzeczy osobiste, zachęcał mnie słowami: „Pamiętaj, że najważniejsze są egzaminy. Skoncentruj się na szkole. Nie martw się o mnie. Nie chcę, by cokolwiek przeszkadzało ci w nauce”.

Ale życie przestało się dla mnie liczyć. Myślałem tylko o tym, żeby przyłączyć się do zbrojnego skrzydła Hamasu i zemścić się na Izraelu oraz na władzach Autonomii Palestyńskiej. Czy miało się okazać, że wszystkie ofiary, na które w swoim krótkim życiu zdążyłem się tyle napatrzyć, walczyły o taki właśnie finał - o nic niewarty pokój z Izraelem? Gdybym zginął w walce, przynajmniej zostałbym męczennikiem i poszedłbym do raju.

Ojciec nigdy nie uczył mnie nienawiści, ale to uczucie głęboko się we mnie zakorzeniło. Choć tata żarliwie sprzeciwiał się okupacji i zapewne wydałby rozkaz wystrzelenia na Izrael bomby atomowej, gdyby tylko miał taką możliwość, to jednak nigdy nie wypowiadał się przeciwko narodowi żydowskiemu w tonie typowym dla niektórych rasistowskich liderów Hamasu. Zależało mu nie tyle na polityce, ile na chwale Allaha. A Allah nakazał nam wypłenić Żydów i ojciec tego nie kwestionował, choć osobiście nic przeciwko nim nie miał.

„Jak wygląda twoja więź z Allahem?” - pytał mnie za każdym razem, gdy go odwiedzałem. „Czy się dzisiaj modliłeś, czy wołałeś do niego? Czy spędziłeś z nim czas?”. Nigdy mi nie powiedział: „Chcę, żebyś został dobrym mudzahedinem”. Natomiast niezmiennie napominał mnie jako najstarszego syna: „Bądź dobry dla matki, dla Allaha i dla swoich rodaków”.

Nie mogłem pojąć, skąd ma w sobie tyle współczucia i przebaczenia - nawet dla żołnierzy, którzy tyle razy przychodzili go aresztować. Traktował ich z ojcowską miłością. Gdy przynosiłem mu jedzenie do palestyńskiego więzienia, często zapraszał strażników, żeby zjedli z nami ryż z mięsem przygotowany specjalnie przez mamę. Po kilku miesiącach nawet strażnicy go pokochali. Choć łatwo go było kochać, o wiele trudniej przychodziło mi go zrozumieć.

Czułem gniew i pragnąłem zemsty na naszych wrogach, dlatego zacząłem interesować się bronią. Na terytoriach palestyńskich można już było wówczas zaopatrzyć się w broń, choć był to spory wydatek, zwłaszcza dla ucznia bez grosza przy duszy.

W wiosce pod Jerozolimą mieszkał jeden z moich szkolnych kolegów, Ibrahim Kiswani. Ibrahim podzielał moje zainteresowania i pewnego dnia powiedział, że może zdobyć pieniądze - nie tyle, żeby kupić ciężkie karabiny, ale wystarczająco na zakup tanich strzelb, a może nawet pistoletu. Z pytaniem, gdzie można dostać broń, zwróciłem się do mojego kuzyna, Jusufa Dawuda. Nie byłem z Jusufem w zbyt bliskiej komitywie, ale wiedziałem, że ma odpowiednie znajomości.

- Znam kilku ludzi w Nablusie, którzy mogą ci pomóc - powiedział. - Po co ci ta broń?

- Każda rodzina ma broń - skłamałem. - Chcę chronić nasz dom.

Właściwie w tym kłamstwie zawierało się źdźbło prawdy. Ibrahim mieszkał w wiosce, w której faktycznie każda rodzina miała już broń, a Ibrahim był dla mnie jak brat.

A zatem postanowiłem zostać bojownikiem. Jako nastolatek z karabinem mogłem zaimponować kolegom. Nie przejmowałem się już nauką. Po co chodzić do szkoły w tym szalonym kraju?

W końcu któregoś popołudnia zadzwonił kuzyn Jusuf.

- Jedziemy do Nablusu. Znam faceta, który pracuje w służbie bezpieczeństwa Autonomii. Być może załatwi nam sprzęt - powiedział.

W Nablusie jakiś mężczyzna zaprowadził nas do niewielkiego domu. Pokazał nam szwedzkie pistolety maszynowe Carl Gustaf M45 i pistolety Port Said - egipską wersję tej samej broni. Następnie zabrał nas w odludne miejsce w górach i zademonstrował, jak działają te pistolety. Gdy spytał, czy chcę spróbować, serce zabiło mi mocniej. Nigdy wcześniej nie strzelałem z broni maszynowej i nagle się przestraszyłem.

- Nie trzeba, ufam ci - odpowiedziałem. Zakupiłem dwa karabiny Carl Gustaf i jeden krótszy pistolet do strzelania z jednej ręki. Ukryłem je w drzwiach samochodu i posypałem pieprzem dla zmylenia psów, które na izraelskich punktach kontrolnych mogłyby wywąchać broń.

W drodze powrotnej do Ram Allah zadzwoniłem do Ibrahima.

- Hej, mam towar!

- Serio?

- Serio.

Wiedzieliśmy, że nie należy używać słów „broń” czy „pistolet”, ponieważ rozmowy mogły być podsłuchiwane przez Izraelczyków. Ustaliliśmy, kiedy Ibrahim ma odebrać swój „sprzęt”, i szybko się pożegnaliśmy.

Była wiosna 1996 roku. Właśnie skończyłem osiemnaście lat i byłem uzbrojony.

*

Ibrahim zadzwonił do mnie parę dni później i wzburzony krzyknął do słuchawki:

- Karabiny nie działają!

- O czym ty mówisz? - odpowiedziałem szybko, mając nadzieję, że nikt nie podsłuchuje rozmowy.

- Karabiny nie działają - powtórzył. - Oszukali nas!

- Nie mogę teraz rozmawiać - uciałem.

- Dobra, ale musimy się spotkać wieczorem.

Gdy się zjawił, ostro go zwymyślałem.

- Zwariowałeś? Nie wiesz, co się mówi przez telefon?

- Wiem, ale karabiny nie działają. Pistolet jest w porządku, ale karabiny maszynowe to złom!

- No dobrze, rozumiem. Jesteś pewny, że wiesz, jak ich używać? Zapewnił mnie, że umie obchodzić się z bronią, więc obiecałem, że postaram się to wyjaśnić. Za dwa tygodnie miałem zdawać egzaminy końcowe i naprawdę nie powinienem był zajmować się takimi sprawami. Skontaktowałem się jednak z Jusufem, żeby zwrócić wadliwe karabiny.

- To jakaś porażka - powiedziałem mu, gdy się w końcu spotkaliśmy. - Pistolet działa, ale karabiny są niesprawne. Zadzwoń do swoich kolegów w Nablusie, bo chcemy odzyskać nasze pieniądze.

Obiecał, że spróbuje.

Następnego dnia mój brat Suhajb przekazał mi niepokojącą wiadomość:

- Wczoraj w nocy przyszli do domu izraelscy esbecy. Szukali cię - powiedział zmartwiony.

Przeleciało mi przez głowę: *Przecież nikogo jeszcze nie zabiliśmy!* Przestraszyłem się, ale jednocześnie poczułem się w pewnym sensie dowartościowany - Izraelczycy uznali mnie za zagrożenie.

Kiedy następnym razem odwiedziłem tatę, ten wiedział już o wszystkim.

- Co się dzieje? - zapytał surowo.

Powiedziałem mu prawdę i bardzo się rozgniewał. Widziałem, że jest zawiedziony moim postępowaniem i martwi się o mnie.

- To poważna sprawa - ostrzegł mnie. - Po co się w to wpakowałeś? Powinieneś troszczyć się o matkę, braci i siostry, a nie uciekać przed Izraelczykami. Nie rozumiesz, że mogą cię zastrzelić?

Wróciłem do domu, pośpiesznie wrzuciłem do torby kilka ubrań i podręczników i poprosiłem kolegów należących do Bractwa Muzułmańskiego, żeby ukryli mnie do czasu, aż zdam egzaminy i skończę szkołę.

Ibrahim najwyraźniej nie doceniał powagi sytuacji. Nadal do mnie dzwonił, często na komórkę ojca.

- Co się dzieje? Gdzie się podziewasz? Miałeś mi oddać forszę.

Opowiedziałem mu o wizycie służby bezpieczeństwa w moim domu, a on zaczął krzyczeć do słuchawki, nie zważając na jakiegokolwiek środki ostrożności. Szybko się rozłączyłem, by nie pogrążał nas jeszcze bardziej. Jednak następnego dnia żołnierze izraelscy wtargnęli do jego domu, zrobili rewizję i znaleźli pistolet. Natychmiast aresztowali Ibrahima.

Nie wiedziałem, co robić. Zaufałem nieodpowiedniej osobie. Ojciec siedział w więzieniu i był mną rozczarowany. Mama zamartwiła się o mnie. Powinienem się przygotowywać do egzaminów, a tymczasem byłem poszukiwany przez Izraelczyków.

Co gorszego mogło się jeszcze wydarzyć?

10

RZEŹNIA

1996

Choć starałem się zachować wszelkie środki ostrożności, funkcjonariusze izraelskiej służby bezpieczeństwa podsłuchiwali nasze rozmowy z Ibrahimem, więc w końcu mnie dopadli. I tak oto znalazłem się na podłodze wojskowego dżipa - skuty kajdankami, z przepaską na oczach. Kuliłem się z bólu po każdym kolejnym ciosie zadany kolbą karabinu.

Po pewnym czasie dżip się wreszcie zatrzymał. Żołnierze podnieśli mnie za ramiona i wyprowadzili z samochodu. Gdy wciągali mnie na górę po schodach, kajdanki wpijały mi się głęboko w nadgarstki. Straciłem czucie w rękach. Docierały do mnie stłumione odgłosy zamieszania i okrzyki w języku hebrajskim.

Zabrano mnie do małego pokoju, gdzie zdjęto mi kajdanki i przepaskę. Mrużąc oczy w oślepiającym świetle, próbowałem zorientować się w swoim położeniu. Pomieszczenie było puste z wyjątkiem niewielkiego biurka w rogu. Zastanawiałem się, co mnie teraz czeka. Przesłuchanie? Dalsze bicie? Tortury? Po kilku minutach w drzwiach stanął młody żołnierz z kolczykiem w nosie. Rozpoznałem jego rosyjski akcent - był jednym z tych, którzy bili mnie w dżipie. Szarpnął mnie za ramię i poprowadził serią długich, krętych korytarzy do innego pomieszczenia. Gdy wszedłem do środka, na blacie starego biurka zobaczyłem opaskę do mierzenia ciśnienia, monitor, komputer i mały telewizor. Nieznośny odór wypełniał cały pokój. Zemdliło mnie i pomyślałem, że zaraz znowu zwymiotuję.

Razem z nami do środka wszedł także mężczyzna w lekarskim kitlu, o zmęczonym, nieszczęśliwym wyrazie twarzy. Chyba się zdziwił na widok mojej poobijanej głowy i oka, które teraz spuchło do podwójnych rozmiarów. Ale nawet jeśli przejął się moim stanem, nie okazywał tego na zewnątrz. Widziałem weterynarzy, którzy obchodzili się ze zwierzętami delikatniej niż on ze mną podczas badania.

Po chwili zjawił się strażnik w mundurze policyjnym. Obrócił mnie, założył mi z powrotem kajdanki i zarzucił na głowę płócienny kaptur. Teraz wiedziałem już, co było źródłem drażniącego fetoru. Kaptur cuchnął, jakby nigdy nie był prany, śmierdział niemytymi zębami i nieświeżym oddechem setek więźniów. Zebrało mi się na wymioty i próbowałem wstrzymać oddech. Jednak gdy tylko łąpałem powietrze, mimowolnie wciągałem do ust

brudną szmatę. Ogarnęła mnie panika i czułem, że się uduszę, jeśli nie wydostanę się spod tego worka.

Strażnik przeszukał mnie i zabrał wszystko, łącznie z paskiem i sznurowadłami. Chwycił mnie za kaptur i pociągnął za sobą przez korytarze. W prawo, w lewo. Znowu w lewo. W prawo. Nie wiedziałem już, gdzie jestem ani dokąd mnie zabierają.

W końcu przystanęliśmy i usłyszałem brzęk kluczy. Sądząc po odgłosie, strażnik otworzył masywne drzwi.

- Schody - powiedział.

Poczułem, że schodzimy kilka stopni w dół. Przez kaptur docierało do mnie pulsujące światło podobne do sygnału na dachu samochodu policyjnego.

Strażnik ściągnął mi kaptur i zobaczyłem, że znajdujemy się przed ciągiem zasłon. Po prawej stronie stał kosz z kapturami. Czekaliśmy kilka minut, aż głos zza zasłony pozwolił nam wejść. Strażnik skuł mi nogi kajdankami i włożył na głowę inny worek, po czym chwycił za niego i pociągnął mnie na drugą stronę.

Z otworów wentylacyjnych zawiąło chłodnym powietrzem, gdzieś w oddali grała muzyka. Korytarz, którym szliśmy, musiał być bardzo wąski, bo ciągle obijałem się o ściany. Kręciło mi się w głowie i byłem wyczerpany. W końcu znów się zatrzymaliśmy. Żołnierz otworzył ciężkie drzwi i wepchnął mnie do środka. Następnie zdjął mi kaptur, wyszedł i zamknął zamek.

Rozejrzałem się dookoła. Cella miała około trzech metrów kwadratowych. Na podłodze leżał materac i dwa koce. Poprzedni lokator zwinął jeden z nich w poduszkę. Usiadłem na materacu - kleił się od brudu, a koce cuchnęły zupełnie tak jak kaptur. Zakryłem nos kołnierzykiem koszuli, mimo że moje ubranie przesiąkło wymiocinami. Zwisająca z sufitu żarówka pulsowała słabym światłem, ale nie mogłem znaleźć wyłącznika. Cella nie miała żadnych okien oprócz małego otworu w drzwiach. Powietrze było wilgotne, podłoga mokra, a beton pokryty grzybem. Wszędzie kłębiło się robactwo, wszystko wokół cuchnęło i gniło.

Siedziałem dłuższy czas, nie wiedząc, co robić. Musiałem skorzystać z toalety, więc wstałem i podszedłem do zardzewiałego ustępu znajdującego się w kącie. Załatwiłem potrzebę, nacisnąłem spłuczkę i natychmiast tego pożałowałem. Nieczystości nie spłynęły do kanalizacji, ale wyciekły na podłogę, wsiąkając w materac.

Usiadłem w jedynym suchym kącie celi i próbowałem zebrać myśli. Miałem spędzić noc w tym strasznym miejscu! Oko pulsowało piekącym bólem. Duszący fetor dławił gardło i utrudniał oddychanie. Gorąco było nie do zniesienia, a nasiąknięte potem ubranie kleiło się do

ciała.

Moim ostatnim posiłkiem była wypita jeszcze w domu szklanka koziego mleka, które i tak zwymiotowałem, więc teraz kwaśniało na koszuli i spodniach. Dostrzegłem wystającą ze ściany rurę - przekręciłem zawór, licząc na odrobinę wody, jednak wypłynęła tylko gęsta, brązowa zawiesina.

Która to godzina? Czy zostawią mnie tu na całą noc?

Głowa pękała mi z bólu. Wiedziałem, że nie zasnę. Jedyne, co mi pozostało, to modlić się do Allaha.

- Ochroń mnie - poprosiłem. - Uratuj mnie i zaprowadź szybko z powrotem do rodziny.

Przez masywne, stalowe drzwi dochodziła z oddali głośnie muzyka - wciąż od nowa ta sama płyta. Powtarzające się w kółko frazy pomagały mi odmierzać czas.

Leonard Cohen śpiewał:

They sentenced me to twenty years of boredom

For trying to change the system from within

Im coming now, Im coming to reward them

First we take Manhattan, then we take Berlin⁴

Z oddali dochodziły odgłosy trzaskających drzwi, które stopniowo przybierały na sile. W pewnym momencie ktoś otworzył drzwi do mojej celi, wsunął do środka niebieską tacę i znowu je zatrasnął. Spojrzałem na tacę zanurzoną w nieczystościach, które wylały się z muszli. Leżało na niej gotowane jajko, kromka chleba, łyżka skwaśniałego jogurtu i trzy oliwki. Obok stał plastikowy pojemnik z wodą, ale kiedy podniosłem go do ust, poczułem nieświeży zapach. Wypiłem trochę wody, a resztę zużyłem na umycie rąk. Zjadłem wszystko, ale nadal byłem głodny. Zastanawiałem się, czy to jest śniadanie. Straciłem rachubę czasu - zgadywałem, że może być po południu.

Kiedy próbowałem ocenić, jak długo tu jestem, ktoś nagle otworzył drzwi. Stała w nich osobliwa postać - niski, przygarbiony starzec, który wyglądał na siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt lat. Wrzasnął na mnie z rosyjskim akcentem, przeklął mnie, przeklął Boga, po czym splunął mi w twarz.

Mężczyzna musiał być strażnikiem, bo cisnął we mnie kolejnym cuchnącym kapturem i kazał mi go założyć. Następnie chwycił mnie za niego i pociągnął brutalnie przez korytarz. W pewnym momencie zatrzymał się, otworzył drzwi, wepchnął mnie do środka i usadził na

niskim plastikowym krześle, które przypominało szkolne krzesło dla pierwszoklasistów i było przytwierdzone do podłogi. Strażnik przykuł mnie do krzesła - jedną rękę unieruchomił między nogami siedziska, a drugą z boku. Potem spętał mi nogi. Krzesło było przechylone i musiałem przekrzywić się do przodu. W nowym pomieszczeniu, w przeciwieństwie do celi, panował przenikliwy chłód. Klimatyzacja musiała być ustawiona na temperaturę bliską zeru.

Siedziałem tak długie godziny, trzęsąc się z zimna, w nienaturalnej pozycji, bez możliwości wyprostowania ciała. Próbowałem oddychać płytko przez cuchnący worek. Byłem głodny i wyczerpany, a z zakrwawionego oka nie ustępowała opuchlizna.

W końcu drzwi się otworzyły i ktoś ściągnął mi kaptur. Ze zdziwieniem zauważyłem, że był to cywil, a nie żołnierz czy strażnik. Usiadł na brzegu biurka. Moja głowa znajdowała się na wysokości jego kolan.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Musab Hasan Jusuf.

- Czy wiesz, gdzie jesteś?

- Nie.

Pokiwał głową i rzekł:

- Niektórzy nazywają to miejsce Czarną Nocą, inni Rzeźnią. Znalazłeś się w poważnych tarapatach, Musab.

Próbowałem zachować kamienną twarz. Skupiłem wzrok na plamie znajdującej się na ścianie za jego głową.

- Jak się miewa twój ojciec w palestyńskim areszcie? - spytał. - Jest mu lepiej niż w izraelskim więzieniu?

Przesunąłem się lekko na krześle, wciąż odmawiając odpowiedzi.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś w tym samym miejscu co twój ojciec, kiedy aresztowano go po raz pierwszy?

A zatem trafiłem do izby zatrzymań Moskowije w zachodniej Jerozolimie. Ojciec opowiadał mi o tym miejscu. Był tu kiedyś rosyjski kościół prawosławny, wybudowany w dzielnicy szczycącej się wielowiekową tradycją. Rząd izraelski przekształcił ten teren w ściśle chroniony obiekt, w którym umieszczono siedzibę policji, biura i areszt śledczy izraelskiej służby bezpieczeństwa Szin Bet.

Starożytny labirynt, który znajduje się tutaj głęboko pod ziemią, idealnie nadawał się na więzienie. Moskowije cieszyło się złą sławą. Przypominało średniowieczne lochy, jakie nieraz oglądamy na filmach - ciemne, wilgotne, rojące się od szczurów.

Pomyślałem, że przyszło mi znosić te same upokorzenia, którym wcześniej

poddawano ojca. Być może ci sami ludzie przed laty bili go i torturowali. Długo go rozpracowywali, ale nigdy nie udało się go złamać. Tata był silny, a represje jeszcze go wzmocniły.

- Powiedz mi, dlaczego tu jesteś.

- Nie mam pojęcia.

Oczywiście domyślałem się, że trafiłem do Moskowije z powodu tych przeklętych karabinów, które nawet nie działały. W plecach czułem przeszywający ból. Przesłuchujący uniósł mój podbródek do góry.

- Chcesz być twardy jak ojciec? Nie masz pojęcia, co cię czeka za drzwiami tego pokoju. Opowiedz mi wszystko, co wiesz o Hamasię! Ujawnij wszystkie tajemnice! Opowiedz mi o islamskim ruchu studenckim! Chcę wiedzieć wszystko!

Czy naprawdę uważałem, że jestem groźny? Trudno mi było w to uwierzyć, ale im więcej o tym myślałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że tak właśnie zakładał. Z jego punktu widzenia to, że byłem synem szajcha Hasana Jusufa i kupowałem broń automatyczną, stanowiło wystarczającą podstawę do obaw.

Izraelczycy przetrzymywali i torturowali ojca, a teraz mieli zamiar dobrać się do mnie. Czy sądzili, że dzięki temu uznają ich prawo do istnienia? Mój punkt widzenia był całkiem inny. Uważałem, że naród palestyński walczy o odzyskanie wolności i należącej do nas ziemi.

Nie odpowiadałem na pytania, więc mężczyzna uderzył pięścią w stół. Znow podniósł moją brodę.

- Idę do domu i spędzę wieczór z rodziną. A ty się tu dobrze baw.

Siedziałem przykuty do krzeselka przez kilka godzin, wciąż w tej samej niewygodnej pozycji. W końcu przyszedł strażnik, który rozkuł moje ręce i nogi, zarzucił mi kaptur na głowę i pociągnął za sobą z powrotem przez korytarze. Znajomy głos Leonarda Cohena brzmiał coraz donośniej.

Zatrzymaliśmy się i strażnik warknął do mnie, żebym usiadł. Muzyka była teraz ogłuszająca. Znow przypięto mnie za rękę i nogę do niskiego krzesła, wibrującego od niemilosierznego dudnienia: *First we take Manhattan, then we take Berlin!*

Z powodu zimna i niewygodnej pozycji dostałem skurczu mięśni. Zaciągałem się odorem kaptura. Jednak tym razem najwyraźniej nie byłem sam. Pomimo ogłuszającej muzyki w pomieszczeniu słychać było jęki i zawodzenia.

- Czy ktoś tu jest? - zawołałem przez cuchnący worek.

- Kto to? - jakiś głos odezwał się w pobliżu, przekrzykując muzykę.

- Mam na imię Musab.

- Jak długo tu jesteś?

- Dwa dni.

Współwięzień nie odzywał się przez chwilę.

- Siedzę na tym krześle od trzech tygodni - powiedział w końcu. - Pozwalają mi spać cztery godziny na tydzień.

Byłem przerażony. To ostatnia rzecz, jaką chciałem wtedy usłyszeć. Po chwili odezwał się kolejny więzień - okazało się, że aresztowano go mniej więcej w tym samym czasie co mnie. Zgadywałem, że w pomieszczeniu mogło nas być około dwudziestu.

Nagle ktoś gwałtownie uderzył mnie w tył głowy, przerywając rozmowę. Przeszywający ból spowodował, że pod osłoną kaptura łzy mimowolnie popłynęły mi po twarzy.

- Żadnego gadania! - wrzasnął strażnik.

Każda minuta wlokła się jak godzina, choć w sumie nie miało to większego znaczenia, bo zupełnie straciłem rachubę czasu. Mój świat się zatrzymał. Wiedziałem, że gdzieś tam na zewnątrz ludzie wstają, idą do pracy i wracają do domów, do swoich rodzin. Moi koledzy uczyli się do egzaminów końcowych. Mama gotowała, sprzątała, przytulała i całowała moich młodszych braci i siostry.

Jednak w tym pomieszczeniu wszyscy siedzieli. Nikt się nie poruszał.

First we take Manhattan, then we take Berlin! First we take Manhattan, then we take Berlin! First we take Manhattan, then we take Berlin!

Niektórzy więźniowie głośno zawodzili, ale ja postanowiłem, że będę twardy. Byłem pewien, że ojciec nigdy nie płakał, nie poddawał się.

- *Szoter! Szoter!* - krzyknął jeden ze współwięźniów.

Nikt nie odpowiadał, bo muzyka grała za głośno. Po jakimś czasie „szoter” (strażnik) wreszcie przyszedł.

- Czego chcesz?

- Muszę iść za potrzebą! Muszę!

- Nie teraz! To nie pora na toaletę - odpowiedział strażnik i wyszedł.

- *Szoter! Szoter!* - zdesperowany współwięzień nie przestawał krzyżeć.

Ponieważ nie dawał za wygraną, strażnik wrócił, zaklął, rozkuł więźnia i wywłókł go na zewnątrz. Kilka minut później przyprowadził go z powrotem, ponownie przykuł do krzeselka i wyszedł.

Byłem załamany i wycieńczony. Bolała mnie szyja. Nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, że mam tak ciężką głowę. Próbowałem oprzeć się o ścianę, przy której siedziałem,

ale gdy już ogarniał mnie sen, jeden ze strażników podszedł i uderzył mnie w głowę. Jego jedyne zadanie polegało na tym, by nie pozwolić nam rozmawiać i spać. Miałem wrażenie, że pogrzebano mnie żywcem i oto jestem torturowany przez dwóch mitycznych aniołów - Munkara i Nakira - za udzielenie nieprawidłowych odpowiedzi.

Nad ranem usłyszałem krzątającego się strażnika. Po kolei rozkuwał i wyprowadzał więźniów, a po kilku minutach przyprowadzał ich z powrotem jednego za drugim i ponownie przykuwał do krzeselka. W końcu podszedł też do mnie.

Zdjął mi kajdanki, schwycił za kaptur i pociągnął mnie za sobą przez korytarze. W pewnym momencie otworzył drzwi innej celi i kazał mi wejść do środka. Gdy zdjął mi kaptur, zobaczyłem, że to ten sam garbaty mężczyzna podobny do małpy. Przyniósł mi śniadanie. Przysunął nogą niebieską tacę z jajkiem, chlebem, jogurtem i oliwkami. Cuchnąca woda zalegająca na podłodze obryzgała tacę. Wolałbym umrzeć z głodu, niż to zjeść.

- Masz dwie minuty, żeby zjeść i skorzystać z toalety - powiedział.

Chciałem tylko wyciągnąć się, położyć i przespać, choćby dwie minuty, ale po prostu stałem bez ruchu, a sekundy mijały.

- Ruszaj się! Dalej!

Zanim zdążyłem wziąć coś do ust, strażnik znowu narzucił mi kaptur na głowę, poprowadził mnie przez korytarze z powrotem do celi i przykuł do krzeselka.

First we take Manhattan, then we take Berlin!

PROPOZYCJA

1996

Przez cały dzień drzwi otwierały się i zamykały, a strażnicy wlekli nas za cuchnące kaptury z jednego przesłuchania na drugie. Więźniowie byli rozkuwani i ponownie zakuwani w kajdanki, przesłuchiwni, bici. Czasami przesłuchujący ostro potrząsał przesłuchiwanym. Zwykle kilka takich potrząśnięć wystarczyło, żeby stracić przytomność. Rytm dnia wyznaczały kolejne tury przesłuchań, rozkuwania i skuwania kajdankami, otwieranych i zamykanych krat.

Rano zabierano nas na dwuminutowe śniadanie podawane na niebieskich tacach, a po kilku godzinach - na dwuminutowy obiad serwowany na tacach w kolorze pomarańczowym. Tak mijała godzina za godziną, dzień za dniem. Niebieska taca, pomarańczowa taca. Wkrótce zacząłem z utęsknieniem wyczekiwać pory posiłku - nie po to, żeby się najeść, ale żeby choć na chwilę się wyprostować.

Wieczorem, gdy już nas nakarmiono, odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi ustawały. Przesłuchujący udawali się do domów po ciężkim dniu pracy. Dla nas był to początek niekończącej się nocy. Jedni cicho pojękiwali, inni zawodzili lub nawet krzyczeli wniebogłosy, wydając z siebie nieludzkie dźwięki. Niektórzy bredzili od rzeczy, inni recytowali wersety Koranu, błagając Allaha o siłę. Ja też się modliłem, ale modlitwa nie pomagała. Myślałem o głupim Ibrahimie, o jego przeklętych karabinach i kretyńskim pomysłem, żeby telefonować na numer komórkowy mojego ojca.

Myślałem o tacie. Cierpiałem, uświadamiając sobie teraz, przez jakie piekło musiał przejść w różnych więzieniach. Ale znałem też doskonale jego charakter. Nawet torturowany i poniżany, na pewno przyjmował swój los z pokorą i opanowaniem. Najprawdopodobniej zaprzyjaźnił się ze strażnikami, którzy go bili, szczerze interesował się nimi jako ludźmi, wypytywał o rodziny, pochodzenie, zamiłowania...

Ojciec był dla mnie niezwykłym przykładem pokory, miłości i oddania. Przewyższał wszystkich znanych mi ludzi - mimo swego niskiego wzrostu. Bardzo chciałem być taki jak on, ale wiedziałem, że muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Pewnego popołudnia zwykły rytm więziennego dnia został niespodziewanie

zaburzony. Do celi wszedł strażnik, który odpiął mnie z krzeselka. Było za wcześnie na obiad, ale nie zadawałem żadnych pytań. Cieszyłem się, że mogę się rozprostować - pomaszerowałbym choćby do piekła, byle dalej od mojego siedziska. Zabrano mnie do małego pomieszczenia, w którym strażnik przykuł mnie ponownie, jednak tym razem do krzesła o normalnych rozmiarach. Do pokoju wszedł oficer Szin Bet, który zlustrował mnie uważnie. Choć ból był już mniejszy, wiedziałem, że moja twarz nadal nosi ślady uderzeń kolbą karabinu.

- Jak się czujesz? - zapytał oficer. - Co się stało z twoim okiem?

- Bili mnie.

- Kto?

- Żołnierze, którzy mnie tu przywieźli.

- To niedopuszczalne, niezgodne z prawem. Zajmę się tym i sprawdzę, dlaczego potraktowano cię w ten sposób.

Był bardzo przekonujący. Odnosił się do mnie uprzejmie i z szacunkiem. Zastanawiałem się, czy to taka gra, która ma mnie skłonić do mówienia.

- Wkrótce masz egzaminy. Dlaczego się tu znalazłeś?

- Nie wiem.

- Oczywiście, że wiesz. Ani ty, ani my nie jesteśmy tacy głupi. Nazywam się Loai i pracuję w Szin Bet. Nadzoruję rejon, w którym mieszkasz. Wiem wszystko o twojej rodzinie i sąsiadach. O tobie też.

I rzeczywiście wiedział. Najwyraźniej był odpowiedzialny za każdą osobę z mojej okolicy. Wiedział, kto gdzie pracuje, kto chodzi do szkoły, kto jest na studiach, czyja żona właśnie urodziła dziecko - a może nawet, ile ono waży. Wiedział wszystko.

- Daję ci wybór. Przyjechałem tu dzisiaj, żeby z tobą poważnie porozmawiać. Wiem, że inni śledczy nie byli dla ciebie zbyt mili.

Przyjrzałem się jego twarzy, próbując wyczytać z niej prawdę. Miał jasną cerę i blond włosy, był spokojny i opanowany. Sprawiał wrażenie osoby nastawionej życzliwie, a nawet nieco zatroskanej o mój stan. Zastanawiałem się, czy to taka gra Izraelczyków: zmylić więźnia, najpierw go bijąc, a za chwilę traktując uprzejmie.

- Co chce pan wiedzieć? - zapytałem.

- Posłuchaj, dobrze wiesz, dlaczego się tu znalazłeś. Musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz, w najdrobniejszych szczegółach.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Dobrze, spróbuję ułatwić ci to zadanie.

Na tablicy powieszonyj za biurkiem napisał trzy słowa: *Hamas, broń i organizacja*.

- A więc opowiedz mi o Hamasie. Co wiesz o Hamasie? Co łączy cię z Hamasem?

- Ale ja nic nie wiem!

- Co wiesz o uzbrojeniu członków Hamasu? Jak zaopatrują się w broń, skąd ją biorą?

- Nic nie wiem.

- Co wiesz o islamskim ruchu młodzieżowym?

- Nic.

- No dobrze, jak chcesz, twoja sprawa. Nie wiem, jak cię przekonać, ale podejmujesz złą decyzję... Czy przynieść ci coś do jedzenia?

- Nie, niczego nie chcę.

Loai wyszedł, a za kilka minut wrócił z parującym talerzem ryżu z kurczakiem i miską zupy. Pachniało cudownie, aż mi zagrało w żołądku. To musiał być posiłek ze stołówki dla przesłuchujących.

- Proszę, Musab, jedz. Nie próbuj udawać twardziela. Zjedz i rozluźnij się trochę. Wiesz, od dawna znam twojego ojca. To dobry człowiek. Nie jest fanatykiem, więc dlaczego ty wpakowałeś się w kłopoty? Nie chcemy cię torturować, ale musisz zrozumieć, że występujesz przeciwko Izraelowi. Izrael to mały kraj, musimy się bronić. Nie możemy dopuścić, żeby ktokolwiek krzywdził naszych obywateli. Dość się już nacierpieliśmy w naszej historii i nie będziemy się cackać z tymi, którzy nam zagrażają.

- Nigdy nie skrzywdziłem żadnego Izraelczyka. To wy nas krzywdzicie. Aresztowaliście mojego ojca.

- Tak. Twój ojciec to dobry człowiek, ale jest wrogiem Izraela. Nakłania ludzi, żeby walczyli przeciwko nam. Dlatego musieliśmy zamknąć go w więzieniu.

Zrozumiałem, że Loai rzeczywiście uznaje mnie za zagrożenie. Słyszałem od innych osób, które były przetrzymywane w izraelskich więzieniach, że nie zawsze traktuje się Palestyńczyków tak ostro i nie przesłuchuje się wszystkich więźniów przy użyciu równie drastycznych metod.

Nie wiedziałem wówczas, że mniej więcej w tym samym czasie aresztowano Hasana Salame. Salama przeprowadził wiele zamachów w odwecie za śmierć konstruktora bomb Jahii Ajjasza. Gdy Agenci Szin Bet podsłuchali moją rozmowę telefoniczną z Ibrahimem na temat broni, uznali, że nie działałam w pojedynkę. Byli przekonani, że zostałem zwerbowany przez Brygady Al-Kasam.

W końcu Loai powiedział:

- Mam dużo pracy i muszę iść, ale zanim wyjdę, po raz ostatni złożę ci ofertę.

Wspólnie możemy znaleźć wyjście z tej sytuacji. Coś wymyślimy. Nie musisz być więcej przesłuchiwany. Jesteś jeszcze dzieckiem i potrzebujesz pomocy.

Tak, chciałem być groźny i miałem wywrotowe plany. Ale najwyraźniej nie sprawdzałem się zbyt dobrze w roli nieugiętego fanatyka. Miałem dość plastikowego krzeselka i cuchnących kapturów. Wywiad izraelski przeceniał moją skromną osobę. Opowiedziałem więc oficerowi całą historię o zakupie broni, nie wspominając tylko o tym, że zamierzałem zabijać Izraelczyków. Zeznałem, że kupiłem broń dla przyjaciela, Ibrahima, by mógł chronić swoją rodzinę.

- Aha, więc jednak jest jakaś broń.

- Tak, jest.

- Gdzie?

Żałowałem, że nie ukryłem karabinów w domu, bo chętnie oddałbym je Izraelczykom. Jednak teraz musiałem wydać kuzyna.

- Chwilowo jest u kogoś, kto nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

- Kto to taki?

- Mój kuzyn Jusuf. Ożenił się z Amerykanką i mają małe dziecko.

Miałem nadzieję, że wezmą ten fakt pod uwagę i skończy się na tym, że odbiorą mu karabiny. W życiu jednak nie jest tak różowo.

Dwa dni później usłyszałem jakieś poruszenie za ścianą mojej celi. Nachyliłem się w stronę zardzewiałej rury, która łączyła moją celę z sąsiednią.

- Hej - zawołałem. - Czy jest tam ktoś?

Nikt się nie odzywał.

Jednak po chwili głos z drugiej strony zapytał:

- Musab?

Co?! Nie wierzyłem własnym uszom. To był mój kuzyn!

- Jusuf? Czy to ty?

Tak się ucieszyłem, że słyszę jego głos. Serce biło mi jak szalone. To był Jusuf! Ale wtedy on zaczął mnie przeklinać.

- Dlaczego to zrobiłeś? - pytał z wyrzutem. - Przecież ja mam rodzinę...

Zacząłem płakać. W więzieniu tak bardzo brakowało mi rozmowy z drugim człowiekiem. A teraz jeden z moich krewnych siedział po drugiej stronie ściany i wyzywał mnie od najgorszych. Wtedy doznałem olśnienia: Izraelczycy nas podsłuchują! Posadzili Jusufa obok mnie, żeby podsłuchać rozmowę i zweryfikować moje zeznania. Pomyślałem, że to nawet dobrze. Jusuf nie znał przecież całej prawdy i zakładał, że potrzebuję karabinów,

żeby chronić rodzinę.

Kiedy oficerowie Szin Bet doszli do wniosku, że mówię prawdę, przeniesiono mnie do innej celi. W samotności myślałem o tym, jak zniszczyłem życie kuzynowi, zawiodłem rodzinę i zmarnowałem dwanaście lat nauki - a wszystko dlatego, że zaufałem temu kretynowi Ilbrahimowi!

Przetrzymywano mnie w celi całymi tygodniami, bez kontaktu z ludźmi. Strażnicy wsuwali jedzenie pod drzwiami, ale nigdy się do mnie nie odzywali. Zacząłem nawet tęsknić za Leonardem Cohenem. Nie miałem nic do czytania, a jedynym miernikiem upływającego czasu były wymieniane się codziennie kolorowe tace z posiłkami. Nie miałem nic do roboty poza rozmyślaniami i modlitwą.

W końcu pewnego dnia znów zabrano mnie do gabinetu, w którym czekał na mnie Loai.

- Jeśli zgodzisz się na współpracę, Musab, zrobię wszystko, żebyś wyszedł z więzienia.

Zapaliła się we mnie iskra nadziei: może uda mi się go przekonać, że będę współpracował, a wtedy mnie wypuszczą?

Po kilku chwilach niezobowiązującej rozmowy na różne tematy Loai powiedział nagle:

- A gdybym zaproponował ci pracę dla nas? Przywódcy izraelscy dogadują się z przywódcami palestyńskimi. Przez długi czas walczyli ze sobą, ale teraz w końcu podali sobie ręce i siadają przy jednym stole.

- Islam zabrania mi z wami współpracować.

- Musab, przyjdzie taki moment, że nawet twój ojciec zacznie z nami rozmawiać, a my będziemy rozmawiać z nim. Lepiej działajmy razem, żeby dać ludziom pokój.

- Co to za pokój? Prawdziwy pokój będzie wtedy, kiedy skończy się okupacja.

- Nie, pokój nastanie dzięki ludziom, którzy mają odwagę, żeby coś zmienić.

- To nie ma sensu, nie warto próbować.

- Boisz się, że zabiją cię za kolaborację?

- Nie o to chodzi. Po tym wszystkim, co wycierpieliśmy, nie mógłbym tak po prostu usiąść z panem przy jednym stole i rozmawiać jak z przyjacielem, nie mówiąc już o współpracy. Nie wolno mi tego zrobić. Moja wiara na to nie pozwala.

Wciąż nienawidziłem wszystkiego wokół. Okupacji. Władz Autonomii Palestyńskiej. Chciałem zostać bojownikiem, bo odczuwałem potrzebę niszczenia. Ale idąc za tym impulsem, wpakowałem się w poważne tarapaty. Siedziałem w izraelskim więzieniu i właśnie

proponowano mi współpracę. Wiedziałem, że jeśli się zgodzę, zapłacę straszliwą cenę - w tym życiu i w przyszłym.

- W porządku, muszę to przemyśleć - westchnąłem niemal bezwiednie, zaskoczony własną odpowiedzią.

Wróciłem do celi i zastanawiałem się nad propozycją Loai. Słyszałem już wcześniej opowieści o ludziach, którzy zgodzili się na współpracę z Izraelem, ale działali jako podwójni agenci. Posiadali broń i korzystali z każdej możliwości, żeby zaszkodzić Izraelczykom jeszcze bardziej - czasami posuwali się nawet do tego, że zabijali swoich izraelskich oficerów prowadzących. Gdybym powiedział „tak”, Loai najpewniej by mnie uwolnił. Może nawet zapewniłby mi dostęp do prawdziwej broni - wtedy przy nadarzającej się okazji mógłbym go zastrzelić.

Czułem, jak rośnie we mnie nienawiść. Chciałem zemścić się na żołnierzu, który mnie tak dotkliwie pobił. Chciałem zemścić się na Izraelu. Nie przejmowałem się konsekwencjami, nawet jeśli miałbym przyplącić to własnym życiem.

Jednak praca dla Szin Bet byłaby czymś znacznie bardziej ryzykownym niż kupno paru karabinów. No cóż - powinienem o tym zapomnieć, odsiedzieć swoje w więzieniu, wrócić do domu i zająć się matką i rodzeństwem.

Nazajutrz strażnik znowu zaprowadził mnie do biura. Kilka minut później zjawił się Loai.

- Jak się masz? Wyglądasz znacznie lepiej. Napijesz się czegoś?

Siedzieliśmy sobie, popijając kawę, jak dwóch starych znajomych.

- A jeśli mnie zabiją? - zapytałem, choć tak naprawdę nie dbałem o to. Chciałem tylko, żeby Loai myślał, że się tym przejmuję, żeby mi uwierzył.

- Powiem ci coś, Musab - odpowiedział. - Służę w Szin Bet już od osiemnastu lat i w tym czasie został zdemaskowany tylko jeden z naszych współpracowników. Pozostali Palestyńczycy, których zabito za rzekomą kolaborację, nie mieli z nami nic wspólnego. Znaleźli się w kręgu podejrzeń, bo nie mieli rodzin i zajmowali się jakimiś wątpliwymi interesami. Nikt się o tobie nie dowie. Będziemy cię osłaniać, żebyś nie został zdemaskowany. Będziemy cię chronić i zajmujemy się tobą.

Patrzyłem na niego dłuższą chwilę.

- Dobrze - powiedziałem wreszcie. - Zrobię to. Czy teraz mnie uwolnicie?

- Świetnie - Loai uśmiechnął się szeroko. - Niestety, nie możemy od razu cię zwolnić.

Ty i twój kuzyn trafiliście za kraty zaraz po zatrzymaniu Salamy, więc sprawa trafiła na okładkę „Al-Kuds”. Wszyscy Palestyńczycy myślą, że aresztowaliśmy was za współpracę z

tym konstruktorem bomb. Jeśli cię za szybko wypuścimy, ludzie zrobią się podejrzliwi i mogą cię zdemaskować. Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do więzienia. Ale nie martw się, nie na długo. Skorzystamy z okazji, gdy tylko zostanie zawarte najbliższe porozumienie o uwolnieniu lub wymianie więźniów. Kiedy cię wypuścimy, Hamas na pewno się z tobą skontaktuje, jesteś przecież synem Hasana Jusufa. Zobaczymy się na wolności.

Trafiłem z powrotem do celi, w której spędziłem następne dwa tygodnie. Nie mogłem się doczekać, kiedy opuszczę Moskowiję. Wreszcie pewnego dnia strażnik kazał mi się zbierać. Skuł mi ręce, ale tym razem z przodu. Nie założył mi cuchnącego kaptura. Pierwszy raz od czterdziestu pięciu dni wyszedłem na słońce i poczułem świeże powietrze. Wziąłem głęboki wdech i delektowałem się łagodną bryzą. Kiedy wdrapałem się na tył samochodu, pozwolono mi normalnie usiąść. Był upalny letni dzień i metalowa ławka, do której przypięto mnie kajdankami, parzyła z gorąca. Ale co tam, czułem się wolny!

Po dwóch godzinach dotarliśmy do więzienia w Megiddo, ale spędziliśmy w samochodzie kolejną godzinę, czekając, aż pozwolą nam wejść. Kiedy nas wreszcie wpuszczono, obejrzał mnie więzienny lekarz i stwierdził, że nic mi nie dolega. Wziąłem prysznic i umyłem się prawdziwym mydłem. Wręczono mi czyste ubranie i przybory toaletowe. Zjadłem pierwszy gorący posiłek od wielu tygodni.

Spytano mnie, do której organizacji należę.

- Do Hamasu - odpowiedziałem.

W tamtym czasie w izraelskich więzieniach każda organizacja miała prawo nadzorować swoich członków. Chodziło o to, żeby z jednej strony ograniczyć niektóre problemy w społeczności więziennej, a z drugiej strony - podsycać konflikty między różnymi frakcjami. Izraelczycy wychodzili z założenia, że jeśli poszczególne ugrupowania będą się ścierać ze sobą, zostanie im mniej energii na walkę z Izraelem.

Przekraczając próg więzienia, każdy osadzony musiał zadeklarować przynależność do jednej z grup. Musieliśmy coś wybrać: Hamas, Fatah, Islamski Dżihad, Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny, Demokratyczny Front na rzecz Wyzwolenia Palestyny i tak dalej. Więzień nie mógł powiedzieć, że nie należy do żadnej organizacji. Ci, których rzeczywiście nic nie łączyło z żadnym ugrupowaniem, mieli kilka dni na wybór jednego z nich. W Megiddo rządził Hamas - był tam największą i najsilniejszą organizacją. To Hamas ustalał zasady, których musieli przestrzegać członkowie innych frakcji.

Kiedy wszedłem do celi, więźniowie serdecznie mnie przywitali, klepali po plecach i gratulowali wstąpienia do szeregów. Wieczorem usiedliśmy razem i opowiadaliśmy sobie nasze historie. Jednak po pewnym czasie zacząłem się czuć niepewnie. Jeden z więźniów,

który pełnił rolę emira - przywódcy Hamasu w więzieniu - zadawał zbyt wiele pytań. Nie ufałem mu. Wielokrotnie słyszałem o „ptaszkach”, jak określano więziennych szpiegów. *Jeśli jest wtyczką Szin Bet* - myślałem - *dlaczego mi nie ufa? Teraz przecież jestem jednym z nich.* Uznałem, że najlepiej będzie nie mówić nic ponad to, co zeznałem w areszcie śledczym.

Spędziłem w Megiddo dwa tygodnie, modląc się, poszcząc i czytając Koran. Gdy przybyli nowi więźniowie, ostrzegłem ich przed emirem.

- Uważajcie - powiedziałem. - Ten gość i jego koledzy wyglądają mi na ptaszki.

Nowo przybyli natychmiast podzielili się moimi podejrzeniami z emirem, więc nazajutrz odesłano mnie do Moskowije. Rano zaprowadzono mnie do biura.

- Jak się udała wycieczka do Megiddo? - spytał Loai.

- Było cudownie - odpowiedziałem sarkastycznie.

- Muszę cię pochwalić. Niewielu potrafiłoby rozpoznać ptaszka, stykając się z taką osobą po raz pierwszy w życiu. Teraz idź i odpocznij. Wkrótce wyślemy cię tam na dłużej. A pewnego dnia zrobimy coś wspólnie.

Tak, któregoś dnia przestrzelę ci łeb - pomyślałem za nim na odchodne. Byłem dumny ze swego radykalnego nastawienia.

Spędziłem w Moskowije jeszcze dwadzieścia pięć dni, ale tym razem umieszczono mnie w celi z trzema innymi więźniami, wśród których był mój kuzyn Jusuf. Czas upływał nam na rozmowach. Jeden ze współwięźniów zwierzył się, że kogoś zabił. Inny chwalił się tym, że wysyłał zamachowców samobójców z bombami. Każdy miał coś ciekawego do opowiedzenia. Modliliśmy się, śpiewaliśmy piosenki i próbowaliśmy się jakoś rozerwać. Robiliśmy wszystko, byle nie myśleć o tym, co nas otaczało, o nieludzkich warunkach, w których nas przetrzymywano.

W końcu odesłano nas wszystkich do Megiddo - w Moskowije został tylko mój kuzyn. Ale tym razem nie przewidziano dla nas towarzystwa ptaszków - mieliśmy zakosztować prawdziwego więzienia. Od tej pory wszystko miało się zmienić.

12

NUMER 823

1996

Cuchnęliśmy na odległość.

Po trzech miesiącach bez nożyczek i brzytwy mieliśmy zapuszczone włosy i brody. Nasze ubrania lepły się od brudu. Nie mogliśmy się doszorować - minęły dwa tygodnie, zanim udało się nam wreszcie pozbyć odoru z Moskowije.

Większość więźniów rozpoczynała odsiadkę na oddziale zwanym *miwar*. Był to rodzaj kwarantanny, którą przechodzili wszyscy nowo przybyli przed przeniesieniem do właściwej części obozu. Jednak więźniowie uznani za szczególnie niebezpiecznych nigdy nie dołączali do reszty społeczności więziennej i całymi latami przetrzymywano ich w miwarze. Oczywiście wszyscy więźniowie z tej kategorii należeli do Hamasu. Niektórzy rozpoznali mnie i podeszli, żeby się przywitać.

Jako syn szajcha Hasana przyzwyczailem się już, że rozpoznawano mnie, gdziekolwiek bym się nie zjawił. Jeśli ojca uznawano za swego rodzaju króla, we mnie widziano księcia i następcę tronu - i tak też byłem traktowany.

- Słyszeliśmy, że już tu byłeś miesiąc temu. Twój wuj też jest z nami. Wkrótce cię odwiedzi.

Zjedliśmy gorący i obfity obiad, choć nie tak smaczny jak ten, który jadałem w towarzystwie ptaszków. Ale i tak byłem szczęśliwy. Mimo więziennych murów na dobrą sprawę czułem się wolny. Czasami myślałem tylko o Szin Bet - zgodziłem się na współpracę, ale od tamtej pory nikt się ze mną nie skontaktował. Nie wyjaśniono mi, jak będziemy się porozumiewać ani na czym ma polegać nasza współpraca. Zostałem sam, bez jakichkolwiek wskazówek. Czułem się zagubiony. Czy to możliwe, że po prostu ze mnie zakpili?

Miwar składał się z dwóch dużych sal - „ósemki” i „dziewiątki” - które zastawiono rzędami prycz. W każdej mieszkało około dwudziestu więźniów. Pomieszczenia układały się w kształt litery L. Między skrzydłami budynku, na niewielkim betonowym podwórku przeznaczonym do ćwiczeń, ustawiono rozklekotany stół do pingponga - dar Czerwonego Krzyża. Codziennie wypuszczano nas dwa razy na gimnastykę.

Moje łóżko znajdowało się na samym końcu sali numer dziewięć, tuż przy

sanitariatach. Mieliśmy do dyspozycji dwie toalety i dwa prysznice. Żeby skorzystać z toalety, trzeba było stanąć lub kucnąć nad otworem w podłodze, a potem obmyć się wodą z wiadra. Duszne pomieszczenie wypełniał nieznośny fetor.

Właściwie cały budynek cuchnął. Niektórzy więźniowie nigdy się nie myli, inni chorowali, wszyscy wydzielali nieświeży zapach z ust. Słaby wentylator nie dawał sobie rady z dymem papierosowym, a nie było okien, które można by otworzyć.

Budzono nas codziennie o czwartej nad ranem, żebyśmy mogli przygotować się do modlitwy przed wschodem słońca. Ustawialiśmy się w kolejce, każdy ze swoim ręcznikiem. Wyglądaliśmy i pachnieliśmy właśnie tak, jak można by się spodziewać po zgrai chłopów wstających rano po nocy spędzonej w ciasnym pomieszczeniu bez wentylacji. Musieliśmy odbyć *wudu* - islamski rytuał oczyszczenia. Najpierw myliśmy ręce do nadgarstków, płukaliśmy usta i wciągaliśmy wodę do nosa, potem szorowaliśmy twarz obiema rękami od czoła do brody i od ucha do ucha, następnie myliśmy ręce do łokci i zwilżaliśmy włosy mokrą ręką od czoła do karku. W końcu zwilżonymi palcami czyściliśmy uszy wewnątrz i na zewnątrz, przecieraliśmy szyję i myliśmy obie nogi do kostek. Powtarzaliśmy ten rytuał jeszcze dwa razy.

O wpół do piątej, gdy wszyscy byli już gotowi, imam - wielki, surowy mężczyzna z bujną brodą - zaczynał recytować *azan*. Potem czytał *Al-Fatiha* - surę otwierającą, czyli pierwszy rozdział z Koranu - i wykonywaliśmy poczwórne *raka* - rytuał składający się z modlitw i gestów wstawania, klękania i pokłonów.

Więźniowie byli w większości muzułmanami z Hamasu lub Islamskiego Dżihadu, więc powyższe czynności i tak były naszą codzienną rutyną. Ale razem z nami musieli wstawać także ci, którzy należeli do organizacji świeckich i komunistycznych, mimo że się nie modlili. Wcale im się to nie podobało. Był między nami pewien mężczyzna, który odsiadywał piętnastoletni wyrok. Miał już po dziurki w nosie wszystkich tych islamskich rytuałów. Dobudzenie go rano zajmowało wieki - niektórzy więźniowie szturchali go, bili, krzyczeli „Wstawaj!” i polewali go wodą. Współczułem mu.

Ablucje, recytacja Koranu i modlitwy zajmowały około godziny. Potem wszyscy wracaliśmy do łóżek. Obowiązywała cisza, więc nie rozmawialiśmy. Było mi trudno ponownie zasnąć - przeważnie udawało mi się zdrzemnąć dopiero przed siódmą, ale wtedy ze snu wyrывał mnie okrzyk: *Adad!Adad!* („Numer! Numer!”), oznaczający porę sprawdzania stanu liczebnego w celach. Siadaliśmy na pryczach plecami do żołnierza, który nas liczył, ponieważ był nieuzbrojony. Zajmowało mu to tylko pięć minut, a potem mogliśmy znów wrócić do spania.

Dzalsa! Dzalsa! - wołał emir o ósmej trzydzieści. Nadchodziła pora pierwszego z dwóch spotkań prowadzonych codziennie przez Hamas i Islamski Dżihad. Nie pozwalano nam na dłuższy, nieprzerwany sen, co było bardzo irytujące. Znow ustawiała się kolejka do sanitariatów, bo wszyscy musieli przygotować się do porannej dzalsy.

Podczas pierwszego spotkania uczyliśmy się zasad czytania Koranu. Wszystko to wiedziałem już od ojca, ale dla większości więźniów były to nowe odkrycia. Podczas drugiej dzalsy mówiono więcej o samym Hamasie i dyscyplinie wewnątrzobozowej. Podawano też ogłoszenia o nowo przybyłych i przekazywano wiadomości ze świata zewnętrznego. Żadnych tajemnic czy planów, po prostu ogólne informacje.

Po spotkaniu najczęściej oglądaliśmy telewizję. Odbiornik znajdował się na końcu sali, naprzeciwko toalet. Któregoś ranka oglądałem kreskówkę. Kiedy pojawiły się reklamy, nagle coś huknęło. Z góry zjechała duża drewniana tablica, która zasłoniła ekran.

Podskoczyłem i rozejrzałem się dookoła.

- Co się dzieje?

Zobaczyłem, że tablica przymocowana była grubym sznurem do sufitu, a pod ścianą siedział więzień, który trzymał za drugi koniec sznura. Jego zadanie polegało najwyraźniej na wypatrywaniu w programie nieprzyzwoitych treści i spuszczeniu zasłony w odpowiednim momencie.

- Dlaczego spuściłeś tablicę? - zapytałem.

- Żeby cię chronić - odpowiedział szorstko.

- Chronić? Przed czym?

- Przed dziewczyną w reklamie - wyjaśnił „operator tablicy”. - Miała odkrytą głowę.

Zwróciłem się do emira:

- Czy on mówi poważnie?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział emir.

- Ale przecież wszyscy mamy telewizory w domu, a tam tego nie robimy. W takim razie dlaczego wprowadzamy tutaj inne zasady?

- Więzienie to nie dom. Tutaj jesteś narażony na wyjątkowe pokusy - wyjaśnił. - Nie mamy kobiet. Obrazy, które pokazują w telewizji, mogą prowokować więźniów do niewłaściwych praktyk. Tak to widzimy i takie zasady tutaj obowiązują.

Poglądy na tę sprawę były jednak różne. W zależności od tego, kto pociągał za sznur, mogliśmy obejrzeć więcej lub mniej. Jeśli cenzor pochodził z Hebronu, opuszczał tablicę nawet wtedy, gdy kobieta z odkrytą głową pojawiała się w animowanej bajce. Jeśli był z bardziej liberalnego Ram Allah, mogliśmy zobaczyć znacznie więcej. Każdy po kolei pełnił

dyżur przy sznurze, ale ja postanowiłem, że nie przyłożę swojej ręki do czegoś tak niedorzecznego.

Po posiłku odmawialiśmy modlitwę, po której znowu obowiązywała cisza. Większość więźniów ucinała sobie drzemkę. Ja zwykle czytałem książkę. Wieczorem wypuszczano nas na teren do ćwiczeń na krótki spacer, mogliśmy też porozmawiać.

Życie w więzieniu było dla członków Hamasu dość nudne. Nie mogliśmy grać w karty. Czytaliśmy wyłącznie książki dotyczące Koranu i islamu. Inne ugrupowania pozostawiały swoim zwolennikom znacznie więcej swobody.

Ktoregoś popołudnia dołączył do nas w końcu mój kuzyn Jusuf. Ogromnie się ucieszyłem na jego widok. Izraelczycy pozwolili nam korzystać z maszynek do strzyżenia, więc ogoliliśmy mu głowę, żeby pozbyć się odoru z izby zatrzymań.

Jusuf nie należał do Hamasu, był socjalistą. Nie wierzył w Allaha, choć żywił jakąś ogólną wiarę w Boga. Dlatego najbardziej pasował do Demokratycznego Frontu na rzecz Wyzwolenia Palestyny i tam też został przypisany. To ugrupowanie dążyło do utworzenia państwa palestyńskiego, w przeciwieństwie do Hamasu i Islamskiego Dżihadu, które walczyły o państwo islamskie.

Kilka dni po przybyciu Jusufa wizytę złożył nam mój wuj Ibrahim Abu Salim. Przetrzymano go już dwa lata, choć nie przedstawiono mu żadnych oficjalnych zarzutów. A ponieważ stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa Izraela, miał spędzić w więzieniu jeszcze długi czas. Należał do kierownictwa Hamasu, więc wolno mu było swobodnie przemieszczać się między miwarem i główną częścią obozu, a także między różnymi oddziałami. Teraz chciał sprawdzić, jak się ma jego siostrzeniec, przyniósł mi też dodatkowe ubrania. Gest troski zupełnie nie pasował do człowieka, który mnie pobił i odwrócił się do naszej rodziny plecami, kiedy ojciec był w więzieniu.

Wuj był wysokim mężczyzną, a jego ogromny brzuch zdradzał zamiłowanie do jedzenia i nadawał mu pozory wesołego smakosza. Jednak dobrze go znałem. Ibrahim był człowiekiem złośliwym i samolubnym, kłamcą i hipokrytą - stanowił całkowite przeciwieństwo mego ojca.

Za murami Megiddo traktowano go jak króla. Wszyscy więźniowie, niezależnie od osobistych poglądów i przynależności do określonego ugrupowania, szanowali wujka z uwagi na jego wiek, zdolności kaznodziejskie, karierę uniwersytecką i sukcesy polityczne. Kiedy odwiedzał inne oddziały, przywódcy zwykle prosili go o wygłoszenie wykładu. Wszyscy lubili słuchać Ibrahima, ponieważ umiejętnie zabawiał publiczność. Rozśmieszał ludzi, a kiedy nauczał o islamie, posługiwał się prostym językiem, zrozumiałym dla każdego

słuchacza.

Jednak tego dnia nikt się nie śmiał. Więźniowie słuchali w skupieniu, jak Ibrahim żarliwie przestrzega przed kolaborantami. Wuj przekonywał, że takie osoby są zakałą swoich rodzin i wrogami narodu palestyńskiego. Miałem wrażenie, że chce mi powiedzieć: „Jeśli coś przede mną ukrywasz, Musab, lepiej zaraz się przyznaj”.

Oczywiście do niczego się nie przyznałem. Nawet jeśli Ibrahim nabrał podejrzeń co do moich związków z Szin Bet, nie odważyłby się otwarcie oskarżyć syna szajcha Hasana Jusufa.

- Gdybyś czegoś potrzebował - powiedział na odchodne - daj znać. Postaram się, żeby umieścili cię blisko mnie.

Było lato 1996 roku. Miałem zaledwie osiemnaście lat, a czułem się tak, jakbym przeżył życie kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy. Któregoś dnia, parę tygodni po wizycie wuja, do sali numer dziewięć wszedł *szawisz* - przedstawiciel więźniów. Zawołał: „Osiemset dwadzieścia trzy!”. Podniosłem głowę, zdziwiony, że słyszę swój numer.

Szawisz wywołał jeszcze kilka innych numerów i kazał nam pozbierać swoje rzeczy.

Gdy wyszliśmy z miwaru na pustynię, nagłe uderzenie gorąca przyprawiło mnie o zawroty głowy. Jak okiem sięgnąć, przed nami rozciągały się kolejne rzędy wielkich brązowych namiotów. Minęliśmy oddział pierwszy, drugi, trzeci... Więźniowie podbiegali tłumnie do wysokich ogrodzeń z siatki, żeby zobaczyć „nowych”. Doszliśmy do oddziału piątego i brama się uchyliła. Już po chwili otaczała nas spora grupa kilkudziesięciu współwięźniów, którzy przyszli się przywitać.

Zabrano nas do namiotu administracyjnego i znów zapytano o przynależność organizacyjną. Potem zaprowadzono mnie do namiotu Hamasu, gdzie czekał na mnie emir.

- Witaj - powiedział. - Cieszę się, że cię widzę. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Wkrótce twoje łóżko będzie gotowe, dostaniesz też ręczniki i inne potrzebne przybory.

Zakończył rozmowę odrobiną więziennego humoru:

- Niech się pan rozgości, życzymy miłego pobytu.

Każdy oddział obozu obejmował dwanaście namiotów. W każdym namiocie znajdowało się dwadzieścia łóżek i szafek, więc w jednym oddziale mogło przebywać maksymalnie dwustu czterdziestu więźniów. Oddział piąty składał się z czterech kwadrantów. Mur zabezpieczony drutem kolczastym przecinał go z północy na południe, a niższe ogrodzenie - ze wschodu na zachód.

W pierwszym i drugim kwadrancie znajdowało się łącznie sześć namiotów Hamasu. W trzecim kwadrancie ulokowano cztery namioty - po jednym dla Hamasu i Fatah, jeden

wspólny dla Demokratycznego Frontu Wyzwolenia Palestyny i Ludowo-Demokratycznego Frontu na rzecz Wyzwolenia Palestyny oraz jeden dla Islamskiego Dżihadu. W czwartym kwadrancie znajdowały się dwa namioty - jeden należał do Fatah, drugi do DFWP/LFWP.

W czwartym kwadrancie ulokowano także kuchnię, toalety, prysznic, pomieszczenia przeznaczone dla przedstawicieli społeczności więziennej i dla kucharzy oraz miednice do wudu. Modlitwa odbywała się na otwartej przestrzeni w drugim kwadrancie. Oczywiście w każdym rogu stały wieże strażnicze. Główna brama do oddziału piątego znajdowała się w ogrodzeniu między trzecim i czwartym kwadrantem.

Jeszcze jeden szczegół: w ogrodzeniu biegnącym ze wschodu na zachód ulokowano bramy między kwadrantem pierwszym i trzecim oraz drugim i czwartym. Przez większą część dnia pozostawały one otwarte, z wyjątkiem pory sprawdzania stanu liczebnego. Zamykano wtedy przejścia, żeby odizolować od siebie obie połowy oddziału.

Przydzielono mnie do namiotu Hamasu w rogu pierwszego kwadrantu. Dostałem trzecią pryczę z prawej strony. Po pierwszym apelu siedzieliśmy w namiocie, gdy nagle usłyszeliśmy z oddali donośny okrzyk: *Baridja mudżahidun! Barid!* („Poczta dla bojowników o wolność! Poczta!”).

Był to *sawaid* z sąsiedniego oddziału - agent hamasowskiego skrzydła służby więziennej, który przekazywał wiadomości z jednego oddziału do drugiego. Nazwa *sawaid* nawiązuje do arabskiego określenia oznaczającego „podnoszenie rąk”.

Na to wezwanie kilku mężczyzn wybiegło z namiotów i nadstawiło ręce, obserwując niebo. W pewnym momencie w otwarte dłonie jednego z nich wpadła kulka, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Właśnie w ten sposób przywódcy Hamasu w naszym oddziale otrzymywali zaszyfrowane rozkazy lub informacje od przywódców z innych oddziałów. Wszystkie organizacje palestyńskie w więzieniu posługiwały się tą metodą komunikacji. Każde ugrupowanie miało swoje hasło, więc gdy rozlegało się wołanie, odpowiedni „łapacze” biegli do strefy zrzutu.

Kulki robiono z chleba rozmoczonego w wodzie. Do środka wkładano wiadomość, a potem z ciasta formowano kulę przypominającą piłeczkę, która po wysuszeniu twardniała. Oczywiście na „listonoszy” wybierano tylko najlepszych miotaczy i łapaczy.

Po chwili emocje opadły i nadeszła pora obiadu.

13

NIE UFAJ NIKOMU

1996

Zachwyciałem się widokiem nieba po długim okresie przebywania pod ziemią. Gwiazdy robiły na mnie takie wrażenie, jakbym nie widział ich od lat. Były przepiękne, mimo że duże obozowe latarnie rozpraszały ich blask. Jednak zmierzch oznaczał też, że musimy wracać do namiotów i przygotować się do sprawdzania stanu liczebnego. Ten punkt w porządku dnia dla mnie wiązał się z pewnymi niedogodnościami.

Przydzielono mi numer 823. Więźniowie byli kwaterowani według numerów, co oznaczało, że powinienem zostać umieszczony w namiocie Hamasu w trzecim kwadrancie. Ze względu na brak wolnych miejsc ulokowano mnie w namiocie narożnym w pierwszym kwadrancie.

Jednak na odliczanie musiałem ustawiać się w odpowiednim miejscu w trzecim kwadrancie. Dzięki temu strażnik, sprawdzając listę, nie musiał pamiętać o wszystkich zmianach organizacyjnych wprowadzonych przy zakwaterowaniu.

Każdy ruch w obrędku sprawdzania stanu liczebnego był dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Dwudziestu pięciu żołnierzy z odbezpieczonymi karabinami M16 wchodziło na teren pierwszego kwadrantu i przemieszczało się od namiotu do namiotu. Wszyscy staliśmy twarzą do brezentu, plecami do żołnierzy. Nikt nie odważyłby się ruszyć z obawy przed zastrzeleniem.

Następnie żołnierze przechodzili do drugiego kwadrantu. Potem zamykali obie bramy w ogrodzeniu, aby nikt z tych dwóch kwadrantów nie mógł się prześlizgnąć do trzeciego lub czwartego kwadrantu, by zająć miejsce brakującego więźnia.

Już podczas pierwszego wieczoru na oddziale zauważyłem, że odbywa się tam jakaś tajemnicza gra. Gdy zająłem swoje miejsce w trzecim kwadrancie, obok mnie stanął więzień sprawiający wrażenie ciężko schorowanego. Miał ogoloną głowę, był wycieńczony, patrzył w ziemię i nie nawiązywał kontaktu wzrokowego. *Kto to może być i co mu się stało?* - zastanawiałem się.

Gdy żołnierze skończyli liczenie w pierwszym kwadrancie i przeszli do drugiego, ktoś chwycił tego człowieka i wyprowadził go z namiotu, a jego miejsce obok mnie zajął inny

więzień. Później dowiedziałem się, że w ogrodzeniu oddzielającym kwadranty pierwszy i trzeci wycięto niewielkie przejście, przez które przemycano się więźniów.

Chodziło najpewniej o to, by ukryć łysego mężczyznę przed żołnierzami. Ale dlaczego?

Tej nocy, leżąc już w łóżku, słyszałem w oddali pojękiwania - ktoś musiał bardzo cierpieć. Nie trwało to jednak długo i wkrótce zasnąłem.

Poranek zawsze nadchodził zbyt szybko. Ledwie zdążyłem zmrużyć oczy, a już budzono nas na modlitwę przed wschodem słońca. Sttu czterdziestu spośród dwustu czterdziestu więźniów na oddziale wstawało i zajmowało miejsce w kolejce do sześciu toalet - a właściwie do sześciu dziur wyciętych w desce nad jednym dołem, odgrodzonych od siebie prowizorycznymi ściankami. Mieliśmy do dyspozycji osiem miednic do wudu - i trzydzieści minut.

Potem ustawialiśmy się w rzędach do modlitwy. Porządek dnia przypominał ten w miwarze, jednak tutaj liczba więźniów była dwunastokrotnie większa. Mimo to kolejne czynności przebiegały niezwykle sprawnie, nikt się nigdy nie mylił. Panowała dziwna atmosfera - więźniowie sprawiali wrażenie zastraszonych, nikt nie kwestionował wytycznych, nikt nie ośmielił się zostać choć na chwilę dłużej w toalecie. Nikt nie rozmawiał z więźniem, który wrócił z przesłuchania, ani nie nawiązywał kontaktu wzrokowego z izraelskimi żołnierzami. Nikt nie podchodził zbyt blisko do ogrodzenia.

Wkrótce zrozumiałem, co tu się dzieje. W tajemnicy przed władzami więzienia Hamas prowadził własną grę i przyznawał w niej punkty. Jeśli ktoś złamał jakąś regułę, dostawał punkt karny. Kiedy więzień uzbierał określoną liczbę punktów karnych, odpowiadał przed *madżid* - wewnętrzną służbą bezpieczeństwa Hamasu. Należeli do niej bezwzględni faceci, którzy nigdy się nie uśmiechali ani nie żartowali.

Prawie w ogóle ich nie widywaliśmy, ponieważ byli zajęci zbieraniem informacji. Kulki z wiadomościami przerzucane z jednego oddziału do drugiego były właśnie od nich i dla nich.

Któregoś dnia, gdy siedziałem na swojej pryczy, do namiotu wszedł członek *madżid* i krzyknął: „Opuszczyć namiot!”. Nikt nie odezwał się ani słowem. W kilka sekund namiot opustoszał. Do środka wprowadzono mężczyznę, opuszczono kotarę i ustawiono dwóch ludzi na straży. Ktoś włączył telewizor na cały regulator. Jacyś mężczyźni zaczęli głośno śpiewać i hałasować.

Nie mogłem zobaczyć, co się dzieje w środku, ale nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby ktoś wydawał z siebie takie wrzaski jak ten nieszczęśnik. *Czym sobie na to zasłużył?* -

zastanawiałem się w milczeniu. Torturowano go przez pół godziny. Następnie funkcjonariusze madzid wyprowadzili go do innego namiotu.

Kiedy czekaliśmy na zewnątrz, zacząłem rozmowę z Akilem Sarurem, który pochodził z wioski koło Ram Allah.

- Co się tam dzieje? - zapytałem.

- O, to jest zły człowiek - odpowiedział krótko.

- Wiem, że jest zły, ale co oni mu robią? I dlaczego? W czym zawinił?

- W więzieniu nie popełnił żadnego wykroczenia - wyjaśnił Akil - ale mówią, że w Hebronie donosił Izraelczykom na członków Hamasu. Wygląda na to, że za dużo gadał. No więc biorą go od czasu do czasu na tortury.

- Na czym one polegają?

- Przeważnie wkładają mu igły pod paznokcie i topią plastikowe tacki od jedzenia na gołej skórze. Albo palą włosy na ciele. Czasami wkładają duży kij pod kolana, zmuszają do kucania całymi godzinami i nie pozwalają spać.

Teraz zrozumiałem, dlaczego wszyscy trzymali się ściśle zaleceń, a także co przydarzyło się temu łysemu człowiekowi, na którego zwróciłem uwagę pierwszego dnia. Członkowie madzid nienawidzili kolaborantów, a dopóki nie udowodniliśmy, że jesteśmy niewinni, wszyscy byliśmy podejrzani o szpiegowanie dla Izraelczyków.

Ponieważ służby izraelskie skutecznie rozpracowywały komórki Hamasu i zatrzymywały wielu jego członków, funkcjonariusze madzid zakładali, że organizacja musi być naszpikowana agentami - także tutaj, w więzieniu. Postanowili ich zdemaskować. Obserwowali każdy nasz ruch. Przyglądali się naszemu zachowaniu i zwracali uwagę na wszystko, co mówimy. Prowadzili nieustanną punktację. Wiedzieliśmy, którzy więźniowie należą do madzid, ale nie domyślaliśmy się, kto dla nich szpieguje. Ktoś, kogo uważałem za przyjaciela, mógł być ich współpracownikiem. W każdej chwili groziło mi, że trafię na przesłuchanie.

Uznałem, że najlepiej będzie trzymać się z boku i uważać na to, z kim się zadaje. Odkąd zrozumiałem, co kryje się za atmosferą strachu i podejrzliwości panującą w więzieniu, moje życie radykalnie się zmieniło. Zupełnie tak, jakbym znalazł się nagle w innym więzieniu, w którym nie można się swobodnie poruszać, rozmawiać, nie można nikomu zaufać ani z nikim się zaprzyjaźnić. Bałem się, że popełnię błąd, spóźnię się, prześpię poranną pobudkę albo przysnę w czasie dżalsy.

Jeśli ktoś został uznany przez madzid za kolaboranta, całe jego życie obracało się w gruzy. Tracił rodzinę, bo żona, dzieci i krewni wyrzekali się go. Etykieta kolaboranta

oznaczała doszczętnie zniszczoną reputację. W latach 1993-1996 w więzieniach izraelskich Hamas prowadził wewnętrzne śledztwa przeciwko stu pięćdziesięciu osobom podejrzanym o kolaborację. Kilkanaście z nich zamordowano.

Ponieważ umiałem szybko i wyraźnie pisać, członkowie madżid zaproponowali, żebym został ich sekretarzem. Ostrzegli mnie, że informacje, do których będę miał dostęp, są ściśle tajne i że mam je zachować dla siebie.

Całymi dniami przepisywałem dossier więźniów. Bardzo uważaliśmy, by teczki z informacjami nie wpadły w ręce służby więziennej.

Nie używaliśmy nazwisk, posługiwaliśmy się wyłącznie zaszyfrowanymi numerami. Zeznania, które skrupulatnie powielałem, przypominały lekturę pornograficzną. Podejrzani przyznawali się do współżycia z własnymi matkami. Jeden z przesłuchiwanym zeznał, że odbył stosunek z krową, inny - z własną córką. Pewien mężczyzna opowiedział, że uprawiał seks z sąsiadką, nagrał wszystko ukrytą kamerą, a potem przekazał zdjęcia Izraelczykom. Ci zaś - stwierdzał raport - pokazali je sąsiadce i zagrozili, że w razie odmowy współpracy udostępnią zdjęcia jej rodzinie. Przesłuchiwany dalej współżył z sąsiadką i razem zajmowali się szpiegowaniem. Uprawiali seks także z innymi osobami i wszystko nagrywali, aż w końcu niemal cała wioska pracowała dla izraelskiego wywiadu. A była to dopiero pierwszateczka, którą kazano mi przepisać.

To wszystko wydawało mi się jakimś szaleństwem. Przepisując kolejne teczki, zdałem sobie sprawę, że torturowani więźniowie pytani byli o rzeczy, o których nie mieli pojęcia, i udzielali odpowiedzi, których najwyraźniej oczekiwali oprawcy. Oczywiście przyznawali się do wszystkiego, byle tylko tortury ustały. Podejrzewałem, że celem tych dziwacznych przesłuchań było przede wszystkim karmienie fantazji seksualnych członków madżid.

Pewnego dnia do grona ich ofiar dołączył mój przyjaciel Akil Sarur. Akil należał do Hamasu i był wielokrotnie aresztowany, ale z jakiegoś powodu członkowie Hamasu pochodzący z miasta nigdy go nie zaakceptowali. Akil był prostym rolnikiem. Jego sposób mówienia i jedzenia uznawano za śmieszny i więźniowie kpili sobie z niego. Starał się zdobyć ich zaufanie i szacunek, gotował dla nich i sprzątał, lecz mimo to traktowali go pogardliwie, bo wiedzieli, że służy im ze strachu.

Rzeczywiście, Akil miał powody, żeby się bać. Jego rodzice nie żyli, pozostała mu tylko siostra. Był zupełnie bezbronny, bo nie miał nikogo, kto by go pomścił. W dodatku jego kolega z celi w trakcie przesłuchania przez madżid wymienił imię Akila. Współczułem mu, ale nie mogłem nic zrobić. Byłem zagubionym dzieckiem, którego nikt nie chciał słuchać. Wiedziałem, że przed identycznym losem chroni mnie jedynie autorytet mojego ojca.

Raz w miesiącu przysługiwało nam prawo do widzenia z rodziną. Wikt w więzieniach izraelskich pozostawiał wiele do życzenia, więc bliscy przywozili nam zwykle domowe jedzenie i przybory osobiste. Ponieważ Akil i ja pochodziliśmy z tych samych okolic, nasze rodziny odwiedzały nas tego samego dnia.

Po długim oczekiwaniu na rozpatrzenie podania Czerwony Krzyż gromadził rodziny z określonego rejonu i usadzał je w autobusach. Do Megiddo były zaledwie dwie godziny drogi, ale autobusy musiały zatrzymywać się na wielu posterunkach, gdzie za każdym razem przeszukiwano wszystkich pasażerów. Dlatego by dotrzeć do więzienia w południe, nasi bliscy musieli wyruszyć o czwartej rano.

Pewnego dnia po widzeniu z siostrą Akil wrócił na oddział obładowany jedzeniem. Był szczęśliwy i nie miał pojęcia, co go czeka. Tymczasem odwiedził nas właśnie wuj Ibrahim, co zawsze było złym znakiem. Nauczyłem się już, że Ibrahim często gromadził więźniów na wykładzie, aby osłonić działania członków madzid, którzy w tym czasie zabierali kogoś na przesłuchanie. Tym razem miał to być Akil. Odebrano mu torby i zaprowadzono do namiotu. Akil zniknął za zasłoną, gdzie rozpoczął się najgorszy z jego koszmarów.

Spojrzałem na wuja. Dlaczego nie powstrzymał oprawców? Był przecież wielokrotnie aresztowany razem z Akilem. Wspólnie znosili te same prześladowania. Akil przygotowywał mu posiłki i troszczył się o niego. Ibrahim dobrze go znał, a jednak nie zareagował. Czy to dlatego, że Akil był biednym, cichym wieśniakiem, a wuj pochodził z miasta?

Bez względu na to, jakie motywy nim kierowały, Ibrahim Abu Salim siedział teraz w towarzystwie członków madzid, śmiejąc się i zajadając potrawami przygotowanymi przez siostrę Akila. Tymczasem tuż obok bracia z Hamasu - bracia Arabowie, bracia Palestyńczycy, bracia muzułmanie - wbijali igły pod paznokcie Akila.

Przez kilka kolejnych tygodni widziałem Akila tylko parę razy. Miał ogoloną głowę i brodę, spuszczone wzrok, był wychudzony i wyglądał jak staruszek, który za chwilę umrze.

Potem dano mi do przepisania jego zeznania. Przyznał się do współżycia ze wszystkimi kobietami z wioski, a także z osłami i innymi zwierzętami. Wiedziałem, że każde słowo to kłamstwo, jednak przepisałem raport, który został następnie przesłany do wioski Akila. Jego siostra wyrzekła się go, a sąsiedzi potępili.

Uważałem, że członkowie madzid są znacznie gorsi niż jakikolwiek kolaborant. Jednak w wewnętrznym systemie więziennym zajmowali wysoką pozycję i decydowali o wielu sprawach. Pomyślałem, że mógłbym to jakoś obrócić na swoją korzyść.

Zwierzchnikiem madzid był Anas Rasras. Jego ojciec wykładał na uczelni na

Zachodnim Brzegu i był bliskim przyjacielem wuja Ibrahima. Gdy przybyłem do Megiddo, wuj poprosił Anasa, by pomógł mi się przystosować i nauczyć procedur. Anas pochodził z Hebronu, miał czterdzieści lat, był skryty, niezwykle inteligentny i bardzo niebezpieczny. Szin Bet bacznie obserwowała każdy jego ruch na wolności. Miał niewielu przyjaciół. Jednak nigdy nie brał udziału w torturach, dlatego po pewnym czasie zacząłem go szanować, a nawet mu ufać.

Opowiedziałem mu, że zgodziłem się na współpracę z Izraelczykami, żeby zostać podwójnym agentem, zdobyć lepszą broń i niszczyć ich od środka. Zapytałem, czy może mi pomóc.

- Muszę to sprawdzić - powiedział. - Na razie nikomu o tym nie powiem, ale zobaczymy, co da się zrobić.

- Co to znaczy „zobaczymy”? Możesz mi pomóc, czy nie?

Nie powinienem był ufać Anasowi. Zamiast mi pomóc, natychmiast poinformował wuja Ibrahima i kilku innych członków madzid o moim planie.

Następnego ranka wuj złożył mi wizytę.

- Co ty sobie wyobrażasz?

- Nie denerwuj się, wujku, nic się nie stało. Mam pewien plan. Nie musisz się do tego wtrącać.

- Musab, to bardzo niebezpieczne dla waszej reputacji: mojej i twojego ojca, dla całej rodziny. To nie jest zabawa dla ciebie.

Zaczął mnie wypytywać: czy agenci Szin Bet wskazali mi kontakt w obozie? Czy poznałem tego lub owego Izraelczyka ze służby bezpieczeństwa? Jakie instrukcje mi przekazali? Co im powiedziałem? Im dłużej mnie wypytywał, tym bardziej się denerwowałem. W końcu nie wytrzymałem:

- Powinieneś się skupić na sprawach religijnych, a nie zajmować szpiegowaniem! Członkowie madzid torturują ludzi bez powodu. To bez sensu. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Zamierzam robić swoje, a ty się nie wtrącaj.

Moja sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Nie obawiałem się tortur czy przesłuchania - nie posunęliby się do tego ze względu na ojca - ale widziałem wyraźnie, że wuj Ibrahim nie wie już, czy mówię prawdę, czy kłamię.

Na dobrą sprawę sam tego jeszcze nie wiedziałem.

Niepotrzebnie zdradziłem się przed Anasem. Czy równie wielką naiwnością z mojej strony było też zaufanie Izraelczykom? Nadal się ze mną nie kontaktowali, nie przekazali mi żadnych instrukcji. Czy bawili się ze mną w ciuciubabkę?

Wróciłem do namiotu i od tamtej pory zamknąłem się w sobie. Nie ufałem już nikomu. Współwięźniowie dostrzegli, że coś jest ze mną nie tak, ale nie wiedzieli, o co chodzi. Członkowie madżid zatrzymali dla siebie moją tajemnicę, nigdy jednak nie spuszczaali mnie z oka. Byłem stale na cenzurowanym i sam podejrzewałem wszystkich wokół. Żyliśmy razem jak w klatce na wolnym powietrzu, nie mogliśmy się nigdzie przed sobą ukryć ani uciec.

Czas włókł się niemiłosiernie. Atmosfera podejrzliwości przybierała na sile. Za dnia słyszeliśmy krzyki, w nocy - odgłosy tortur. Hamas dręczył swoich własnych zwolenników! Chciałem to sobie jakoś wytłumaczyć i usprawiedliwić, ale nie umiałem.

Wkrótce sytuacja jeszcze się pogorszyła. Na przesłuchania zabierano już nie jedną, a trzy osoby naraz. Pewnej nocy o czwartej nad ranem jakiś mężczyzna przebiegł przez oddział i wdrapał się na mur graniczny, nie zważając na drut kolczasty, który poszarpał mu ubranie i ciało. Udało mu się przedostać na drugą stronę i w ciągu dwudziestu sekund znalazł się poza obozem. Izraelczyk na wieży strażniczej skierował karabin maszynowy w jego stronę i wycelował.

- Nie strzelaj! - zawołał uciekinier. - Nie strzelaj! Nie uciekam z więzienia, ale przed nimi! - wskazał na zdyszanych członków madżid, którzy patrzyli na niego przez ogrodzenie. Żołnierze wybiegli przez bramę, powalili więźnia na ziemię, przeszukali go i przyprowadzili z powrotem.

Czy to miał być Hamas? Czy tak miał wyglądać islam w praktyce?

14

BUNT

1996-1997

Mój ojciec był dla mnie islamem.

Na wadze Allaha przeważałby każdego znanego mi muzułmanina. Nigdy nie opuścił żadnej modlitwy. Nawet gdy wracał do domu późno i był zmęczony, słyszałem, jak modli się i woła do Allaha w środku nocy. Był pokorny, kochający i wyrozumiały wobec mamy, dzieci, a także obcych ludzi.

Ojciec nie był tylko apologetą islamu - całym swoim życiem ucieleśniał wzór nienagannego muzułmanina. Ukazywał piękne oblicze islamu, a nie to okrutne, które nakazuje wyznawcom podbijać i zniewalać całą ziemię.

Jednak po powrocie z więzienia w ciągu kolejnych dziesięciu lat obserwowałem, jak w ojcu toczy się nieustanna wewnętrzna walka. Z jednej strony, nie uważał, żeby muzułmanie, którzy zabijają osadników, żołnierzy oraz niewinne kobiety i dzieci, czynili coś złego. Wierzył, że Allah daje im do tego prawo. Z drugiej strony, sam własnoręcznie nie posunąłby się do czegoś podobnego. W jego duszy coś się temu sprzeciwiało. Niemniej, choć nie znajdował usprawiedliwienia dla takiego postępowania w swoim przypadku, uznawał je za słuszne, gdy chodziło o innych.

Kiedy byłem dzieckiem, dostrzegałem tylko cnoty ojca i uważałem, że są one owocem wiary. Ponieważ chciałem być taki jak on, wierzyłem w to co on, bez żadnych zastrzeżeń. Nie rozumiałem wtedy, że bez względu na to, ile ważymy na wadze Allaha, cała nasza prawość i wszystkie dobre uczynki same w sobie nie czynią nas sprawiedliwymi w oczach prawdziwego Boga.

Muzułmanie, których spotkałem w Megiddo, w niczym nie przypominali ojca. Sądziли ludzi tak, jakby uważali się za większych od samego Allaha. Byli złośliwi i małostkowi, zasłaniali ekran telewizora, byśmy przypadkiem nie zobaczyli aktorki z odkrytą głową. Bigoci i obłudnicy torturowali współwięźniów, którzy zebrali zbyt dużo punktów karnych - a tak się dziwnie składało, że zawsze były to osoby najsłabsze i najbardziej bezbronne. Więźniowie, którzy mieli dobre układy, mogli czuć się bezkarnie - nawet zdeklarowany izraelski kolaborant, jeśli był synem szajcha Hasana Jusufa.

Po raz pierwszy w życiu zacząłem kwestionować dogmaty, w które zawsze wierzyłem.

Nadeszła pora mojej rozprawy. Przebywałem w więzieniu od sześciu miesięcy, ale na czas procesu przetransportowano mnie do Jerozolimy. Prokurator wniósł o karę szesnastu miesięcy.

Szesnaście miesięcy! Oficer Szin Bet obiecał mi, że nie pobędę za kratami zbyt długo. Czym sobie zasłużyłem na tak surową karę? Zgoda, wpadłem na głupi pomysł i kupiłem kilka karabinów. Ale to były bezwartościowe graty, które nawet nie działały!

Sąd ogłosił wyrok: „Szesnaście miesięcy”.

Zaliczono mi czas, który już odsiedziałem, a na pozostałe dziesięć miesięcy odesłano mnie z powrotem do Megiddo.

- W porządku - pomodliłem się do Allaha - mogę odsiedzieć jeszcze dziesięć miesięcy. Ale proszę, nie tutaj! Nie w tym piekle!

Niestety, nie mogłem złożyć zażalenia ani poskarżyć się Izraelczykom ze służby bezpieczeństwa, którzy mnie zwerbowali, a potem zostawili na pastwę losu.

Mogłem przynajmniej widywać się z rodziną. Mama co miesiąc odbywała męczącą podróż do Megiddo. Pozwalano jej zabierać ze sobą tylko troje dzieci, więc rodzeństwo przyjeżdżało na zmianę. Za każdym razem przywozili mi porcję przepysznych pasztecików ze szpinakiem i bakławę. Nie opuścili ani jednej wizyty.

Widzenia z rodziną dodawały mi otuchy, mimo że nie mogłem opowiedzieć najbliższym, jak naprawdę wygląda życie za zamkniętą bramą więzienia. Oni też cieszyli się, że mnie widzą. Dla młodszych braci i siostr byłem w domu jak ojciec - gotowałem dla nich, sprzątałem, kąpałem ich i ubierałem, odprowadzałem do szkoły - a teraz jako więzień stałem się też bohaterem ruchu oporu. Byli ze mnie niezmiernie dumni.

Podczas jednej z wizyt mama oznajmiła, że władze Autonomii wypuściły tatę z więzienia. Wiedziałem, że zawsze pragnął odbyć hadżdż - pielgrzymkę do Mekki. Mama opowiadała, że wkrótce po powrocie do domu tata wyruszył do Arabii Saudyjskiej. Hadżdż stanowi jeden z pięciu filarów islamu. Każdy muzułmanin, jeśli tylko pozwala mu na to zdrowie i sytuacja finansowa, jest zobowiązany do odbycia takiej pielgrzymki przynajmniej raz w życiu. Każdego roku ponad dwa miliony pielgrzymów odwiedza Mekkę.

Jednak ojciec nigdy tam nie dotarł. Na przejściu granicznym przy Moście Allenby'ego między Izraelem i Jordanią został ponownie aresztowany, tym razem przez Izraelczyków.

*

Pewnego popołudnia przywódca Hamasu w Megiddo przedstawili władzom więzienia

długą listę skarg i zażaleń, dali im dwadzieścia cztery godziny na spełnienie żądań i zagrozili buntem w razie odmowy.

Oczywiście władzom więziennym zależało na tym, żeby nie dopuścić do wybuchu powstania, które mogłoby zakończyć się ofiarami śmiertelnymi. Również urzędnicy w Jerozolimie nie chcieli mieć do czynienia z Czerwonym Krzyżem i obrońcami praw człowieka, którzy natychmiast nadaliby sprawie rozgłos. Bunt w więzieniu byłby najgorszym z możliwych scenariuszy. Dlatego Izraelczycy spotkali się z głównym przedstawicielem społeczności więziennej zakwaterowanym na naszym oddziale.

- W ten sposób nie dojdziemy do porozumienia - powiedzieli mu. - Dajcie nam więcej czasu, a znajdziemy rozwiązanie.

- Nie - odpowiedział szawisz. - Macie tylko dwadzieścia cztery godziny.

Oczywiście Izraelczycy nie mogli tak łatwo ustąpić i okazać słabości. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, o co chodzi protestującym. Wprawdzie nie czułem się w obozie szczęśliwy, jednak w porównaniu z innymi placówkami, w których mnie przetrzymywano, Megiddo zasługiwało na pięć gwiazdek. Żądania były niedorzeczne - więźniowie domagali się dodatkowych przywilejów, dłuższych rozmów telefonicznych, dłuższych widzeń i tak dalej.

Czekaliśmy do zachodu słońca. Gdy wybiła godzina ultimatum, przywódcy Hamasu kazali nam przygotować się do wszczęcia buntu.

- Co mamy robić? - pytaliśmy.

- Niszczcie, co się da, i zachowujcie się agresywnie! Kruszcicie asfalt i rzucajcie kawałkami w żołnierzy, rzucajcie mydłem, oblewajcie ich gorącą wodą. Rzucajcie wszystkim, co tylko da się podnieść!

Ktoś przygotował wiadra z wodą - gdyby żołnierze użyli pocisków z gazem łzawiącym, mieliśmy je wrzucać do wiader. Zaczęliśmy dewastować podwórko do ćwiczeń. Natychmiast zawyły syreny i zrobiło się niebezpiecznie. Kilkuset żołnierzy w rynsztunku bojowym rozbiegło się po obozie, celując do nas przez ogrodzenie.

Nie mogłem uwolnić się od myśli, że cała ta akcja zakrawa na jakieś szaleństwo. *Dlaczego to robimy? To głupota! Wszystko przez to, że jakiś szawisz zwariował?* Nie byłem tchórzem, ale bunt nie miał najmniejszego sensu. Izraelczycy byli dobrze uzbrojeni i zabezpieczeni, a my mieliśmy w nich rzucać mydłem.

Na sygnał przywódców Hamasu więźniowie ze wszystkich oddziałów zaczęli rzucać kawałkami asfaltu, drewna i mydła. Zostaliśmy natychmiast zarzuceni gradem pocisków z gazem łzawiącym, które eksplodowały, pokrywając teren gęstą białą mgłą. Nic nie widziałem.

Nieznosny odór wypełnił każdą szczelinę. Wszyscy wokół rzucili się na ziemię, próbując zaczerpnąć świeżego powietrza.

Minęły zaledwie trzy minuty, a to był dopiero początek.

Żołnierze wymierzili w nas wielkie rury, które wypluwały z siebie żółty gaz. Ten rodzaj, w przeciwieństwie do gazu łzawiącego, nie unosił się w górę - był cięższy od powietrza, zalegał przy ziemi i wypierał cały tlen. Więźniowie zaczęli mdleć.

Kiedy próbowałem złapać oddech, nagle zobaczyłem ogień.

Palił się namiot Islamskiego Dżihadu w trzecim kwadrancie. W mgnieniu oka płomienie wystrzeliły na kilka metrów w górę. Namioty były pokryte impregnatem zawierającym naftę, więc paliły się jak nasączone benzyną. Drewniane maszty i stelaże, materace, szafki - wszystko szło z dymem. Wiatr zaproszył ogień w namiotach DFWP/LFWP i Fatah - po kilkunastu sekundach one także stanęły w płomieniach.

Rozszalały żywioł błyskawicznie się przybliżał. Duży fragment płonącego brezentu poszybował w powietrze i przeleciał nad ogrodzeniem z drutu kolczastego. Żołnierze otoczyli nas z drugiej strony, więc nie było innej drogi ucieczki, jak tylko przez płomienie.

Zaczęliśmy biec.

Zasłoniłem twarz rękami i ruszyłem w stronę kuchni. Płonące namioty były oddzielone od muru pasem o szerokości trzech metrów - próbowało się tamtędy przecisnąć ponad dwustu więźniów jednocześnie. Tymczasem żołnierze niestrudzenie wpompowywali coraz więcej żółtego gazu na teren oddziału.

W ciągu kilku minut poszła z dymem połowa oddziału piątego - namioty, sprzęty i wszystko, co posiadaliśmy - choć nie było tego wiele. Zostały tylko zgliszcza.

Wielu więźniów odniosło obrażenia, na szczęście jakimś cudem nikt nie zginął. Po stłumieniu buntu karetki zabrały rannych, a więźniowie, których namioty spłonęły, zostali przekwaterowani. Przeniesiono mnie do środkowego namiotu Hamasu w drugim kwadrancie.

Jedynym pozytywnym skutkiem buntu w Megiddo było to, że skończyły się tortury organizowane przez przywódców Hamasu. Nadal byliśmy inwigilowani, jednak czuliśmy się nieco swobodniej i mogliśmy pozwolić sobie na więcej. Zawarłem kilka znajomości z osobami, które wydawały się godne zaufania. Jednak przez większość czasu włóczyłem się samotnie bez celu.

*

- Osiemset dwadzieścia trzy! 1 września 1997 roku strażnik zwrócił mi rzeczy i niewielką kwotę, którą miałem przy sobie w chwili aresztowania, założył mi kajdanki i zaprowadził do furgonetki. Żołnierze zawieźli mnie do najbliższego punktu kontrolnego na

terytorium Palestyny, to znaczy do Dżenin na Zachodnim Brzegu. Otworzyli drzwi i zdjęli mi kajdanki.

- Możesz iść, jesteś wolny - powiedział jeden z nich.

Zostawili mnie na poboczu i odjechali.

Nie mogłem w to uwierzyć. Jak cudownie było znaleźć się poza murami więzienia i po prostu móc pójść przed siebie. Bardzo chciałem zobaczyć mamę, braci i siostry. Od domu dzieliło mnie jeszcze kilkadziesiąt kilometrów, ale nie śpieszyłem się. Szedłem powoli, delektując się smakiem wolności. Po przejściu kilku kilometrów znalazłem taksówkę, która podwiozła mnie do pobliskiej miejscowości. Stamtąd dostałem się do Nablusu, potem do Ram Allah, a wreszcie do domu.

Jadąc ulicami Ram Allah, oglądając znajome miejsca, witryny sklepów i twarze ludzi, miałem ochotę wyskoczyć z taksówki i roztopić się w tym wszystkim. Gdy zajechaliśmy przed dom, dostrzegłem mamę stojącą w drzwiach. Łzy popłynęły jej po policzkach. Podbiegła bliżej i objęła mnie z całej siły. Kiedy mnie przytulała, klepała po plecach, ramionach, twarzy i głowie, czułem, jak cały ten ból, który nosiła w sobie przez prawie półtora roku, teraz wylewa się z niej na zewnątrz.

- Liczyłam dni do twojego powrotu - mówiła. - Tak się baliśmy, że cię więcej nie zobaczymy. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, Musab. Jesteś prawdziwym bohaterem.

Wiedziałem, że nie mogę opowiedzieć ani jej, ani rodzeństwu o tym, przez co przeszedłem. To byłoby dla nich zbyt bolesne. Widzieli we mnie bohatera, który przebywał w izraelskim więzieniu razem z innymi bohaterami, a teraz wrócił do domu. Uważali nawet, że było to dla mnie dobre doświadczenie, coś w rodzaju inicjacji w dorosłość. Czy mama dowiedziała się o karabinach? Tak. Czy myślała, że postąpiłem głupio? Pewnie tak, ale moje działania zostały zakwalifikowane do kategorii „ruch oporu”, co było wystarczającym usprawiedliwieniem.

Przez cały dzień świętowaliśmy mój powrót, objadaliśmy się różnymi pysznościami, żartowaliśmy i wygłupialiśmy się tak jak zawsze. Zupełnie jakbym się z nimi nigdy nie rozstawał. Przez kilka kolejnych dni odwiedziło nas wielu moich przyjaciół, a także znajomych ojca, którzy chcieli się przywitać i wyrazić zadowolenie z mojego powrotu.

Odoczywałem w domu przez parę tygodni, żeby nacieszyć się miłością rodziny i wspaniałą kuchnią mamy. Rozkoszowałem się widokami, dźwiękami i zapachami, za którymi tak tęskniłem. Wieczorami wychodziłem do miasta z kolegami - jedliśmy falafel w Mays Al Reem i piliśmy kawę w Kit Kat z właścicielem kawiarni Basamem Huri. Włóczyłem się po ruchliwych uliczkach i rozmawiałem z przyjaciółmi, napawając się spokojem i normalnością

życia na wolności.

Podczas krótkiego pobytu taty w domu po zwolnieniu z aresztu Autonomii Palestyńskiej, przed jego ponownym zatrzymaniem przez Izraelczyków, mama zaszła w ciążę. Była to dla rodziców niespodzianka, ponieważ po narodzinach mojej siostry Anhar siedem lat wcześniej nie planowali więcej dzieci. Gdy wróciłem do domu, mama była już w szóstym miesiącu ciąży. Pewnego dnia złamała nogę w kostce. Złamanie goiło się powoli, ponieważ nasz rozwijający się braciszek pochłaniał cały zapas wapnia w jej organizmie. Nie mieliśmy wózka inwalidzkiego, więc musiałem nosić mamę. Bardzo cierpiała i wszyscy jej współczuliśmy. Zrobiłem prawo jazdy, żeby sprawniej radzić sobie z różnymi obowiązkami i zakupami. Kiedy urodził się Nasir, wziąłem na siebie karmienie, kąpanie i zmienianie pieluszek. Mój brat rozpoczął swe życie przekonany, że właśnie ja jestem jego tatą.

Ominęły mnie egzaminy końcowe i nie uzyskałem dyplomu ukończenia szkoły średniej. W więzieniu zaoferowano nam możliwość przystąpienia do egzaminów, ale ja, jako jedyny w całej grupie, nie zdałem. Nie mogłem pojąć, jak do tego doszło, ponieważ przedstawiciele ministerstwa edukacji przed egzaminem dostarczyli nam gotowe rozwiązanie. Potraktowano nas ulgowo. Za jednego z więźniów, niepiśmiennego sześćdziesięciolatka, test wypełnił ktoś inny - i nawet on zdał egzamin! Przecież ja też znałem odpowiedzi, a do tego właśnie zaliczyłem dwanaście lat szkoły i byłem na świeżo obeznany z materiałem. Jednak kiedy nadesłano wyniki, okazało się, że zdali wszyscy oprócz mnie. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mi do głowy, było takie, że Bóg nie chciał, abym zdobył dyplom nieuczciwie.

Kiedy wróciłem do domu, zacząłem uczęszczać na zajęcia wieczorowe do Al-Ahlija, katolickiej szkoły w Ram Allah. Większość uczniów stanowili muzułmanie, ale chętnie wybierano tę szkołę, ponieważ była najlepsza w mieście. Nauka w trybie wieczorowym pozwalała mi w ciągu dnia pracować w miejscowym barze z hamburgerami i pomagać finansowo rodzinie.

Na egzaminie zdobyłem tylko sześćdziesiąt cztery punkty na sto możliwych, ale to wystarczyło, żeby zaliczyć. Nie uczyłem się wiele, w tym czasie książki nie za bardzo mnie pociągały. Niemniej cieszyłem się, że zdałem i że mam to już za sobą.

15

DROGA DO DAMASZKU

1997-1999

Dwa miesiące po moim powrocie z więzienia zadzwonił telefon.

- Gratulacje - powiedział ktoś po arabsku.

Rozpoznałem akcent. Dzwonił oficer Szin Bet, kapitan Loai.

- Chciałbym się z tobą zobaczyć - powiedział Loai. - Nie mogę zbyt długo rozmawiać przez telefon. Spotkamy się?

- Oczywiście.

Podał mi numer telefonu, hasło i udzielił kilku wskazówek. Czułem się jak prawdziwy szpieg. Miałem się udać w wyznaczone miejsce, a następnie zatelefonować.

Zastosowałem się do instrukcji, a kiedy zadzwoniłem, powiedziano mi, co mam robić dalej. Szedłem kilkanaście minut, aż podjechał jakiś samochód i zatrzymał się koło mnie. Zostałem zaproszony do środka, przeszukano mnie i kazano mi położyć się na podłodze pod kocem.

Jechaliśmy około godziny, nikt się w tym czasie nie odzywał. W końcu zatrzymaliśmy się w garażu w prywatnym domu. Cieszyłem się, że nie jest to kolejna baza wojskowa ani areszt śledczy. Zaraz po przybyciu na miejsce przeszukano mnie ponownie, tym razem znacznie dokładniej, i zaprowadzono mnie do gustownie urządzonego salonu. Loai nie kazał na siebie zbyt długo czekać. Na przywitanie podał mi dłoń, a następnie uściskał mnie jak przyjaciela.

- Jak się masz? Jak było w więzieniu?

Odpowiedziałem, że mam się dobrze, a pobytu w więzieniu nie wspominam najlepiej, zwłaszcza że miałem tam być o wiele krócej.

- Przepraszam, ale to było konieczne dla twojego bezpieczeństwa.

Zastanawiałem się, czy Loai wie o mojej rozmowie z członkami madżid, w której zdradziłem, że zamierzam zostać podwójnym agentem. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli od razu się przyznam.

- Niech pan posłucha - zacząłem - w Megiddo przywódcy Hamasu torturowali więźniów. Nie miałem wyboru, musiałem się przyznać, że zgodziłem się z wami

współpracować. Bałem się. Nie ostrzeżliście mnie przed tym, co mnie tam czeka. Nie wiedziałem, że będę musiał mieć się na baczności przed własnymi rodakami. Umierałem ze strachu. Powiedziałem im, że mam zamiar zostać podwójnym agentem i że chcę was pozabijać.

Loai był zaskoczony, ale nie gniewał się. Agenci Szin Bet nie popierali tortur w więzieniu, z pewnością jednak o nich wiedzieli. Loai rozumiał zatem, że miałem się czego obawiać.

Zawołał swojego przełożonego, żeby wszystko mu powtórzyć. I - może dlatego, że tak trudno było Izraelowi zwerbować członka Hamasu, a może dlatego, że jako syn szajcha Hasana Jusufa byłem szczególnie cenną zdobyczą - przeszli nad tym do porządku dziennego.

Izraelczycy byli zupełnie inni, niż się spodziewałem.

Loai wręczył mi kilkaset dolarów, żebym kupił sobie coś do ubrania, zadbał o siebie i trochę się rozerwał.

- Będziemy w kontakcie - rzucił na koniec.

Co? Żadnego tajnego zadania? Żadnej książki szyfrów? Broni? Tylko zwitek banknotów i uścisk na pożegnanie? O co tu chodzi?

Następne spotkanie odbyło się kilka tygodni później, tym razem w domu używanym przez Szin Bet, który znajdował się w samym centrum Jerozolimy. Każdy taki budynek był w pełni umeblowany, zabezpieczony systemem alarmowym i chroniony przez strażników. Jednocześnie nawet najbliżsi sąsiedzi nie zdawali sobie sprawy, co się tutaj dzieje. Większość pokoi przeznaczona była na spotkania z tajnymi współpracownikami. Nie wolno mi było poruszać się po domu bez eskorty. Agenci ufali mi, ale nie chcieli, by zobaczyli mnie inni współpracownicy Szin Bet. Kolejny środek ostrożności.

Podczas drugiego spotkania oficerowie Szin Bet okazywali przyjazne nastawienie. Mówili świetnie po arabsku, widziałem też, że doskonale rozumieją mnie, moją rodzinę i kulturę. Nie miałem dla nich żadnych informacji, a oni o nic konkretnego nie pytali. Rozmawialiśmy ogólnie na różne tematy.

Spodziewałem się innego przebiegu spotkania. Chciałem się dowiedzieć, co mam dla nich robić, choć po lekturze teczek więźniów obawiałem się, że każą mi dostarczyć nagrania wideo dokumentujące moje współzycie z siostrą albo z sąsiadką. Jednak żadne absurdalne żądania tego rodzaju nigdy się nie pojawiły.

Na zakończenie drugiego spotkania Loai wręczył mi jeszcze większą kwotę niż za pierwszym razem. W ciągu miesiąca dostałem od niego około ośmiuset dolarów - zawrotną sumę jak na możliwości zarobkowe dwudziestoletniego chłopaka w tamtym czasie. A ja nadal

nie zaoferowałem Szin Bet niczego w zamian. Właściwie podczas pierwszych miesięcy w roli agenta dowiedziałem się od nich więcej niż oni ode mnie.

Moje szkolenie zaczęło się od poznania kilku podstawowych zasad. Nie wolno mi było utrzymywać kontaktów seksualnych, ponieważ mógłbym się przez to zdemaskować - byłbym spalony. Właściwie zakazano mi jakichkolwiek pozamałżeńskich relacji z kobietami - Palestynkami czy Izraelkami - dopóki pracowałem dla wywiadu. W przeciwnym razie zostałbym skreślony z listy współpracowników. I miałem już więcej nie rozpowiadać historii o podwójnym agencie.

Na każdym spotkaniu uczyłem się więcej o życiu, praworządności i bezpieczeństwie. Agenci Szin Bet nie próbowali mnie złamać, żeby w ten sposób zmusić mnie do robienia czegoś złego. Wręcz przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że starają się zbudować we mnie silne poczucie własnej wartości, że chcą mnie motywować i edukować.

Z biegiem czasu zacząłem powątpiewać w sens mojego planu zabijania Izraelczyków. Ci ludzie byli dla mnie uprzejmi. Wyrażnie się o mnie troszczyli. Dlaczego miałbym ich zabijać? W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że nie mam już na to ochoty.

Okupacja się nie skończyła. Na cmentarz w Al-Birze nadal dowożono ciała palestyńskich mężczyzn, kobiet i dzieci zastrzelonych przez izraelskich żołnierzy. A ja nie zapomniałem ani tego, jak pobito mnie w drodze do więzienia, ani tych dni, które spędziłem przykuty do krzeselka. Jednak pamiętałem także o krzykach dochodzących z namiotów tortur w Megiddo. Pamiętałem o człowieku, który nadział się na drut kolczasty, uciekając przed prześladowcami, którymi byli jego rodacy z Hamasu.

Teraz zdobywałem nową wiedzę i umiejętności. A kim byli moi mentorzy? Wrogami? Być może traktowali mnie uprzejmie tylko po to, żeby mnie później wykorzystać? Byłem coraz bardziej zdezorientowany.

W trakcie jednego ze spotkań Loai oznajmił:

- Ponieważ z nami współpracujesz, mamy zamiar wypuścić twojego ojca, żebyś mógł być przy nim i mieć lepszy ogłąd sytuacji.

Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe, ale cieszyłem się, że odzyskam tatę.

Wiele lat później rozmawialiśmy z ojcem o naszych przeżyciach więziennych. Nie zwierzał się szczegółowo, ale zdradził mi, że podczas swego pobytu w Megiddo wprowadził tam pewne zmiany. Opowiadał na przykład, co się wydarzyło, kiedy oglądał telewizję w miwarze, a ktoś opuścił tablicę na ekran.

- Jeśli nadal będziecie zasłaniać obraz, w ogóle przestanę oglądać telewizję - powiedział emirowi.

Tablica powędrowała do góry i zrezygnowano z tej niedorzecznej praktyki.

Kiedy przeniesiono ojca do głównego obozu, udało mu się ostatecznie położyć kres torturom. Zażądał od członków madżid, żeby przekazali mu wszystkie teczki. Po zapoznaniu się z protokołami uznał, że większość więźniów podejrzanych o kolaborację jest niewinna. Dopilnował zatem, żeby zostali zrehabilitowani wobec swoich rodzin i społeczności. Jednym z uniewinnionych okazał się Akil Sarur. Świadczenie rehabilitacji, które ojciec posłał do wioski Akila, nie mogło wprawdzie cofnąć tego, co ten biedak wycierpiał, ale przynajmniej pozwoliło mu odzyskać honor i żyć dalej w spokoju.

Gdy zwolniono ojca z więzienia, odwiedził nas wuj Ibrahim. Tata poinformował go, że skończył z torturami w Megiddo i że więźniowie, których życie zostało zrujnowane przez członków madżid, okazali się niewinni. Ibrahim udawał zaskoczenie. A kiedy ojciec wspominał o Akilu, wuj zapewniał, że próbował go bronić i wstawiał się za nim.

- Chwała Allahowi - zakończył Ibrahim - że udało ci się go uratować!

Wyszedłem z pokoju, bo nie mogłem znieść obłudy wuja.

W Megiddo ojciec dowiedział się też o historii z podwójnym agentem, którą przedstawiłem członkom madżid. Ale nie gniewał się. Ostrzegł mnie tylko, że zwierzać się tym ludziom nie było zbyt mądrym posunięciem.

- Wiem, tato - przyznałem mu rację. - Zapewniam cię, że nie musisz się o mnie martwić. Umiem się o siebie zatroszczyć.

- Cieszę się - odpowiedział. - Ale od teraz bądź bardziej ostrożny. Nikomu nie mogę zaufać tak, jak tobie.

Jeszcze w tym samym miesiącu w trakcie kolejnego spotkania z Szin Bet Loai oznajmił:

- Czas, żebyś zaczął. Oto twoje pierwsze zadanie.

Nareszcie! - pomyślałem.

- Zapiszesz się na studia i zrobisz licencjat.

Podał mi kopertę z pieniędzmi.

- To powinno wystarczyć na chesne i inne wydatki - powiedział. - Jeśli będziesz potrzebował więcej, daj znać.

Nie wierzyłem własnym uszom. Ale z punktu widzenia Izraelczyków to miało sens. Moja edukacja - szkolna i pozaszkolna - była dla nich dobrą inwestycją. Po co komu pracownik wywiadu bez wykształcenia i perspektyw? Poza tym gdyby otoczenie postrzegало mnie jako nieudacznika, naraziłbym się na podejrzenia - panowała opinia, że tylko nieudacznicy współpracują z Izraelem. Oczywiście w tej „mądrości ulicy” niewiele było

prawdy - nieudacznicy nie mieli Szin Bet nic ciekawego do zaoferowania.

Złożyłem podanie na Uniwersytecie Birzeit, ale nie przyjęto mnie, ponieważ moje wyniki ze szkoły średniej były za słabe. Napisałem odwołanie, w którym wyjaśniałem, że moja sytuacja jest wyjątkowa z uwagi na pobyt w więzieniu. Zapewniałem, że jestem inteligentnym młodym człowiekiem i że będę dobrym studentem. Ale procedury nie przewidywały żadnych wyjątków. Pozostała mi zatem tylko jedna możliwość - zapisać się na kurs Uniwersytetu Otwartego Al-Kuds i uczyć się w domu.

Tym razem nauka szła mi całkiem dobrze. Byłem już nieco dojrzały i miałem znacznie silniejszą motywację. Komu należało za to podziękować? Moim wrogom.

Kiedy spotykałem się z oficerami prowadzącymi z Szin Bet, zapewniali mnie:

- Jeśli czegoś potrzebujesz, tylko powiedz. Być może chciałbyś się pomodlić albo dokonać obrzędu oczyszczenia? Czuj się tutaj swobodnie.

Jedzenie i napoje, którymi mnie częstowano, spełniały wymogi prawa islamicznego. Agenci bardzo się starali, żeby mnie w jakiś sposób nie urazić: nie paradowali w krótkich spodenkach, nie siadali z nogami założonymi na biurku i stopami zwróconymi w moją stronę. Zawsze okazywali mi szacunek. Dlatego chciałem się od nich uczyć. Nie zachowywali się jak trybiki w maszynie wojskowej. Byli ludzcy i traktowali mnie jak człowieka. Każde spotkanie kruszyło kolejny fragment fundamentów mojego antyizraelskiego światopoglądu.

Powinienem uważać armię izraelską i wszystkich Izraelczyków za wrogów - takie przekonanie wpajała we mnie kultura, w której się wychowałem. Jednak mój ojciec nawet w izraelskich żołnierzach dostrzegał ludzi, którzy wypełniają swój żołnierski obowiązek. Dla niego problemem nie byli ludzie, lecz idee, które im przyświecają i nadają kierunek ich działaniom.

Loai przypominał mojego ojca bardziej niż jakikolwiek znany mi Palestyńczyk. Nie wierzył w Allaha, a mimo to darzył mnie szacunkiem.

Kto więc był teraz moim wrogiem?

Rozmawiałem z Szin Bet o torturach w Megiddo. Przyznali, że wiedzieli o wszystkim. Każdy ruch więźniów, wszystkie rozmowy były rejestrowane. Wiedzieli o tajnych przesyłkach w kulkach chlebowych i o namiotach tortur, a także o przejściu wyciętym w ogrodzeniu.

- Więc dlaczego na to pozwalacie?

- Po pierwsze, trudno zmienić tego rodzaju mentalność. Nie do nas należy uczyć Hamas miłości bliźniego. Nie możemy im po prostu powiedzieć: „Hej, nie torturujcie się nawzajem, nie zabijajcie się”. To nic nie da. Po drugie, Hamas sam niszczy się od środka

znacznie skuteczniej, niż my bylibyśmy w stanie zrobić to z zewnątrz.

Świat, który znałem, rozpadał się stopniowo, ujawniając inną rzeczywistość, którą dopiero zaczynałem rozumieć. Na każdym spotkaniu z Szin Bet dowiadywałem się czegoś nowego, uczyłem się o życiu, o ludziach. Nie robiono mi prania mózgu przy użyciu takich metod, jak otępiające powtórzenia, głodzenie czy pozbawianie snu. Wiedza, którą otrzymywałem od Izraelczyków, była bardziej logiczna i przystająca do rzeczywistości niż wszystko, co słyszałem wcześniej od moich rodaków.

*

Wśród siedmiu starożytnych bram wiodących do dawnej Jerozolimy jest jedna znacznie okazalsza niż pozostałe - Brama Damasceńska, zbudowana przez Sulejmana Wspaniałego niemal pięćset lat temu. Brama ta znajduje się w środkowej części północnego fragmentu murów. Co ciekawe, wchodzi się przez nią na teren Starego Miasta w miejscu, w którym spotykają się historyczne dzielnice muzułmanów i chrześcijan.

W pierwszym wieku naszej ery człowiek znany jako Szawel z Tarsu przekroczył tę bramę w jednej z jej poprzednich inkarnacji. Udawał się do Damaszku, gdzie zamierzał brutalnie stłumić działalność nowej żydowskiej sekty, w jego mniemaniu heretyckiej. Członkowie tego ugrupowania mieli już niebawem zostać po raz pierwszy nazwani chrześcijanami. Jednak niespodziewane spotkanie uniemożliwiło Szawłowi dotarcie do celu podróży. Co więcej, to spotkanie na zawsze odmieniło bieg jego życia.

Biorąc pod uwagę kontekst historyczny, który otacza to starożytne miejsce, może nie powinienem się dziwić, że właśnie tam rozpoczęła się niezwykła przygoda, która zmieniła moje życie. Pewnego dnia przechodziliśmy przez Bramę Damasceńską z moim najlepszym kolegą Dżamalem. Nagle usłyszałem, że ktoś się do mnie zwraca:

- Jak masz na imię? - spytał po arabsku mężczyzna około trzydziestki, zupełnie niewyglądający na Araba.

- Musab.

- Gdzie idziesz, Musab?

- Wracamy do domu. Jesteśmy z Ram Allah.

- A ja pochodzę z Anglii - powiedział turysta, przechodząc na angielski. Mówił dalej, ale miał tak specyficzny akcent, że ledwie go rozumiałem. Po krótkiej wymianie zdań udało mi się wywnioskować, że mówi coś o chrześcijaństwie i grupie dyskusyjnej, która spotyka się w klubie YMCA przy Hotelu Króla Dawida w Zachodniej Jerozolimie.

Znałem to miejsce. Akurat nie miałem nic ciekawszego do roboty, więc pomyślałem, że może warto dowiedzieć się czegoś o chrześcijaństwie. Jeśli można się tyle nauczyć od

Izraelczyków, to może inni „niewierni” też mają coś cennego do zaoferowania? Znałem już wielu muzułmanów - zarówno nominalnych, jak i fanatycznie oddanych sprawie. Znałem wielu ateistów, spotkałem na swojej drodze ludzi wykształconych i ignorantów, prawicowców i lewicowców, Żydów i pogan - chyba nic nie mogło mnie już zaskoczyć. A ten męczyzna sprawiał wrażenie prostego, szczerego człowieka, który zaprasza mnie na rozmowę i nie namawia, żebym głosował na Jezusa w następnych wyborach.

- Co myślisz? - spytałem Dżamala. - Pójdziemy?

Znaliśmy się z Dżamalem od dziecka. Razem chodziliśmy do szkoły, razem rzucaliśmy kamieniami i razem uczęszczaliśmy do meczetu. Dżamal był wysoki, przystojny i skryty. Rzadko rozpoczynał rozmowę, ale był świetnym słuchaczem. Nigdy się nie kłóciliśmy.

W dodatku byliśmy razem w więzieniu Megiddo. Po tym jak oddział piąty spłonął podczas zamieszek, Dżamal z moim kuzynem Jusufem trafili do oddziału szóstego, gdzie odsiedzieli resztę kary.

Jednak więzienie go zmieniło. Przestał się modlić i chodzić do meczetu, zaczął palić. Był przygnębiony i przez większość czasu siedział w domu wpatrzony w telewizor. Ja przynajmniej miałem wiarę, która mnie podtrzymywała, ale Dżamal wychował się w zeświecczonej rodzinie, która nie praktykowała islamu. Jego wiara była zbyt krucha, żeby stanowić oparcie w trudnych chwilach.

Dżamal spojrział na mnie i widziałem w jego oczach, że chce iść na studium biblijne. Był równie zaciekawiony jak ja, ale miał jakieś wewnętrzne opory.

- Ty idź - powiedział. - Zadzwoń, jak wrócisz do domu.

Wieczorem w pomieszczeniu, w którym niegdyś mieścił się sklep, zebrało się kilkadziesiąt osób. Byli to głównie studenci w moim wieku, różnego pochodzenia etnicznego i przynależności wyznaniowej. Kilka osób tłumaczyło mowę z angielskiego na arabski i hebrajski.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do Dżamala.

- Jak było? - spytał.

- Super. Dali mi Nowy Testament po arabsku i angielsku. Nowi ludzie, nowa kultura, ciekawe rozmowy.

- Nie wiem, Musab - zawahał się Dżamal. - Kiedy ludzie usłyszą, że spotykasz się z grupą chrześcijan, możesz mieć kłopoty.

Dżamal martwił się o mnie, ale ja sam nie przejmowałem się ewentualnymi konsekwencjami. Ojciec zawsze zachęcał, żeby mieć otwarty umysł i okazywać życzliwość

każdemu, nawet tym, którzy myślą i wierzą inaczej. Spojrzałem na Biblię, którą trzymałem na kolanach. Mieliśmy w domu wielki księgozbiór - pięć tysięcy książek. Była wśród nich także Biblia. Jako młody chłopak przeczytałem kiedyś ukradkiem erotyczne fragmenty z „Pieśni nad Pieśniami”, ale na tym poprzestałem. Ten egzemplarz Nowego Testamentu był jednak prezentem. Ponieważ w kulturze arabskiej podarunki otacza się szczególnym szacunkiem, stwierdziłem, że spróbuję go przeczytać.

Zacząłem od początku, a kiedy doszedłem do „Kazania na górze”, pomyślałem: *Niesamowite! Ten Jezus naprawdę potrafi zaimponować. Wszystko, co mówi, jest piękne.* Nie mogłem oderwać się od lektury. Każdy werset dotykał jednej z głębokich ran w moim sercu. Przesłanie tego fragmentu było bardzo proste, ale zawierało w sobie jakąś przedziwną moc, która koła duszę i dawała nadzieję.

W pewnym momencie doszedłem do zdania: „Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie” (Ewangelia według św. Mateusza 5:43-45).

To było to! Słowa Jezusa poraziły mnie jak grom. Nigdy wcześniej niczego podobnego nie słyszałem, ale czułem, że jest to przesłanie, którego podświadomie szukałem przez całe życie.

Całymi latami zmagalem się z pytaniem, kto jest moim wrogiem. Upatrywałem nieprzyjaciół w tych, którzy nie należeli do kręgu islamu i nie byli Palestyńczykami. Nagle pojąłem, że to nie Izraelczycy są moim wrogami. Nie są nimi również przywódcy Hamasu ani wuj Ibrahim, ani młody żołnierz, który pobił mnie kolbą karabinu, ani nawet garbaty strażnik z aresztu śledczego. Zrozumiałem, że wrogów nie określa narodowość, religia czy rasa. W rzeczywistości wszyscy mamy tych samych wrogów: chciwość, pychę, niszczycielskie idee i diabelskie wartości zakorzenione w zakamarkach naszych serc.

To oznaczało, że mogę kochać każdego człowieka. Moim jedynym prawdziwym wrogiem jest nieprzyjaciel, którego noszę we własnym wnętrzu.

Gdybym przeczytał słowa Jezusa pięć lat wcześniej, pomyślałbym: *Co za dureń!* - i wyrzuciłbym Biblię do kosza. Jednak w ciągu tych kilku lat napatrzyłem się na rzeczy przynębiające i przerażające, które nie pozostawiały złudzeń co do prawdziwej natury ludzkiej. Przypominałem sobie różne obrazy - szalonego sąsiada rzeźnika pałającego żądzą zabijania, bezdusznych krewnych i przywódców religijnych, którzy biją mnie pod nieobecność taty, tortury organizowane przez madzid w Megiddo - wszystkie te wspomnienia odżywały i splatały się teraz ze sobą, przygotowując mnie na siłę i prawdę bijącą ze słów

Jezusa. Moją jedyną reakcją była myśl: *Niesamowite! Ależ ten człowiek jest mądry!*

Jezus powiedział: „Nie sądzcie, abyście nie byli sążeni” (Ewangelia według św. Mateusza 7:1). Jakże wielka jest różnica między Nim a Allahem! Bóg islamu lubuje się w osądzaniu, a społeczeństwo arabskie wzoruje się na nim.

Czytałem dalej, że Jezus potępia obłudę uczonych w Piśmie i faryzeuszy. Pomyślałem o swoim wuju Ibrahimie. Pamiętam, jak kiedyś otrzymał zaproszenie na przyjęcie i rozgniewał się, ponieważ nie zaoferowano mu honorowego miejsca przy stole. Teraz czułem się tak, jakby Jezus kierował swoje napomnienie bezpośrednio do Ibrahima i do wszystkich islamskich szajchów i imamów.

Słowa Jezusa zapisane w tej księdze przemawiały do mnie z ogromną siłą. Nie mogłem opanować emocji, zacząłem płakać.

Bóg posłużył się Szin Bet, żeby pokazać mi, że Izrael nie jest moim wrogiem, a teraz w tym niepozornym egzemplarzu Nowego Testamentu odkrywałem odpowiedzi na najważniejsze życiowe pytania. Musiałem się jednak jeszcze wiele nauczyć, żeby właściwie rozumieć Biblię. Muzułmanie szanują wszystkie święte księgi, uznają zarówno Torę, jak i Biblię. Jednak wpaja się nam także pogląd, że na przestrzeni wieków różni ludzie modyfikowali tekst Biblii, dlatego nie jest do końca wiarygodna. To Koran, zgodnie z zapewnieniem Mahometa, jest ostatecznym i nieomylnym słowem Boga do człowieka. A zatem najpierw musiałem zrewidować swoje przekonanie, że Biblia zawiera ludzkie poprawki. Pomyślałem, że spróbuję połączyć w codziennym życiu lekcje płynące z obu wielkich ksiąg, że pogodzę islam i chrześcijaństwo. Nie lada wyzwanie - połączyć żywoły, które wydają się nie do pogodzenia.

Zacząłem wierzyć w naukę Jezusa, choć nadal nie uznawałem Go za Boga. Niemniej zasady, według których starałem się żyć, uległy gruntownemu przeobrażeniu, gdy zacząłem je kształtować zgodnie z Biblią, a nie z Koranem.

Czytałem dalej Nowy Testament i chodziłem na spotkania studium biblijnego. Zacząłem też uczestniczyć w nabożeństwach miejscowego kościoła. *To nie ma nic wspólnego z nominalną religijnością chrześcijańską, z którą stykałem się w Ram Allah. To jest coś autentycznego* - myślałem. Chrześcijanie, których znałem wcześniej, niczym się nie różnili od tradycyjnych muźłmanów. Nazywali siebie chrześcijanami, ale nie żyli treścią swej religii.

Zacząłem spędzać coraz więcej czasu z przyjaciółmi z grupy biblijnej i dobrze się czułem w ich towarzystwie. Opowiadaliśmy sobie o naszym życiu, pochodzeniu i przekonaniach. Zawsze odnosili się z szacunkiem do mojej muźłmańskiej kultury i dziedzictwa. Odkryłem, że kiedy jestem z nimi, mogę zachowywać się zupełnie swobodnie.

Marzyłem o tym, żeby w jakiś sposób przeszczepić nowo zdobytą wiedzę i doświadczenia do własnego kręgu kulturowego. Wiedziałem już, że to nie okupacja jest przyczyną naszych nieszczęść. Korzenie problemu sięgały znacznie głębiej niż wskazywałyby na to rozgrywki polityczne i działania zbrojne.

Zadałem sobie pytanie, co zrobiliby Palestyńczycy, gdyby Izrael zniknął - gdyby wszystko wróciło do stanu sprzed 1948 roku, a w dodatku wszyscy Żydzi porzuciliby Ziemię Świętą i rozproszyliby się znów po świecie. I po raz pierwszy wiedziałem, jaka jest odpowiedź.

Wciąż byśmy walczyli. O cokolwiek. O kobietę bez burki na głowie. O to, kto jest silniejszy i ważniejszy. O to, kto ma ustalać zasady i zajmować najlepsze miejsce.

Pod koniec 1999 roku miałem dwadzieścia jeden lat. Moje życie zaczęło się zmieniać, ale czułem się coraz bardziej zagubiony.

Codziennie modliłem się tymi słowami: „Boże, Stwórco, pokaż mi prawdę. Pogubiłem się. Nie wiem, co myśleć, nie wiem, którą drogą pójść”.

DRUGA INTIFADA

LATO-JESIEŃ 2000

Hamas - niegdyś dominujące ugrupowanie palestyńskie - był teraz w rozsypce. Pełną kontrolę nad sytuacją przejął jego największy rywal w walce o rząd dusz nad Palestyńczykami - władze Autonomii Palestyńskiej.

Posługując się intrygami i łapówkami, władze Autonomii osiągnęły cel, którego nie udało się zrealizować Izraelczykom przy użyciu siły - zniszczyły zbrojne skrzydło Hamasu, a jego przywódców i bojowników pozamykały w więzieniach. Kiedy ich później zwalniano i wracali do domów, nie podejmowali już żadnych działań przeciwko Autonomii i okupacji. Młodzi fedaini mieli już dość, a przywódcy byli podzieleni i nie ufali sobie nawzajem.

Ojciec znów był na wolności, więc wrócił do służby w meczecie i do działalności w obozach dla uchodźców. Teraz wypowiadał się w imieniu Allaha, a nie jako przywódca Hamasu. Po latach rozłąki spowodowanej naszymi pobytami w więzieniu cieszyłem się, że możemy podróżować i spędzać czas razem. Brakowało mi naszych długich rozmów o życiu i islamie.

Dalej czytałem Biblię. Im lepiej poznawałem chrześcijaństwo, tym bardziej pociągały mnie łaska, miłość i pokora, o których mówił Jezus. O dziwo, były to te same cechy charakteru, które przyciągały ludzi do mojego ojca - jednego z najbardziej żarliwych spośród znanych mi muzułmanów.

Teraz, kiedy Hamas został już na dobrą sprawę wyeliminowany, a władze Autonomii utrzymywały względny spokój, oficerowie Szin Bet nie mieli dla mnie żadnego zajęcia. Utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie. W każdej chwili mogli zrezygnować z moich usług, dali mi też wolną rękę, gdybym sam zechciał się wycofać.

25 lipca 2000 roku zakończył się szczyt w Camp David, w którym uczestniczyli prezydent USA Bill Clinton, premier Izraela Ehud Barak i Jasir Arafat. Barak zaoferował Arafatowi prawie cały Zachodni Brzeg, całą Strefę Gazy oraz wschodnią Jerozolimę jako stolicę nowego państwa palestyńskiego. Miał też powstać nowy międzynarodowy fundusz, który zrekompensowałby Palestyńczykom odebraną im własność. Ta oferta „ziemi za pokój” była dla uciemiężonych Palestyńczyków wielką historyczną szansą, na jaką wcześniej nie

liczyli nawet w najśmielszych marzeniach. Jednak Arafatowi to nie wystarczyło.

Uchodząc za międzynarodowy symbol uciśnionych, Jasir Arafat zgromadził ogromny osobisty majątek. Nie miał zamiaru rezygnować ze swych przywilejów i nie chciał wziąć rzeczywistej odpowiedzialności za budowę zdrowo funkcjonującego społeczeństwa. Dlatego upierał się przy stanowisku, że wszyscy uchodźcy muszą powrócić na tereny, które były w ich posiadaniu przed rokiem 1967. Izrael nie mógł zgodzić się na ten warunek, a Arafat dobrze o tym wiedział.

Odrzucając propozycję Baraka, Arafat wyrządził ogromną krzywdę własnemu narodowi. Jednak wracał do Palestyny witany przez twardegłowych zwolenników jak bohater, który zagrał na nosie prezydentowi Stanów Zjednoczonych, nie ugiął się i nie zgodził na byle co. Twardy i stanowczy przywódca, który sprzeciwił się całemu światu.

Przed kamerami telewizyjnymi Arafat zapewniał społeczność międzynarodową, że kocha Palestyńczyków i bardzo cierpi, widząc miliony rodzin żyjących w nędzy w obozach dla uchodźców. Towarzyszyłem ojcu w podróżach i uczestniczyłem w spotkaniach z Arafatem, więc mogłem się przekonać na własne oczy, że przywódca Autonomii uwielbia uwagę mediów. Z nieskrywaną przyjemnością odgrywał rolę palestyńskiego Che Guevary i paradował w towarzystwie królów, prezydentów i premierów.

Wyraźnie dawał do zrozumienia, że chce być bohaterem, o którym będą się rozpisywać w podręcznikach historii. Jednak obserwując go, często życzyłem mu raczej, by historia zapamiętała go nie jako bohatera, lecz zdrajcę, który sprzedał swój naród za sławę i popularność. Jako przeciwieństwo Robin Hooda, łupiącego biedaków, żeby samego siebie wzbogacić. Jako żalosego kabotyna, który za palestyńską krew kupił sobie miejsce w świetle reflektorów.

Z zainteresowaniem śledziłem też, jak postrzegają Arafata moi znajomi z izraelskiego wywiadu.

- Co ten chłop wyczynia? - zapytał mnie kiedyś oficer prowadzący w Szin Bet. - Nigdy byśmy nie przypuszczali, że nasi przywódcy zaoferują mu tak wiele. Nigdy! A on mówi „nie”?

I rzeczywiście, w rękach Arafata znalazł się klucz do zaprowadzenia pokoju na Bliskim Wschodzie i zapewnienia narodowi palestyńskiemu suwerennej państwowości. Arafat odrzucił tę propozycję, godząc się tym samym na postępującą degenerację. Spokój w tych warunkach nie mógł się utrzymać zbyt długo. Arafat zawsze więcej zyskiwał niż tracił na przelewie palestyńskiej krwi. A krew na ulicach i uwagę zachodnich mediów mogła przecież zapewnić... kolejna intifada.

Rządy i media na całym świecie powszechnie uznają, że krwawe powstanie zwane drugą intifadą było spontanicznym wystąpieniem Palestyńczyków rozgniewanych wizytą generała Ariela Szarona na Wzgórzu Świątynnym. Jak to często bywa, powszechne mniemanie jest błędne.

*

Wieczorem 27 września ojciec zapukał do mojego pokoju i spytał, czy jutro rano po pierwszej modlitwie nie podwiózłbym go do domu Marwana Barghutiego.

Marwan Barghuti był sekretarzem generalnym Fatah, największego ugrupowania politycznego należącego do Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Był młodym, charyzmatycznym liderem i żarliwym zwolennikiem utworzenia państwa palestyńskiego. Walczył z korupcją i piętnował przypadki łamania praw człowieka przez władze Autonomii Palestyńskiej i służby specjalne Arafata. Był niskiego wzrostu, preferował sportowy ubiór - najczęściej miał na sobie niebieskie dżinsy. Typowano go na przyszłego palestyńskiego prezydenta.

- Co się dzieje? - spytałem tatę.

- Jutro Szaron ma odwiedzić meczet Al-Aksa. Władze Autonomii uważają, że to dogodna okazja do rozpoczęcia powstania. Mamy się spotkać w Jerozolimie.

Ariel Szaron był przywódcą konserwatywnej partii Likud i politycznym oponentem premiera Ehuda Baraka, związanego z lewicową Partią Pracy. Między tymi politykami toczyła się zawzięta rywalizacja o przywództwo w rządzie izraelskim.

Powstanie? Poważnie? Władze Autonomii, które wcześniej więziły tatę, teraz prosiły go o pomoc w rozpoczęciu drugiej intifady. Uznałem, że mają nie lada tupet, choć z łatwością odgadywałem, dlaczego zwrócili się akurat do ojca. Ludzie ufali mu i kochali go - a jednocześnie nienawidzili przywódców Autonomii i nie wierzyli im. Natomiast za ojcem skoczyliby nawet w ogień - i władze świetnie to rozumiały.

Hamas leżał na deskach jak znokautowany bokser, któremu sędzia odlicza czas. Władze Autonomii oczekiwały, że mój ojciec podniesie zawodnika, ocuci go i pośle do kolejnej rundy - po to tylko, żeby można go było ponownie znokautować na oczach wiwatującego tłumu. Nawet przywódcy Hamasu, zmęczeni wieloletnim konfliktem, ostrzegali ojca, by miał się na baczności.

- Arafat chce nas tylko wykorzystać, żeby upiec własną pieczeń - przekonywali ojca. - Nie angażuj się zanadto w tę jego nową intifadę.

Ojciec rozumiał jednak, że powinien wykonać gest dobrej woli. Gdyby otwarcie odmówił współpracy z władzami Autonomii, te oskarżyłyby Hamas o podważanie procesu

pokojuowego.

Nie było dobrego wyjścia z tej sytuacji, dlatego bardzo się niepokoiłem. Ale wiedziałem, że ojciec musi wykonać ten krok, więc następnego ranka zawiozłem go do Marwana Barghutiego. Zapukaliśmy, ale nikt nie otwierał. Okazało się, że Marwan jeszcze śpi.

Typowe - pomyślałem. - Fatah angażuje ojca w swoje idiotyczne plany, ale nikomu nawet nie chce się podnieść z łóżka, żeby pomóc w ich realizacji.

- Daj spokój - powiedziałem do taty. - Wsiadaj do samochodu, ja cię zawiozę do Jerozolimy.

Podróż z ojcem do miejsca, które miał odwiedzić Szaron, była ryzykownym przedsięwzięciem, ponieważ obowiązywał zakaz wjazdu pojazdów palestyńskich na teren Jerozolimy. Palestyński kierowca przyłapany przez izraelską policję zapłaciłby w takiej sytuacji mandat, ale my zostalibyśmy zapewne natychmiast aresztowani. Musiałem bardzo uważać, trzymałem się bocznych uliczek i liczyłem na to, że w razie czego pomogą nam moje koneksje w Szin Bet.

Meczet Al-Aksa i Kopuła Skały zbudowane są na gruzach dwóch starożytnych świątyń żydowskich - świątyni Salomona z X wieku przed Chrystusem i świątyni Heroda Wielkiego z czasów Chrystusa. Ktoś określił to skaliste wzgórze jako „najbardziej niestabilne trzydzieści pięć akrów na ziemi”. Jest to miejsce święte dla trzech największych religii monoteistycznych. Jednak z punktu widzenia nauki i historii jest to także stanowisko archeologiczne o ogromnym znaczeniu - co przyznają nawet najbardziej zatwardziali ateści.

Kilka tygodni przed wizytą Szarona muzułmańska straż Wakf zarządzająca tym terenem zamknęła Wzgórze Świątynne, zakazując wstępu archeologom z Izraelskiego Urzędu ds. Zabytków Starożytnych. Następnie, pod pozorem budowy nowych podziemnych meczetów, na miejsce sprowadzono ciężki sprzęt do robót ziemnych. W wieczornych wiadomościach w Izraelu zdumieni widzowie ujrzeli buldożery, koparki i ciężarówki do wywozu gruzu rozjeżdżające stanowiska archeologiczne. W ciągu kilku tygodni z kompleksu Wzgórza Świątynnego na miejskie wysypisko śmieci wywieziono kilkanaście tysięcy ton gruzu. Telewizyjne relacje z wysypiska pokazywały archeologów, którzy wygrzebują szczątki artefaktów ze śmietnika i z niedowierzaniem potrząsają głowami. Niektóre z ocalonych przedmiotów pochodziły z okresu pierwszej i drugiej świątyni.

Izraelczycy rozumieli, jakie intencje kryły się za tymi działaniami - najwyraźniej chodziło o to, by zamienić owe „trzydzieści pięć akrów” w miejsce wyłącznie muzułmańskie przez usunięcie każdego znaku, każdej pozostałości i pamiątki świadczącej o jego żydowskiej

przeszłości. W tym celu niszczone wszelkie znaleziska archeologiczne dokumentujące historię Wzgórza Świątynnego.

Celem wizyty Szarona było zapewnienie izraelskich wyborców, że zamierza on położyć kres tej skandalicznej dewastacji. Planując przyjazd Szarona, jego sztab uzyskał zapewnienie od szefa palestyńskiej służby bezpieczeństwa Dżibrila Radżuba, że wizyta nie będzie problemem, pod warunkiem że Szaron nie wejdzie na teren meczetu.

Dojechaliśmy z ojcem na miejsce kilka minut przed przybyciem Szarona. Był spokojny poranek. Około stu Palestyńczyków przyszło na modlitwę. Szaron zjawił się w porze zarezerwowanej dla zwiedzających turystów. Towarzyszyła mu delegacja Likudu i tysiąc policjantów z oddziałów prewencyjnych. Po kilku minutach Szaron odjechał wraz z całą delegacją. Nic nie powiedział ani nie wszedł do meczetu.

Uznałem to wydarzenie za epizod niewarty niczyjej uwagi. W drodze powrotnej do Ram Allah zapytałem ojca, o co był ten cały szum.

- Co się stało? - zapytałem. - Nie wszcząłeś intifady.

- Jeszcze nie - odpowiedział - ale skontaktowałem się z kilkoma działaczami z islamskiego ruchu studenckiego i poprosiłem ich, żeby spotkali się ze mną na demonstracji.

- W Jerozolimie nic się nie wydarzyło, więc teraz chcecie demonstrować w Ram Allah? To jakiś obłąd.

- Musimy robić, co do nas należy. Al-Aksa to nasz meczet i Szaron nie ma tam nic do szukania. Nie możemy tego tak zostawić.

Zastanawiałem się, kogo próbuje przekonać - mnie czy siebie.

Demonstracja w Ram Allah w niczym nie przypominała spontanicznego, masowego zrywu. Było jeszcze wcześniej i na ulicach panował normalny ruch. Przechodnie zastanawiali się, o co chodzi pikietującej grupie studentów i działaczy Hamasu, którzy sami najwyraźniej nie do końca rozumieli, przeciwko czemu protestują.

Kilka osób przemawiało przez megafon, a reszta demonstrantów od czasu do czasu wydawała jakieś okrzyki i skandowała hasła protestacyjne. Wydawało się jednak, że nikt nie traktuje tego zbyt poważnie. Na terytoriach palestyńskich zapanowała już pewna stabilizacja. Ludzie przyzwyczaili się do okupacji, a żołnierze izraelscy stali się elementem krajobrazu. Palestyńczykom wolno było chodzić do szkół i do pracy na terytorium Izraela. W Ram Allah kwitło życie nocne. Dlatego trudno było zrozumieć, o co chodzi protestującym.

Dla mnie ten wiec był kolejnym niewypałem. Zadzwoiłem do kilku znajomych z grupy biblijnej i pojechaliśmy do Galilei, żeby pobiwakować nad jeziorem.

Odcięty od wiadomości, nie zdawałem sobie sprawy, że następnego ranka duża grupa

demonstrantów palestyńskich starła się z oddziałami prewencji w pobliżu Wzgórza Świątynnego. Najpierw w ruch poszły kamienie, potem koktajle Mołotowa, a na koniec kałasznikowy. Do rozproszenia demonstrantów policja użyła metalowych naboju pokrytych gumą, a według niektórych doniesień także ostrej amunicji. Cztery osoby zginęły, a około dwustu odniosło obrażenia. Rannych zostało także czteremastu policjantów. Właśnie na taki obrót sprawy liczyły władze Autonomii.

Następnego dnia dostałem telefon z Szin Bet.

- Gdzie jesteś?

- W Galilei, na biwaku z przyjaciółmi.

- Na biwaku? Oszalałeś?! - Loai zaczął się nerwowo śmiać. - Niezły z ciebie numer.

Cały Zachodni Brzeg stanął na głowie, a ty miło spędzasz czas w towarzystwie swoich chrześcijańskich przyjaciół?!

Kiedy mi o wszystkim opowiedział, natychmiast wskoczyłem do samochodu i ruszyłem w drogę powrotną.

Jasir Arafat i inni przywódcy Autonomii za wszelką cenę chcieli wzniecić kolejną intifadę. Planowali to od miesięcy, już wtedy, kiedy Arafat spotykał się z Barakiem i Clintonem w Camp David. Czekali jedynie na odpowiedni pretekst. Stała się nim wizyta Szarona. I tak po kilku falstartach Intifada Al-Aksa rozgorzała na dobre. Beczka prochu, jaką był Zachodni Brzeg i Strefa Gazy, znowu stanęła w płomieniach. Szczególnie dotyczyło to Gazy.

Właśnie w Gazie, w trakcie demonstracji zorganizowanej przez Fatah, na oczach kamer zginął dwunastoletni chłopiec, Muhammad ad-Dura. On i jego ojciec Dżamal dostali się pod ostrzał krzyżowy, więc schronili się za betonowym słupem. Chłopiec, trafiony przez zabłąkaną kulę, umierał w ramionach ojca. Całą tę rozdzierającą serce scenę uchwycił palestyński operator, który relacjonował przebieg wydarzeń dla francuskiej telewizji publicznej. W ciągu kilku minut to krótkie nagranie obiegło cały świat, wywołując gniew milionów widzów oburzonych izraelską okupacją.

Przez kolejne miesiące na arenie międzynarodowej toczył się ostry spór dotyczący tego wydarzenia. Przedstawiano fakty wskazujące na to, że do chłopca strzelali nie Izraelczycy, a Palestyńczycy. Niektórzy twierdzili nawet, że film był starannie przygotowaną mistyfikacją. Na nagraniu nie widać ani momentu postrzelenia chłopca, ani jego martwego ciała, podejrzewano więc, że była to propagandowa sztuczka OWP. Jeśli rzeczywiście tak było, pomysł okazał się efektowny i skuteczny.

Niezależnie od faktycznego przebiegu wydarzeń ja sam znalazłem się z dnia na dzień

w niezręcznej sytuacji, jako mimowolny uczestnik batalii, której głównym przywódcą był mój ojciec - choć jako przywódca tata nie miał w gruncie rzeczy pojęcia, czemu właściwie przewodzi i dokąd go to zaprowadzi. Ojciec został po prostu wykorzystany przez Arafata i Fatah do rozpoczęcia rozruchów. W ten sposób zapewnił władzom Autonomii nowe karty przetargowe i wiarygodny pretekst do zbierania funduszy na walkę z Izraelem.

Tymczasem na posterunkach znów ginęli ludzie. Obie strony strzelały na oślep. Ginęły dzieci. Codziennie lała się krew i codziennie Jasir Arafat stawał przed kamerami zachodnich dziennikarzy, załamując ręce i zarzekając się, że nie ma nic wspólnego z przemocą. Oskarżał mojego ojca, Marwana Barghutiego i ludność z obozów dla uchodźców. Zapewniał świat, że robi wszystko, co w jego mocy, aby ugasić powstanie, a jednocześnie za kulisami podsycił ogień.

Wkrótce Arafat przekonał się jednak, że wypuścił z butelki groźnego dzina. Dążąc do osiągnięcia własnych celów, przebudził ludność palestyńską i podburzył ją. Sytuacja zupełnie wymknęła mu się spod kontroli. Widząc, jak żołnierze izraelscy strzelają do ich ojców, matek i dzieci, rozgniewani Palestyńczycy nie słuchali już ani władz Autonomii, ani nikogo innego.

Arafat miał się także przekonać, że znokautowany bokser, którego poderwał z powrotem na nogi, ulepiony był z twardszej gliny, niż mogło się na pozór wydawać. Ulice były naturalnym żywiołem Hamasu. Właśnie tutaj ów zawodnik debiutował i tutaj czuł się najpewniej.

Pokój z Izraelem? Camp David? Oslo? Połowa Jerozolimy? Do diabła z tym wszystkim! W ogniu szalejącego konfliktu wyparowały wszelkie ugodowe nastroje. Wśród Palestyńczyków znów zapanowała mentalność streszczająca się w haśle „wszystko albo nic”. Teraz to już nie Arafat, ale Hamas podsycił ogień.

Oko za oko, ząb za ząb - akty przemocy nasilały się z każdym dniem. Codziennie dodawano nowe pozycje do rachunku krzywd po obu zwaśnionych stronach.

8 października 2000 roku tłum Żydów zaatakował Palestyńczyków w Nazarecie. Dwóch Arabów zostało zabitych, dziesiątki rannych. W Tyberiadzie Żydzi zniszczyli dwustuletni meczet.

12 października palestyński tłum zabił dwóch żołnierzy izraelskich w Ram Allah. W ramach akcji odwetowej Izrael zbombardował Gazę, Ram Allah, Jerycho i Nablus.

2 listopada w pobliżu targowiska Mahane Jehuda w Jerozolimie eksplodował samochód pułapka, zabijając dwóch Izraelczyków i raniąc dziesięć kolejnych osób.

11 listopada izraelski helikopter zdetonował ładunek wybuchowy umieszczony w samochodzie bojownika Hamasu.

20 listopada podłożona przy drodze bomba wybuchła obok przejeżdżającego autobusu szkolnego. Dwóch Izraelczyków zginęło, dziewięciu innych, w tym pięcioro dzieci, odniosło obrażenia⁵.

Nie mogłem w to wszystko uwierzyć. Należało coś zrobić, by powstrzymać ten obłęd. Wiedziałem, że nadszedł czas, abym rozpoczął współpracę z Szin Bet. Zaangażowałem się w nią całym sercem.

KONSPIRACJA

2000-2001

Fakty, które zamierzam ujawnić, znane były dotąd tylko w wąskim kręgu oficerów izraelskiego wywiadu. Przekazuję te informacje w nadziei, że rzuca nowe światło na kilka ważnych wydarzeń, które do tej pory okryte były mgłą tajemnicy.

W dniu, w którym postanowiłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby powstrzymać szaleństwo wojny, zacząłem gromadzić informacje o planach Marwana Barghutiego i przywódców Hamasu. Informacje te przekazywałem agentom Szin Bet, którzy starali się za wszelką cenę udaremnić działania tych ludzi.

W Szin Bet nadano mi pseudonim „Zielony Książę”: „zielony” w nawiązaniu do barwy flagi Hamasu, a „książę” - do pozycji mego ojca, jednego z „królów” Hamasu. W wieku dwudziestu dwóch lat zostałem jednym z najcenniejszych współpracowników Szin Bet - byłem jedynym agentem ulokowanym w Hamasie, który miał styczność z militarnym i politycznym skrzydłem tego ugrupowania i który mógł infiltrować pozostałe frakcje palestyńskie.

Nie niosłem jednak tej odpowiedzialności sam. Byłem przekonany, że Bóg nie bez powodu umieścił mnie w samym sercu Hamasu, wśród przywódców palestyńskich, na spotkaniach u Jasira Arafata i w izraelskiej służbie bezpieczeństwa. Zająłem wyjątkową pozycję umożliwiającą wykonanie ważnego zadania i czułem wsparcie Opatrzności.

Starałem się wniknąć głęboko w przyczyny konfliktu, zrozumieć istotę wydarzeń. Przypominałem sobie lata pierwszej intifady, gdy wokół szalała przemoc. Cmentarz, na którym w dzieciństwie grałem w piłkę, do ostatniego miejsca wypełnił się grobami. Jako młodociany uczestnik pierwszego powstania rzucałem kamieniami i łamałem godzinę policyjną. Nie rozumiałem jednak, dlaczego mój naród sięgnął po przemoc. Teraz chciałem wiedzieć, dlaczego znowu do tego wracamy. Chciałem zrozumieć.

Z punktu widzenia Jasira Arafata w powstaniu chodziło o politykę, pieniądze i utrzymanie się przy władzy. Arafat był arcymistrzem manipulacji, który potrafił świetnie pociągać za sznurki palestyńskich marionetek. Przed kamerami potępiał Hamas za ataki na cywilów na terytorium Izraela. Deklarował, że Hamas nie reprezentuje Autonomii ani narodu

palestyńskiego. Ale nie interweniował. Cieszył się, że Hamas odwała za niego czarną robotę i skupia na sobie gniew społeczności międzynarodowej. Arafat był szczwanym lisem - wiedział, że bez pomocy władz Autonomii Izrael nie zdoła powstrzymać ataków. A im więcej ataków, tym szybciej Izraelczycy wrócą do stołu negocjacyjnego.

W tym czasie na scenie pojawiło się nowe ugrupowanie - Brygady Męczenników Al-Aksa - które za główny cel obrało sobie żołnierzy i osadników izraelskich. Nikt nie miał pojęcia, kim są ludzie należący do Brygad ani skąd się wzięli. Frakcja miała charakter religijny, ale członkowie Hamasu i Islamskiego Dżihadu nic o niej nie wiedzieli. Najwyraźniej Brygady nie były też nacjonalistycznym odłamek powiązany z władzami Autonomii czy z Fatah.

W Szin Bet także zachodzono w głowę, kto kryje się za tą organizacją. Raz lub dwa razy w tygodniu Brygady przeprowadzały precyzyjnie zaplanowane ataki na samochody lub autobusy osadników. Nawet dobrze uzbrojeni żołnierze izraelscy nie mogli sobie poradzić z tymi bojownikami.

Któregoś dnia zadzwonił Loai.

- Mamy doniesienie, że jakieś niezidentyfikowane osoby odwiedziły Mahira Udę. Chcemy, żebyś się dowiedział, kim są ci ludzie i co ich łączy z Mahirem. Tylko tobie możemy powierzyć tę sprawę.

Mahir Uda był jednym z najwyższych przywódców Hamasu, więc Szin Bet bardzo chciała go dopaść. Stał na czele wewnętrznej formacji ochronnej Hamasu w systemie więziennym i odpowiadał za większość tortur, które odbywały się w więzieniach. Podejrzewałem, że to on kieruje zamachami samobójczymi. Uda świetnie się maskował i trudno było znaleźć przeciwko niemu dowody, które dałyby podstawę do aresztowania.

Wieczorem wybrałem się do centrum Ram Allah. Był Ramadan, ulice opustoszały. Właśnie zaszło słońce i wszyscy zasiadali do posiłku kończącego całodzienny post. Wjechałem na parking przy budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Mahira Udy. Choć nie przeszkolono mnie do tego typu operacji, znałem podstawy. Na filmach dwóch facetów siedzi w samochodzie zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy i prowadzi obserwację przy użyciu wymyślnych kamer i zaawansowanych urządzeń szpiegowskich. Szin Bet dysponowała wprawdzie wysokiej klasy sprzętem, jednak w tej misji miałem do dyspozycji jedynie swój własny samochód i bystry wzrok. Obserwowałem budynek, zwracając uwagę na to, kto wchodzi i wychodzi.

Po półgodzinie z dwupiętrowego budynku wyszło kilku uzbrojonych mężczyzn, którzy wsiedli do nowego zielonego chevroleta na izraelskich tablicach rejestracyjnych. Coś

tu nie pasowało. Po pierwsze, członkowie Hamasu - szczególnie ci ze skrzydła militarnego - nigdy nie nosili publicznie broni. Po drugie, ludzie pokroju Mahira Udy nie spotykali się z uzbrojonymi bojownikami.

Włączyłem silnik, przepuściłem kilka samochodów i ruszyłem za nimi. Przez chwilę jechałem za zielonym chevroletem główną ulicą w kierunku Betanii, gdzie mieszkali moi rodzice. Potem ich zgubiłem.

Byłem zły na siebie i na Szin Bet. W filmach takie sceny wyglądają inaczej. Tymczasem tutaj wszystko działa się naprawdę, a w prawdziwym życiu za szpiegowanie można zginąć. Jeśli miałem śledzić uzbrojonych mężczyzn, zwłaszcza w nocy, powinienem otrzymać jakieś wsparcie. To była robota dla kilku osób, a nie zabawa w pojedynek. Zawsze myślałem, że przy takiej operacji prowadzi się obserwację z powietrza i inwigilację satelitarną z użyciem nowoczesnego sprzętu. W tym przypadku liczyłem tylko na siebie. Mogło mi się poszczęścić - ale mogłem też dostać kulę w łeb. Na razie nic nie wskórałem. Zawróciłem do domu z uczuciem, jakbym właśnie zaprzepaścił milionowy interes.

Nazajutrz postanowiłem, że odszukam tamten samochód. Kręciłem się po ulicach przez kilka godzin - bez skutku. Zrezygnowany podjechałem do myjni, gdzie moim oczom ukazał się... ten sam zielony chevrolet. Przy samochodzie stali ci sami mężczyźni. Mieli broń.

Łut szczęścia czy ingerencja Opatrzności?

W świetle dziennym mogłem im się znacznie lepiej przyjrzeć, znajdowali się też bliżej niż poprzedniego wieczoru. Eleganckie garnitury i karabiny AK47 i M16 wskazywały, że są członkami elitarniej Jednostki 17 przeznaczonej do zadań specjalnych. Właśnie ta formacja chroniła Arafata przed stale powiększającym się gronem rywali i uzurpatorów.

Coś mi tutaj nie grało. Czy na pewno byli to ci sami mężczyźni, których widziałem pod domem Mahira Udy? Co on by robił w towarzystwie uzbrojonych żołnierzy? Nic go przecież nie łączyło z Arafatem. Chyba że... To wszystko nie miało sensu.

Gdy odjechali, spytałem właściciela myjni, kim są ci ludzie. Wiedział, że jestem synem Hasana Jusufa, więc nie zaskoczyłem go tym pytaniem. Potwierdził, że są z „siedemnastki”. Dodał, że mieszkają w Betanii. Teraz już zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi. Dlaczego ochroniarze Arafata mieszkają kilka minut od domu moich rodziców?

Podjechałem pod adres wskazany przez właściciela myjni i znalazłem chevroleta zaparkowanego przed domem. Popędziłem do siedziby Szin Bet i poinformowałem Loai o swoim odkryciu. Słuchał uważnie, ale jego przełożony nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

- To nie ma sensu - stwierdził. - Dlaczego ludzie Arafata mieliby stacjonować poza jego kwaterą? Coś musiało ci się pomylić.

- Nic mi się nie pomyliło! - odburknąłem. Poszczególne elementy tej układanki faktycznie do siebie nie pasowały i irytowało mnie, że nie umiem tego wyjaśnić. A teraz ktoś mi jeszcze próbował wmówić, że wszystko mi się przywidziało.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie ma sensu. Ale nie obchodzi mnie, co na ten temat myślicie. Wiem, co widziałem.

Oficer oburzył się na mnie i wyszedł, trzaskając drzwiami. Loai kazał mi się uspokoić i opowiedzieć wszystko jeszcze raz od początku, ze szczegółami. Okazało się, że chevrolet nie pasuje do informacji, które mieli na temat Brygad. To był kradziony izraelski samochód - takimi autami jeździli wprawdzie działacze Autonomii, ale nie potrafiliśmy określić, jaki to ma związek z nową frakcją.

- Jesteś pewien, że to był zielony chevrolet? - zapytał. - Nie widziałeś przypadkiem bmw?

Na wszelki wypadek wróciłem pod tamten adres, żeby się upewnić. Zielony chevrolet nadal stał zaparkowany w tym samym miejscu. Obok zauważyłem jednak inny samochód, przykryty białą plandeką. Ostrożnie zakradłem się bliżej i zajrzałem pod przykrycie - to było srebrne bmw, model z 1982 roku.

- Świetnie, mamy ich! - wykrzyknął Loai, kiedy zadzwoniłem, żeby mu o tym powiedzieć.

- O czym ty mówisz?

- To ochroniarze Arafata!

- Coś takiego! A myślałem już, że wszystko mi się pokręciło - stwierdziłem sarkastycznie.

- Nie, miałeś całkowitą rację. To bmw przewijało się we wszystkich strzelaninach na Zachodnim Brzegu w ciągu ostatnich paru miesięcy.

Okazało się, że moja informacja była przełomowa - wskazywała, że Brygady Męczenników Al-Aksa to nikt inny, tylko osobista ochrona Arafata. Arafat finansował tę działalność z pieniędzy pochodzących z kieszeni amerykańskich podatników i ofiarodawców z całego świata. Odkrycie tego powiązania przyczyniło się do powstrzymania strasznego łańcucha zamachów bombowych, w których ginęli niewinni cywile. Dowód, który dostarczyłem Szin Bet, został później użyty przeciwko Arafatowi przed Radą Bezpieczeństwa ONZ⁶.

Teraz musieliśmy wyłapać członków nowej komórki - odciąć wężowi głowę, jak mawiali Izraelczycy. Ustaliliśmy, że najbardziej niebezpiecznymi osobami w Brygadach są Ahmad Ghandur, ich główny przywódca, oraz Muhanad Abu Halawa, jeden z jego

asystentów. Mieli już na koncie śmierć kilkunastu ludzi. Wydawało się, że wyeliminowanie ich z gry będzie dość łatwe. Znaliśmy ich tożsamość i miejsce zamieszkania, a co najważniejsze - oni nie zdawali sobie sprawy, że to wszystko wiemy.

Żołnierze Sił Obronnych Izraela wypuścili zdalnie sterowany model latający, który krążył nad osiedlem i zbierał informacje. Jednak dwa dni później Brygady przypuściły kolejny atak na terenie Izraela i Izraelczycy zdecydowali się na przeprowadzenie akcji odwetowej. Ciężki czołg bojowy Merkawa wystrzelił dwadzieścia pocisków w kierunku obserwowanego budynku. Niestety nikt nie zadał sobie trudu, by wcześniej sprawdzić urządzenie monitorujące i potwierdzić, że bojownicy są w domu. Nie było ich.

Co gorsza, teraz wiedzieli już, że wpadliśmy na ich trop. Nic dziwnego, że schronili się w kwaterze głównej Arafata. Ze względów politycznych nie mogliśmy tam tak po prostu wkroczyć. Teraz ataki Brygad stały się jeszcze częstsze i groźniejsze.

Ahmad Ghandur jako przywódca figurował na pierwszym miejscu listy poszukiwanych. Gdy przeniósł się do kwatery Arafata, wydawało się, że nigdy go nie dopadniemy. I rzeczywiście, nie dopadliśmy. Jak się okazało, sam wymierzył sobie sprawiedliwość.

Któregoś dnia, przechodząc obok starego cmentarza w Al-Birze, natknąłem się na pogrzeb wojskowy.

- Kto zginął? - spytałem z ciekawości.
- Ktoś z północy - odparł jakiś człowiek. - Wątpię, żebyś go znał.
- Jak się nazywał?
- Ahmad Ghandur.

Próbując opanować emocje, zapytałem na pozór od niechcienia:

- Co mu się stało? Chyba już gdzieś słyszałem to nazwisko.
- Nie wiedział, że jego pistolet jest naładowany, i strzelił sobie w głowę. Podobno jego mózg przykleił się do sufitu.

Zadzwoiłem do Loai.

- Pożegnaj się z Ahmadem Ghandurem, bo już nie żyje.
- Zabiłeś go?
- A dałeś mi broń? Nie, nie zabiłem go. Sam to zrobił. Już po nim.

Loai nie mógł uwierzyć.

- Zapewniam cię, że gość nie żyje. Właśnie jestem na jego pogrzebie.

*

W pierwszych latach Intifady Al-Aksa towarzyszyłem ojcu na każdym kroku. Jako

najstarszy syn byłem jego protegowanym, ochroniarzem, powiernikiem, uczniem i przyjacielem. A on był dla mnie wszystkim, był wzorem prawdziwego mężczyzny. Choć w tym czasie różniliśmy się już w przekonaniach, wiedziałem, że jego serce i motywy są czyste. Jego miłość dla współwyznawców i oddanie dla Allaha pozostawały niezmiennie. Pragnął pokoju dla swych rodaków i przez całe życie dążył do tego celu.

Druga intifada rozgrywała się głównie na Zachodnim Brzegu. W Gazie odbyło się kilka demonstracji, a śmierć młodego Muhammada ad-Dury stała się zarzewiem konfliktu. Jednak Hamas umiejętnie rozniecił ten ogień na Zachodnim Brzegu i rozpętał tam prawdziwe piekło.

W każdej wiosce, miasteczku i mieście rozjątrzone tłumy ścierały się z izraelskimi żołnierzami. Każdy posterunek zamienił się w krwawe pole bitwy. Trudno było znaleźć człowieka, który nie pochowałby w tych dniach krewnego lub bliskiego przyjaciela.

Tymczasem przywódcy wszystkich frakcji palestyńskich - ludzie zajmujący najwyższe pozycje, członkowie ścisłego kierownictwa - codziennie spotykali się z Jasirem Arafatem, by koordynować działania. Mój ojciec reprezentował Hamas, który znów stał się największą i najważniejszą organizacją palestyńską. Ojciec spotykał się też co tydzień w węższym gronie z Marwanem Barghutim i Arafatem. Kilka razy towarzyszyłem mu w tych naradach.

Gardziłem Arafatem, ponieważ uważałem, że wyrządza krzywdę memu ukochanemu narodowi. Oczywiście starałem się nie dać tego poznać po sobie. Jednak któregoś razu nie wytrzymałem i kiedy Arafat mnie ucałował, instynktownie wytarłem policzek. Zauważył to i poczuł się upokorzony. Przyniosłem wstyd ojcu - od tej pory nie zabierał mnie już więcej ze sobą.

Przywódcy intifady zajeżdżali na te codzienne spotkania luksusowymi zagranicznymi limuzynami, obstawieni armią ochroniarzy. Mój ojciec zaś poruszał się skromnym, kilkunastoletnim audi, a ja byłem jego jedyną obstawą.

Spotkania u Arafata stanowiły siłę napędową intifady. Choć sam już w nich nie uczestniczyłem, tylko czekałem na zewnątrz, nadal znałem wszystkie szczegóły, ponieważ ojciec prowadził notatki. Miałem do nich dostęp i powieliałem je. Nie zawierały poufnych informacji - takich jak miejsce i czas operacji wojskowej oraz kto ma ją przeprowadzić. Przywódcy wymieniali się raczej ogólnymi uwagami, które wytyczały pewne schematy i kierunki działania - na przykład postanawiano przypuścić więcej ataków na terenie Izraela albo skoncentrować się na posterunkach czy osiedlach osadników.

W notatkach ze spotkań pojawiały się jednak konkretne terminy demonstracji. Jeśli

ojciec deklarował, że Hamas zorganizuje demonstrację następnego dnia o godzinie pierwszej w centrum Ram Allah, posyłano natychmiast gońców do meczetów, obozów dla uchodźców i szkół, aby poinformować wszystkich członków Hamasu, że mają się tam stawić o odpowiedniej porze. Na ulice ruszali wtedy żołnierze izraelscy. W zamieszkach ginęli muzułmanie, uchodźcy i, niestety, także dzieci w wieku szkolnym.

Zanim wybuchła druga intifada, Hamas dogorywał i mój ojciec powinien był go pozostawić. Teraz mieszkańcy krajów arabskich codziennie oglądali w telewizji Al-Dżazira twarz taty i słuchali jego słów. Był ikoną intifady. Dzięki temu zdobył popularność i znaczenie w świecie muzułmańskim, ale stał się także uosobieniem zła w oczach Izraelczyków.

Mimo wielkiej popularności Hasan Jusuf pozostawał pokornym człowiekiem. Cieszył się po prostu, że spełnia wolę Allaha.

Któregoś razu wyczytałem w notatkach ojca, że zaplanowano demonstrację. Następnego dnia wyszliśmy na ulicę i udaliśmy się na czele podburzonego tłumu w stronę izraelskiego punktu kontrolnego. Zanim pochód podszedł bliżej, przywódcy wycofali się w bezpieczne miejsce na wzgórzu. Wszyscy pozostali - młodzi chłopcy i dzieci szkolne - z impetem ruszyli do przodu i zaczęli rzucać kamieniami w kierunku uzbrojonych żołnierzy, którzy odpowiedzieli ogniem.

W takich warunkach nawet gumowe kule mogą okazać się śmiertelne, szczególnie w przypadku dzieci. Amunicja tego typu może zabić, jeśli wystrzeli się nabój z odległości mniejszej niż czterdzieści metrów - to minimalny dystans dopuszczony przez przepisy Sił Obronnych Izraela.

Obserwowaliśmy sytuację ze wzgórza i widzieliśmy mnóstwo zabitych i rannych. Żołnierze strzelali nawet do nadjeżdżających karettek, celowali w kierowców i zabijali ratowników, którzy próbowali dostać się do rannych. To było bestialstwo.

Wkrótce strzelali już wszyscy. Żołnierze na posterunku padali pod gradem kamieni. Tysiące ludzi rzuciło się na szlabany, próbując siłą przedrzeć się na drugą stronę. Opanowała ich jedna obsesja, jedna myśl - dotrzeć do osiedla Beit El, niszcząc po drodze wszystko i wszystkich. Tłum oszalał z wściekłości, podsycanej widokiem zabitych i zapachem krwi.

Kiedy wydawało się, że już nie może być gorzej, usłyszeliśmy potężny warkot silnika merkawy, która wkraczała do akcji. Nagły wystrzał z działa czołgowego rozdarł powietrze ogłuszającym hukiem.

Czołg odparował atak oddziałów Autonomii, które przystąpiły do ostrzeliwania żołnierzy izraelskich. Gdy zaczął się przybliżać do naszego punktu obserwacyjnego,

ochroniarze błyskawicznie przeprowadzili swoich podopiecznych w bezpieczne miejsce. Szczątki ciał walały się pod naszymi stopami, kiedy próbowałem przeprowadzić tatę do samochodu. Dotarliśmy do niego i natychmiast ruszyliśmy w kierunku Ram Allah. Podjechaliśmy pod szpital, przepelniony rannymi, konającymi i umarłymi. Brakowało miejsc. Pracownicy Czerwonego Półksiężycy uwijali się przed budynkiem, próbując ratować rannych, którym groziło wykrwawienie się, ale nie nadążali z pomocą.

Ściany i podłogi szpitala były zbroczone krwią. Ludzie chodzący korytarzami ślizgali się na niej. Mężowie i ojcowie, żony, matki i dzieci - wszyscy płakali z rozpacz i bezsilności.

O dziwo, pogrążeni w bólu i gniewie ludzie wydawali się niezwykle wdzięczni palestyńskim przywódcom, takim jak mój ojciec, którzy przyszli, by okazać im współczucie. A przecież właśnie ci liderzy poprowadzili ich i ich dzieci jak owce na rzeź, a potem wycofali się, by obserwować masakrę z bezpiecznej odległości. To budziło we mnie jeszcze większą odrazę niż krwawa hekatomba.

Była to tylko jedna z wielu demonstracji. Co wieczór, siedząc przed telewizorem, wysłuchiwałem niekończącej się litanii zabitych. Dziesięciu w tym mieście. Pięciu w innym. Kolejnych dwudziestu gdzieś indziej.

Widziałem reportaż przedstawiający historię człowieka o imieniu Szada. W czasie pracy Szada wiercił dziurę w ścianie budynku po drugiej stronie ulicy, na której toczyła się demonstracja. Izraelski artylerzysta czołgowy zobaczył go i wziął wiertło za karabin, więc wystrzelił pocisk, który trafił Szadę prosto w głowę.

Razem z ojcem udaliśmy się do domu zabitego. Miał piękną żonę, którą niedawno poślubił. Przywódcy palestyńscy, którzy przyszli pocieszać wdowę, w pewnym momencie zaczęli się kłócić o to, kto ma wygłosić mowę na pogrzebie Szady. Kto będzie przyjmował żałobników przez następne trzy dni? Kto zajmie się jedzeniem dla rodziny? Wszyscy nazywali Szadę „naszym synem”, zapewniali, że należał do ich partii, i próbowali udowodnić, że ich organizacja angażuje się w intifadę bardziej niż inne.

Współzawodnictwo między frakcjami zostało sprowadzone do absurdu sprzeczki nad grobem zmarłego. Tymczasem większość zabitych przeważnie nie miała nic wspólnego z ruchem oporu. Byli zwykłymi ludźmi, których porwała fala wydarzeń. Niektórzy, jak Szada, znaleźli się po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Tymczasem Arabowie na całym świecie palili amerykańskie i izraelskie flagi, organizowali demonstracje i pompowali miliony dolarów w działalność ugrupowań palestyńskich walczących z okupacją. W pierwszych latach drugiej intifady Saddam Husajn

wypłacił trzydzieści pięć milionów dolarów rodzinom palestyńskich męczenników - dziesięć tysięcy dla rodziny każdej ofiary działań wojennych, i dwadzieścia pięć tysięcy dla rodziny każdego zamachowcy samobójcy. Można różnie oceniać tę obsesyjną walkę o skrawek ziemi nad Morzem Śródziemnym, ale trzeba przyznać, że sowicie wynagradzano tych, którzy stracili w niej swych najbliższych.

POSZUKIWANY

2001

Palestyńczycy nie obarczali już odpowiedzialnością za swoje problemy Jasira Arafata ani Hamasu. Teraz oskarżali Izraelczyków, którzy strzelali do ich dzieci. Ciągłe jednak nasuwało się zasadnicze pytanie: dlaczego te dzieci w ogóle były na ulicach? Gdzie się podziewali ich rodzice? Dlaczego nie zatrzymali dzieci w domach? Powinny były siedzieć w szkolnych ławkach, a nie biegać po ulicach, rzucając kamieniami w uzbrojonych żołnierzy.

- Dlaczego posyłacie dzieci na śmierć? - spytałem ojca pewnego dnia po wyjątkowo krwawych zamieszkach.

- Nie wysyłamy ich - odparł. - Same się rwą. Popatrz na twoich braci.

Ciarki przeszły mi po plecach.

- Jeśli się dowiem, że któryś z nich wychodzi na ulicę i rzuca kamieniami, połamię mu ręce - wycodziłem. - Wolę, żeby chodzili w gipsie, niż żeby ich pozabijali.

- Naprawdę? Więc może cię zainteresuje, że właśnie wczoraj rzucali kamieniami - powiedział spokojnie ojciec. Nie mogłem uwierzyć, że tak miało teraz wyglądać życie naszej rodziny.

Moi bracia nie byli już dziećmi. Suhajb miał dwadzieścia jeden lat, Sajf osiemnaście - obaj byli na tyle dorośli, by trafić do więzienia. Owejs i Muhammad mieli odpowiednio szesnaście i czternaście lat - żołnierze izraelscy mogli zastrzelić ich w zamieszkach. Powinni mieć więcej oleju w głowie. Kiedy próbowałem się z nimi rozmówić, wszystkiemu zaprzeczyli.

- Słuchajcie, mówię poważnie - spojrzałem na nich groźnie. - Już dawno nie dostaliście ode mnie lania, bo jesteście prawie dorośli. Ale uważajcie, niech tylko się dowiem, że wybieracie się na ulicę!

- Ty i tata też chodźcie na demonstracje! - zaprotestował Muhammad.

- To prawda. Ale nie rzucały kamieniami.

Na domiar złego okazało się, że z powodu pokaźnych czeków napływających od bezwzględного irackiego dyktatora Saddama Husajna Hamas stracił monopol na zamachy samobójcze. Teraz swoich zamachowców posyłały także Brygady Męczenników Al-Aksa i

Islamski Dżihad, a nawet frakcje świeckie, komuniści i ateści. Wszystkie ugrupowania rywalizowały ze sobą o to, kto zabije najwięcej izraelskich cywilów.

Miałem już dość rozlewu krwi. Nie mogłem spać, straciłem apetyt. Nie patrzyłem na to wszystko jedynie oczami muzułmanina czy Palestyńczyka, ani nawet oczami syna Hasana Jusufa. Teraz rozumiałem też punkt widzenia Izraelczyków. A co ważniejsze, patrzyłem na to bezmyślne zabijanie się oczami Jezusa, który współczuł zagubionym ludziom i cierpiał razem z ofiarami. Im więcej czytałem Biblię, tym wyraźniej dostrzegałem tę fundamentalną prawdę, że jedynym sposobem zatrzymania rozlewu krwi jest miłość do nieprzyjaciół i przebaczenie wrogom.

Byłem zachwycony Jezusem, jednak moi chrześcijańscy przyjaciele daremnie próbowali mnie przekonać, że jest On Bogiem. Moim Bogiem był Allah. Ale nawet jeśli nie zdawałem sobie z tego sprawy, stopniowo przyjmowałem standardy Jezusa, a odrzucałem standardy Allaha. Moje rozstanie z islamem przyspieszała wszechobecna hipokryzja. Islam nauczał, że oddany sługa Allaha, który zginie śmiercią męczeńską, idzie od razu do nieba. Nie jest przesłuchiwany przez dziwacznych aniołów ani torturowany w grobie. Teraz okazało się jednak, że *każdy* zabity przez Izraelczyków - czy to nominalny muzułmanin, czy komunista, czy nawet ateista - traktowany jest jak święty męczennik. Imamowie i szajchowie zapewniali rodziny zmarłych: „Wasi ukochani są teraz w niebie”.

Takie zapewnienia nie miały, rzecz jasna, oparcia w Koranie. Koran wyraźnie mówi o tym, kto zasłużył na niebo, a kto na piekło. Ale nikt się tym nie przejmował. Nie chodziło wcale o prawdę ani o teologię, było to zwykłe kłamstwo serwowane ludziom dla doraźnej korzyści politycznej. Islamscy przywódcy religijni odurzali ludzi kłamstwami, aby uśmierzyć ból i cierpienie, które sami na nich sprowadzili.

Agenci Szin Bet przekazywali mi coraz więcej informacji. Nie mogłem uwierzyć, że wiedzieli tak dużo o osobach z mojego otoczenia - także o starych znajomych, którzy byli teraz groźnymi bojownikami. Niektórzy z moich dawnych kolegów trafili do zbrojnego skrzydła Hamasu. Należał do nich Daja Muhammad Husajn at-Tawil, przystojny młody chłopak, którego wuj był jednym z przywódców Hamasu.

Kiedy jeszcze się kolegowaliśmy, Daja w ogóle nie interesował się religią. Jego ojciec był komunistą, więc Daja nie miał nic wspólnego z islamem. Mama była nominalną muzułmanką stroniącą od wszelkich radykalnych poglądów, siostra natomiast skończyła studia w USA i była dziennikarką - posiadała amerykańskie obywatelstwo, była nowoczesną kobietą i nie nosiła chusty. Rodzina mieszkała w eleganckim domu. Daja studiował inżynierię na Uniwersytecie Birzeit i był najlepszym studentem na roku. O ile mi wiadomo, nigdy w

życiu nie wziął udziału w żadnej demonstracji Hamasu.

Dlatego byłem zszokowany, kiedy dowiedziałem się, że 27 marca 2001 roku Daja wysadził się w powietrze na skrzyżowaniu French Hill w Jerozolimie. Choć nikt inny nie zginął, obrażenia odniosło dwudziestu dziewięciu Izraelczyków.

Daja nie był osobą naiwną, którą można by łatwo do czegoś takiego namówić. Nie był zdesperowanym uchodźcą, który nie miał nic do stracenia. Nie potrzebował pieniędzy. Dlaczego to zrobił? Nikt tego nie rozumiał. Jego rodzice byli wstrząśnięci, ja również. Nawet wywiad izraelski nie wiedział, co o tym myśleć.

Oficerowie Szin Bet wezwali mnie na pilne spotkanie. Pokazali mi zdjęcie głowy oderwanej od ciała i poprosili o zidentyfikowanie zwłok. Zapewniłem ich, że to Daja. W drodze do domu dręczyło mnie pytanie: *Dlaczego?* Chyba nigdy się tego nie dowiem. Nikt niczego nie przeczuwał, nawet jego wuj z Hamasu.

Daja był pierwszym zamachowcem samobójcą podczas Intifady Al-Aksa. Jego atak wskazywał na istnienie jakiejś komórki militarnej działającej zupełnie niezależnie. Izraelczycy z Szin Bet postanowili znaleźć tę komórkę, zanim jej członkowie przypuszczą kolejny atak.

Loai pokazał mi listę podejrzanych. Na samej górze figurowało pięć znanych mi nazwisk. Byli to członkowie Hamasu zwolnieni z więzienia przez władze Autonomii tuż przed rozpoczęciem intifady. Arafat zdawał sobie sprawę, że mogą być niebezpieczni, ale Hamas już prawie dogorywał, więc Arafat nie widział powodu, by dalej ich przetrzymywać.

Mylił się.

Głównym podejrzany był Muhammad Dżamal an-Natsza, który wraz z moim ojcem zakładał Hamas i który w końcu został szefem jego skrzydła zbrojnego na Zachodnim Brzegu. An-Natsza należał do największej rodziny na Terytoriach Okupowanych, więc nie bał się niczego. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i był wojownikiem w każdym calu - twardy, silny i inteligentny. Choć słynął z zajadłej nienawiści do Żydów, w kontakcie osobistym był zaskakująco ciepłym, serdecznym człowiekiem.

Salih Talahma - kolejny podejrzany z listy - był inżynierem elektrotechnikiem, bardzo inteligentnym i świetnie wykształconym. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że w przyszłości zostaniemy bliskimi przyjaciółmi.

Kolejny - Ibrahim Hamid - stał na czele służby bezpieczeństwa na Zachodnim Brzegu. Pozostałe dwie osoby to Sajjid asz-Szajch Kasam i Hasanin Rumana.

Sajjid był wzorowym podwładnym - prostoduszny i posłuszny, a przy tym atletyczny. Z kolei Hasanin był przystojnym młodym artystą, aktywnym działaczem islamskiego ruchu

studenckiego, szczególnie w czasach pierwszej intifady. Mój ojciec, jako jeden z przywódców Hamasu, dokładał wszelkich starań, by zwolniono ich z aresztu i zwrócono stęsknionym rodzinom. W dniu, w którym Arafat wypuścił ich z więzienia, wraz z ojcem odebraliśmy ich spod bramy, upakowaliśmy do naszego samochodu i zawieźliśmy do hotelu Al-Hadžal w Ram Allah.

Gdy Loai pokazał mi listę, byłem zdumiony.

- Słuchaj, znam tych gości. Wiem, gdzie mieszkają. Osobiście zawiozłem ich do kryjówki.

- Poważnie? - Loai uśmiechnął się szeroko. - No to bierzmy się do roboty!

Kiedy razem z ojcem odbieraliśmy Sajjida i Hasanina z więzienia, nie miałem pojęcia, że stali się tak niebezpieczni i że odpowiadają za śmierć wielu Izraelczyków. Teraz jako jedna z nielicznych osób w Hamasie wiedziałem, gdzie przebywają.

Złożyłem im wizytę, wyposażony w najnowsze gadzety szpiegowskie, jakimi dysponowała Szin Bet, aby monitorować każdy ruch i każde słowo. Ale kiedy zaczęliśmy rozmawiać, było jasne, że niczego konkretnego się od nich nie dowiem.

Zwątpiłem, czy to na pewno faceci, których szukamy.

- Coś tu nie gra - powiedziałem Loai.

- Niczego z nich nie wydobyłem. Może to nie ta komórka?

- Możliwe - przyznał - ale oni też mają sporo na sumieniu. Musimy ich dalej obserwować, aż uzyskamy coś wartościowego.

Rzeczywiście mieli bogatą przeszłość, jednak to nie wystarczyło, żeby ich aresztować. Potrzebowaliśmy twardych dowodów, więc cierpliwie zbieraliśmy informacje. Nie chcieliśmy popełnić kardynalnego błędu, zgarniając niewłaściwych ludzi i pozostawiając na wolności prawdziwych terrorystów, którzy mogliby swobodnie podłożyć kolejną bombę.

*

Może moje życie nie było jeszcze wystarczająco skomplikowane, a może wydało mi się to wtedy dobrym pomysłem, w każdym razie w tym samym miesiącu rozpocząłem pracę w Amerykańskiej Agencji ds. Rozwoju Międzynarodowego USAID, w dziale pozyskiwania funduszy dla programu „Woda i instalacje sanitarne dla wsi”. Za tą biurokratyczną nomenklaturą krył się bardzo ważny i pożyteczny projekt. Ponieważ nie miałem dyplomu ukończenia studiów, zacząłem jako recepcjonista.

Jeden z chrześcijańskich znajomych z grupy biblijnej przedstawił mnie pewnemu amerykańskiemu dyrektorowi, który od razu mnie polubił i zaoferował tę pracę. Loai uznał, że będzie to świetna przykrywka dla mojej działalności. Otrzymałem identyfikator z pieczętą

ambasady USA, który upoważniał mnie do swobodnego podróżowania między Izraelem a Palestyną. Poza tym posiadając dobrą pracę, nie musiałem obawiać się podejrzliwych pytań, skąd mam na wszystko pieniądze.

Ojciec bardzo pozytywnie podchodził do tego projektu i był wdzięczny Amerykanom za to, że doprowadzają wodę pitną i budują instalacje sanitarne na terenach wiejskich. Nie zapominał jednak, że to właśnie Amerykanie dostarczają Izraelowi broń, od której giną Palestyńczycy. Takie ambiwalentne uczucia wobec USA żywiła większość Arabów.

Cieszyłem się, że mogę uczestniczyć w największym projekcie w regionie finansowanym ze środków amerykańskich. Media zawsze chętnie podejmują temat niepodległości, odszkodowań czy podziału ziemi. Ale na Bliskim Wschodzie woda jest znacznie ważniejsza od ziemi. Ludzie walczyli o wodę już od czasów Abrahama, gdy jego słudzy kłócili się z pasterzami jego bratanka, Lota, o dostęp do studni. Głównym źródłem zaopatrzenia w wodę dla Izraela i Terytoriów Okupowanych jest Jezioro Galilejskie, zwane także Jeziorem Genezaret lub Jeziorem Tyberiadzkim. Jest to najniżej położony zbiornik słodkowodny na ziemi.

W biblijnej Ziemi Obiecanej woda zawsze stanowiła złożony problem. Jeśli chodzi o współczesny Izrael, sytuacja zmieniała się wraz z przesuwanymi się granicami państwa. Na przykład jednym ze skutków wojny sześciodniowej z 1967 roku było zajęcie przez Izrael Wzgórz Golan, które poprzednio należały do Syrii. Tym samym Izraelczycy przejęli kontrolę nad całym Jeziorem Galilejskim, nad rzeką Jordan oraz nad wszystkimi źródłami i strumieniami przepływającymi przez Jezioro Galilejskie. Łamiąc prawo międzynarodowe, Izrael przekierował wodę Jordanu z Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy do tak zwanego Narodowego Systemu Wodnego. System ten zapewnia izraelskim obywatelom i osadnikom dostęp do wody, która w ponad trzech czwartych pochodzi z warstw wodonośnych Zachodniego Brzegu. To tłumaczy, dlaczego Stany Zjednoczone wydały do tej pory setki milionów dolarów na kopanie studni i tworzenie niezależnych źródeł wody dla mojego narodu.

Zatrudnienie w USAID było dla mnie czymś więcej niż tylko przykrywką. Zaprzyjaźniłem się z ludźmi, z którymi tam pracowałem. Czułem, że jest w tym wszystkim Boży palec. USAID z zasady nie zatrudnia osób aktywnych politycznie, nie mówiąc już o synu człowieka, który prowadzi jedną z największych organizacji terrorystycznych. Z pewnych względów mój szef postanowił mnie jednak zatrzymać. Już wkrótce nadarzyła się okazja, żebym mógł się odwdziżyć za życzliwe potraktowanie.

Ponieważ trwała intifada, władze amerykańskie pozwalały swoim obywatelom

przebywać na terenie Zachodniego Brzegu wyłącznie w ciągu dnia i tylko w godzinach pracy. Wiązało się to jednak z koniecznością przejazdu przez niebezpieczne posterunki. W rzeczywistości byłoby dla Amerykanów bezpieczniej, gdyby mieszkali na Zachodnim Brzegu. Tymczasem każdego dnia zaliczali wiele punktów kontrolnych, pędząc ulicami w amerykańskich dżipach, które na domiar złego oznaczono żółtymi izraelskimi tablicami. A przeciętny Palestyńczyk nie odróżniał tych obcokrajowców, którzy przynosili nam pomoc, od tych, którzy przychodzili zabijać.

Gdy armia izraelska planowała niebezpieczną operację, zawsze ostrzegała pracowników USAID, żeby zdążyli się w porę ewakuować. Ale Szin Bet, jak przystało na tajną służbę, nie wydawała tego rodzaju ostrzeżeń. Na przykład kiedy otrzymywaliśmy informację o jakimś uciekinierze przedzierającym się z Dzeninu do Ram Allah, rozpoczynaliśmy operację bez zapowiedzi.

Ram Allah jest małym miastem. W trakcie operacji antyterrorystycznych oddziały sił bezpieczeństwa nacierały jednocześnie ze wszystkich stron. Ludzie barykadowali ulice, zastawiając je samochodami i ciężarówkami, palili opony. W powietrzu unosił się czarny, duszący dym. Uzbrojeni mężczyźni przebiegali skuleni między kolejnymi kryjówkami, strzelając do każdego, kto wszedł im w drogę. Młodzi chłopcy rzucali kamieniami. Dzieci płakały. Syreny karetek pogotowia zagłuszały krzyk kobiet i odgłosy wystrzałów.

Wkrótce po tym, jak zacząłem pracować dla USAID, Loai powiadomił mnie, że następnego dnia w Ram Allah zjawią się oddziały specjalne. Zadzwoiłem do mojego amerykańskiego kierownika i ostrzegłem go, żeby ani on, ani nikt z jego ludzi nie wybierali się tego dnia do miasta. Powiedziałem, że nie mogę zdradzić, skąd mam te informacje, ale poprosiłem, by mi zaufał. Tak też zrobił.

Pewnie założył, że jako syn Hasana Jusufa mam swoje źródła w Hamasie.

Nazajutrz Ram Allah stanęło w ogniu. Po ulicach biegali bojownicy, którzy strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Płonęły samochody, rozbijano witryny sklepów, które następnie plądrowali szabrownicy. Gdy mój szef obejrzał wiadomości, zadzwonił do mnie.

- Musab, bardzo cię proszę, informuj mnie, jeśli tylko dowiesz się, że znów szykuje się coś podobnego.

- Nie ma sprawy - odpowiedziałem. - Pod jednym warunkiem. Nie będzie pan zadawał pytań. Jeśli powiem, żebyście nie przyjeżdżali, po prostu zostańcie w domu.

19

BUTY

2001

Druga intifada toczyła się nieprzerwanie, pochłaniając kolejne ofiary 28 marca 2001 roku zamachowiec samobójca zabił dwóch nastolatków na stacji benzynowej. 22 kwietnia kolejny fanatyk zdetonował bombę na przystanku autobusowym, zabijając jedną osobę i raniąc kilkadziesiąt. 18 maja pięciu cywilów zginęło, a ponad stu odniosło obrażenia w zamachu bombowym przy centrum handlowym w Netanii. 1 czerwca przed północą grupa nastolatków stała w kolejce do „Delfinarium”, popularnej dyskoteki w Tel Awiwie. Rozmawiali, śmiali się i wygłupiali. Większość pochodziła z byłego Związku Radzieckiego, a ich rodzice niedawno emigrowali do Izraela. W kolejce ustawił się także Said Hutari, Palestyńczyk, nieco starszy od pozostałych osób oczekujących przed wejściem. Był owinięty w pas zawierający materiał wybuchowy i metalowe odłamki.

Po ataku na „Delfinarium” gazety nie pisały o zamachu samobójczym, lecz o masakrze. Wielu nastolatków zostało porozrywanych na strzępy przez łożyska kulkowe i ogromną siłę wybuchu. Liczba ofiar była wyjątkowo duża: dwudziestu jeden zabitych, stu trzydziestu rannych.

Jeszcze nigdy żadnemu zamachowcowi nie udało się zabić tyłu Izraelczyków naraz. Sąsiedzi Hutariego na Zachodnim Brzegu gratulowali jego ojcu.

- Mam nadzieję, że moi pozostali trzej synowie zrobią to samo - powiedział pan Hutari dziennikarzowi. - Chciałbym, żeby wszyscy członkowie mojej rodziny i wszyscy krewni oddali życie za naród i ojczyznę⁷.

Izraelczycy z zawziętą determinacją przystąpili do „odcinania głowy wężowi”. Na tym etapie powinni byli już jednak rozumieć, że skoro aresztowanie przywódców palestyńskich nie powstrzymało przelewu krwi, ich likwidacja też nic nie da.

Dżamal Mansur był dziennikarzem i należał do grona założycieli Hamasu wspólnie z moim ojcem. Był zresztą jednym z jego najbliższych przyjaciół. Razem przebywali na wygnaniu w południowym Libanie. Prawie codziennie rozmawiali ze sobą przez telefon. Mansur był także głównym orędownikiem zamachów bombowych. W styczniowym wywiadzie dla „Newsweeka” usprawiedliwiał zabijanie nieuzbrojonych cywilów i wychwalał

zamachowców.

We wtorek 31 lipca, po otrzymaniu wskazówki od kolaboranta, dwa helikoptery Apache zbliżyły się do budynku, w którym mieściła się redakcja Mansura w Nablusie. Piloci wystrzelili trzy naprowadzane laserowo pociski w okno jego biura na drugim piętrze. Mansur, kolejny przywódca Hamasu Dżamal Salim oraz sześciu innych Palestyńczyków spłonęło w wyniku eksplozji. Wśród ofiar znalazło się dwoje dzieci w wieku ośmiu i dziesięciu lat, które siedziały w poczekalni u lekarza piętro niżej. Zostały przygniecione spadającym gruzem.

To było szaleństwo. Zadzwoiłem do Loai.

- Co się dzieje, na Boga? Jesteście pewni, że ci ludzie mieli coś wspólnego z zamachami? Wiem, że popierali ataki, ale należeli do skrzydła politycznego, jak mój ojciec, a nie militarnego.

- Jesteśmy pewni. Ustaliliśmy, że Mansur i Salim byli bezpośrednio zaangażowani w masakrę w „Delfinariu”. Mieli krew na rękach. Nie było innego wyjścia.

Co miałem zrobić? Klócić się z nimi? Przekonywać, że się pomylili? Nagle zdałem sobie sprawę, że na celowniku rządu izraelskiego musi się znajdować także mój ojciec. Chociaż nie organizował zamachów, był z nimi kojarzony. Poza tym posiadał informacje, które mogły uratować życie ludzkie, i nie ujawniał ich. Miał wpływy, ale z nich nie korzystał. Mógł próbować powstrzymać zabijanie, ale tego nie czynił. Wspierał ruch oporu i zachęcał jego członków do podejmowania kolejnych akcji, dopóki Izrael nie zostanie zmuszony do wycofania się. Z punktu widzenia Izraelczyków on także był terrorystą.

Dzięki lekturze Biblii zacząłem oceniać działania ojca w świetle nauczania Jezusa, nie Koranu. Stopniowo przestawałem w nim dostrzegać bohatera, a to łamało mi serce. Chciałem mu opowiedzieć o swoich odkryciach, ale wiedziałem, że nie zechce słuchać. Rozumiałem, że jeśli Izraelczycy postawią na swoim, ojciec nie zdąży już przekonać się, że islam sprowadził go na niewłaściwą ścieżkę.

Pocieszałem się, że dzięki moim koneksjom w Szin Bet ojciec jest przynajmniej na jakiś czas bezpieczny. Potrzebowali go żywego, podobnie jak ja, choć oczywiście z zupełnie innych powodów. Nieświadomy niczego, za moim pośrednictwem był ich głównym źródłem informacji na temat poczynąń Hamasu. Rzecz jasna, nie mogłem mu tego wyjawić. Zresztą nawet ochrona Szin Bet ostatecznie mogła okazać się dla niego niebezpieczna. W końcu wydałoby się podejrzane, że ojciec chodzi swobodnie po mieście, podczas gdy pozostali liderzy Hamasu muszą się ukrywać. Postanowiłem stworzyć jakieś pozory, żeby go chronić. Natychmiast poszedłem do jego biura i powiedziałem mu, że to, co się właśnie stało z Mansurem, może przydarzyć się i jemu.

- Odpraw wszystkich, pozbadź się ochrony. Zamknij biuro i nigdy tu nie wracaj.

Jego odpowiedź mnie nie zdziwiła.

- Nie martw się, Musab, wstawimy metalowe okiennice.

- Oszalałeś? Uciekaj stąd natychmiast! Ich pociski przebijają czołgi i ściany budynków, a ty myślisz, że ochroni cię kawałek metalu? Jeśli szczelnie zabezpieczysz okna, dostaną się przez sufit. Uciekajmy stąd!

Trudno go było winić, że się opierał. Był przywódcą religijnym i politycznym, a nie żołnierzem. Nie miał zielonego pojęcia o operacjach wojskowych ani o zamachach dokonywanych przez Izraelczyków. Nie wiedział tego wszystkiego co ja. W końcu, niechętnie, zgodził się ze mną pójść.

Najwyraźniej nie ja jeden uważałem, że stary przyjaciel Mansura, Hasan Jusuf, może być następnym celem. Gdy szliśmy ulicą, przechodnie sprawiali wrażenie zaniepokojonych. Przyspieszali kroku, nerwowo spoglądali na niebo i oddalali się od nas jak najszybciej. Wiedziałem, że tak jak ja nasłuchują uważnie warkotu nadlatujących helikopterów. Nikt nie chciał zostać przypadkową ofiarą operacji wojskowej.

Zawiozłem ojca do hotelu City Inn i kazałem mu tam zostać.

- Recepcjonista będzie ci zmieniał pokój co pięć godzin. Masz się go słuchać. Nikogo nie zapraszaj do pokoju, do nikogo oprócz mnie nie dzwoń i nie opuszczaj tego miejsca. Masz tu bezpieczny telefon.

Gdy tylko wyszedłem, zawiadomiłem Szin Bet, gdzie przebywa ojciec.

- Dobrze, w porządku. Trzymaj go tam z daleka od kłopotów.

Żeby to zrobić, musiałem cały czas mieć ojca na oku i znać każdy jego ruch. Odprawiłem wszystkich jego ochroniarzy, bo nie mogłem im ufać. Tato musiał całkowicie zdać się na mnie. W przeciwnym razie z pewnością popełniłby błąd, który kosztowałby go życie. Stałem się jego prawą ręką i aniołem stróżem. Zająłem się wszystkimi jego potrzebami. Obserwowałem, co się działo w pobliżu hotelu. Za moim pośrednictwem ojciec kontaktował się ze światem zewnętrznym. Nowy układ miał tę dodatkową zaletę, że chronił mnie przed ewentualnymi podejrzeniami o szpiegostwo.

Zacząłem grać rolę przywódcy Hamasu. Nosilem przy sobie karabin M16, który świadczył o zamożności, koneksjach i autorytecie. W tamtym czasie było duże zapotrzebowanie na tego rodzaju broń, a trudno ją było dostać - mój karabin szturmowy kosztował dziesięć tysięcy dolarów.

Bojownicy ze zbrojnego skrzydła Hamasu zaczęli się pokazywać w moim towarzystwie, żeby zaimponować innym. A ponieważ zakładali, że znam wszystkie tajemnice

organizacji, czuli się swobodnie i zwierali mi się ze swoich problemów i frustracji, wierząc, że mogę im jakoś pomóc.

Słuchałem uważnie. Nie mieli pojęcia, że dostarczają mi fragmenty układanki, z których buduję większy obraz. Zdobyte przeze mnie informacje doprowadziły do wielu operacji Szin Bet, których nie byłbym w stanie opisać w jednej książce. Dzięki tym na pozór mało znaczącym rozmowom udało się udaremnić wiele zamachów i ocalić życie setek niewinnych ludzi.

Zdobyłem zaufanie i szacunek w skrzydle militarnym, a jednocześnie zostałem łącznikiem Hamasu z innymi ugrupowaniami palestyńskimi. To ja byłem osobą, do której zwracali się bojownicy z innych frakcji, by dostarczyć im materiały wybuchowe i skoordynować ich akcje: z działaniami Hamasu.

Pewnego dnia Ahmad al-Faransi, współpracownik Marwana Barghutiego, poprosił mnie, bym załatwił mu ładunki wybuchowe dla kilku zamachowców z Dzeninu. Zgodziłem się i podjąłem grę - przeciągałem ją tak długo, aż udało nam się zdemaskować komórkę zamachowców na Zachodnim Brzegu. Takie gry były bardzo niebezpieczne, wiedziałem jednak, że jestem zabezpieczony z kilku stron. Status najstarszego syna szajcha Hasana Jusufa, który uchronił mnie od hamasowskich tortur w więzieniu, teraz chronił mnie, gdy obracałem się wśród terrorystów. Także praca dla USAID dawała mi pewne alibi. A Szin Bet zawsze zabezpieczała tyły.

Jednak każdą pomyłkę mogłem przypłacić życiem. Musiałem też uważać na władze Autonomii Palestyńskiej. Dysponowały wysokiej klasy elektronicznym sprzętem szpiegowskim udostępnionym przez CIA. Używano go do tropienia terrorystów, ale także do wykrywania kolaborantów. Zachowywałem szczególną ostrożność, żeby nie narazić się władzom Autonomii, zwłaszcza że wiedziałem o działalności Szin Bet znacznie więcej niż inni agenci.

Ponieważ do mojego ojca można było dotrzeć tylko przeze mnie, utrzymywałem bezpośrednie kontakty ze wszystkimi przywódcami Hamasu na Zachodnim Brzegu, w Strefie Gazy i w Syrii. Tak szerokie kontakty miała jeszcze tylko jedna osoba - Chalid Maszal z Damaszku. Maszal urodził się na Zachodnim Brzegu, ale większość życia spędził w innych krajach arabskich. Przyłączył się do Bractwa Muzułmańskiego w Kuwejcie, gdzie studiował fizykę. Gdy narodził się Hamas, został przywódcą komórki w Kuwejcie. Po inwazji irackiej przeniósł się do Jordanii, potem do Kataru, a w końcu do Syrii.

Jako mieszkaniec Damaszku mógł swobodnie podróżować, w przeciwieństwie do przywódców Hamasu na Terytoriach Okupowanych. Zaczął więc odgrywać rolę dyplomaty,

reprezentującego Hamas w Kairze, w Moskwie i na forum Ligi Arabskiej. Podczas swoich podróży gromadził fundusze. W kwietniu 2006 roku zebrał sto milionów dolarów w Iranie i Katarze.

Maszal nie pokazywał się publicznie, mieszkał w kryjówkach i nie mógł wrócić na Terytoria Okupowane z obawy przed zamachem. Był ostrożny nie bez powodu.

W 1997 roku, gdy Maszal wciąż przebywał w Jordanii, kilku izraelskich agentów włamało się do jego pokoju, gdy spał. Jeden z nich wlał mu do ucha rzadko spotykaną truciznę. Ochroniarze zauważyli agentów opuszczających budynek i jeden z nich poszedł sprawdzić, co z Maszalem. Nie zauważył krwi ani śladów walki, ale Maszal leżał na ziemi i nie mógł mówić. Pozostali ochroniarze pobiegli za agentami izraelskimi. Podczas ucieczki jeden z Izraelczyków wpadł do kanału. W końcu wszyscy zostali zatrzymani przez jordańską policję.

Izrael właśnie podpisał porozumienie pokojowe z Jordanią i oba państwa nawiązały kontakty dyplomatyczne. Nieudana próba zamachu naraziła na szwank nowo zawarty układ. Członkowie Hamasu wstydzili się, że tak łatwo można było podejść jednego z jego głównych liderów. Sytuacja była kłopotliwa dla wszystkich stron, więc próbowano ją wyciszyć. Jednak w jakiś sposób informacja przedostała się do zagranicznych mediów i została nagłośniona.

Na ulice Jordanii wyszli demonstranci. Król Husajn zażądał, aby w zamian za skompromitowanych agentów Mossadu Izrael uwolnił szajcha Ahmada Jasina, duchowego przywódcę Hamasu, i innych więźniów palestyńskich. Dodatkowo zażądano, by Mossad natychmiast przysłał zespół medyczny, który poda Maszalowi antidotum na truciznę. Izraelczycy niechętnie przystali na te warunki.

Chalid Maszal dzwonił do mnie przynajmniej raz w tygodniu. Zdarzało się nawet, że wychodził z ważnego spotkania, żeby odebrać mój telefon. Pewnego dnia agenci Mossadu skontaktowali się z Szin Bet.

- W Ram Allah pojawił się jakiś niebezpieczny człowiek, który co tydzień rozmawia z Chalidem Maszalem. Nie możemy go namierzyć!

Oczywiście chodziło o mnie. Trochę nas to rozbawiło, ale oficerowie Szin Bet nie ujawnili Mossadowi mojej tożsamości. Chyba w każdym kraju toczy się cicha rywalizacja między poszczególnymi służbami - tak jak między Federalnym Biurem Śledczym (FBI), Centralną Agencją Wywiadowczą (CIA) i Narodową Agencją Bezpieczeństwa (NSA) w Stanach Zjednoczonych.

Postanowiłem wykorzystać znajomość z Maszalem. Powiedziałem mu, że mam bardzo ważną informację, której nie mogę zdradzić przez telefon.

- Czy możesz przekazać mi ją w inny sposób? - zapytał.

- Oczywiście. Zadzwoń za tydzień i podam ci szczegóły.

Tajna komunikacja między Terytoriami a Damaszkiem polegała na tym, że wysyłało się list przez osobę, która nie była notowana i oficjalnie nie miała żadnych związków z Hamasem. Takie listy pisane były na cienkim papierze, który następnie zwijano do minimalnych rozmiarów i wkładano do pustej kapsułki po lekarstwie lub szczelnie owijano nylonową nitką. Tuż przed przekroczeniem granicy kurier połykał kapsułkę, po czym zwracał ją w toalecie po drugiej stronie. Czasami jedna osoba przemyślała w ten sposób nawet kilkadziesiąt listów jednocześnie. Oczywiście kurierzy nie mieli pojęcia, co znajduje się w listach.

Postanowiłem użyć innej metody i otworzyć nowy kanał kontaktowy z przywództwem za granicą, a przez to poszerzyć swoje pole działania z poziomu osobistego do operacyjnego i wywiadowczego.

W Szin Bet mój pomysł bardzo się spodobał.

Wybrałem miejscowego członka Hamasu i umówiłem się z nim na spotkanie w środku nocy na starym cmentarzu. Żeby mu zaimponować, pokazałem się z moim M16.

- Mam dla ciebie bardzo ważną misję - oznajmiłem.

Wyraźnie przerażony, ale zarazem podekscytowany, chłonał każde słowo z ust syna Hasana Jusufa.

- Nie możesz nikomu nic zdradzić. Ani rodzinie, ani nawet twojemu przełożonemu w Hamasie. A właściwie, kto nim jest?

Poprosiłem, żeby opisał szczegółowo swoją dotychczasową karierę w Hamasie, wszystko, co wie, zanim powiem mu więcej na temat zadania. Nie nadażał z przelewaniem myśli na papier. A ja nie mogłem uwierzyć, że przekazał mi tyle cennych danych, łącznie z najświeższymi informacjami o wszystkich aktualnych manewrach w rejonie.

Na drugim spotkaniu powiedziałem mu, że zostanie wysłany poza Palestynę.

- Rób dokładnie to, co ci powiem - ostrzegłem - i nie zadawaj pytań.

Wy tłumaczyłem Loai, że chłopak od dawna działa w Hamasie, więc jeśli przywódcy ugrupowania zechcą go sprawdzić, stwierdzą, że jest lojalnym członkiem. Oficerowie Szin Bet przeprowadzili niezależną weryfikację, zatwierdzili plan i pozwolono mojemu człowiekowi przekroczyć granicę.

Napisałem list do Chalida Maszala, w którym zapewniłem go, że pociągam za wszystkie sznurki na Zachodnim Brzegu i że może całkowicie na mnie polegać, jeśli trzeba będzie przeprowadzić jakąś specjalną, skomplikowaną operację, której nie może powierzyć

zwykłym kontaktom w Hamasie. Zadeklarowałem, że jestem do dyspozycji, gotowy na jego rozkazy.

To był idealny moment na taki ruch, ponieważ Izraelczycy zabili lub aresztowali większość przywódców i aktywnych działaczy Hamasu. Brygady Al-Kasam były wyczerpane, a Maszaliowi rozpaczliwie brakowało ludzi.

Nie kazałem jednak kurierowi połykać listu. Opracowałem alternatywną metodę, żeby wprowadzić nieco urozmaicenia. Szpiegowanie coraz bardziej mnie bawiło, zwłaszcza że wywiad izraelski zabezpieczał mnie i torował mi drogę.

Kupiliśmy kurierowi eleganckie ubranie - cały strój, łącznie z butami. Kurier nie zdawał sobie sprawy, że właśnie w butach ukryłem list.

Ubrał się, dałem mu pieniądze na podróż i dorzuciłem premię, żeby rozerwał się w Syrii. Uprzedziłem, że jego kontakt ma go rozpoznać po butach, więc musi je mieć na nogach. W przeciwnym razie wezmą go za kogoś innego i znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie.

Gdy kurier dotarł do Syrii, zadzwoniłem do Maszala z informacją, że wkrótce ktoś się z nim skontaktuje. Gdyby usłyszał to od kogokolwiek innego, natychmiast nabrałby podejrzeń i odmówiłby spotkania. Ale tego łącznika przysłał przecież jego młody przyjaciel, syn Hasana Jusufa. Maszal uwierzył, że nie musi się niczego obawiać.

Gdy się spotkali, Chalid poprosił o list.

- Jaki list? - spytał kurier. Nie wiedział, że ma dostarczyć przesyłkę.

Dałem Chalidowi wskazówkę, gdzie szukać, więc znaleźli skrytkę w jednym z butów. Tym samym ustanowiliśmy nowy kanał komunikacyjny z Damaszkiem. Maszal nie miał jednak pojęcia, że został właśnie namierzony przez Szin Bet.

20

DYLEMAT

LATO 2001

9 sierpnia 2001 roku, tuż przed godziną czternastą, dwudziestodwuletni Iz ad-Din Szuhajl al-Masri wysadził się w powietrze w zatłoczonej pizzerii Sbarro u zbiegu ulic Króla Jerzego i Jaffy w Jerozolimie. Al-Masri pochodził z zamożnej rodziny z Zachodniego Brzegu.

W tłum wakacyjnych spacerowiczów wystrzeliło z impetem kilka kilogramów materiału wybuchowego zawierającego gwoździe, śruby i nakrętki. Piętnaście osób zginęło, a sto trzydzieści odniosło obrażenia. To tragiczne wydarzenie, do którego doszło raptem kilka miesięcy po równie krwawym ataku w dyskotecę „Delfinarium”, przepełniło czarę goryczy i oburzenia w Izraelu. Niezależnie od tego, która grupa czy frakcja stała za tymi zamachami, należało ją koniecznie zidentyfikować i powstrzymać, aby nie ginęli kolejni niewinni ludzie. W przeciwnym razie w całym regionie mogło dojść do rozkręcenia spirali przemocy na bezprecedensową skalę.

Agenci Szin Bet wielokrotnie analizowali każdy szczegół zamachów w „Delfinarium” i w pizzerii Sbarro, próbując je powiązać z pięcioma ukrywającymi się mężczyznami - Muhammadem Dżamalem an-Natszą, Salihem Talahmą, Ibrahimem Hamidem, Sajjidem asz-Szajchem Kasamem i Hasaninem Rumaną. Jednak nie potrafili znaleźć właściwego tropu.

Kto mógł wyprodukować te bomby? Z pewnością nie byli to studenci chemii czy inżynierii. Każdy taki student był stale obserwowany, wiedzieliśmy, jakie ma stopnie i co zjadł dziś na śniadanie.

Konstruktor tych bomb był ekspertem, najwyraźniej nie należał do żadnej frakcji palestyńskiej i poruszał się poza zasięgiem naszego radaru. Ten człowiek był wyjątkowo groźny i wiedzieliśmy, że musimy go dopaść, zanim wyprodukuje kolejne bomby.

Nie wiedzieliśmy wówczas, że wkrótce po ataku na pizzerię Sbarro ludzie Arafata otrzymali telefon z CIA.

- Wiemy, kto konstruuje bomby - powiedzieli Amerykanie. - Nazywa się Abd Allah Barghuti, mieszka z kuzynem Bilalem Barghutim. Macie tu adres i aresztujcie ich.

W ciągu kilku godzin Abd Allah i Bilal Barghuti znaleźli się w areszcie. Nie żeby władzom Autonomii jakoś specjalnie na tym zależało. Arafat wiedział jednak, że musi

zachować pewne pozory, żeby nie pozbawić się pieniędzy i pomocy logistycznej oferowanej przez Waszyngton. Moim zdaniem Arafat wolałby raczej przyznać Barghutiemu medal, a nie wyrok więzienia.

Gdy tylko Abd Allah znalazł się w kwaterze głównej sił prewencji, zjawił się tam kolejny Barghuti - Marwan - żeby go wyciągnąć. Ale władze Autonomii Palestyńskiej nie mogły tak po prostu zwolnić Abd Allaha - CIA im go wystawiła i teraz Amerykanie oczekiwali, że Palestyńczycy się nim zajmą. Tego samego żądał Izrael, który z pewnością podjąłby zdecydowane działania, gdyby władze Autonomii nie dopełniły swoich obowiązków. Dlatego Marwan zaopatrzył Abd Allaha w jedzenie, ubranie i pieniądze. Wystarał się też dla niego o komfortowe warunki aresztu. Abd Allah mógł swobodnie korzystać z eleganckiego gabinetu, palić, pić kawę i ucinać sobie pogawędki z wysoko postawionymi oficerami służby bezpieczeństwa.

Marwan i Abd Allah Barghuti nie byli spokrewnieni, ale łączyły ich wspólne interesy i znajomości. Obaj znali się na przykład z dwudziestotrzyletnim Muhanadem Abu Halawą, asystentem Ahmada Ghandura.

Halawa był dowódcą polowym Fatah i członkiem Jednostki 17. Oddziały elitarne, takie jak „siedemnastka” czy Gwardia Republikańska Saddama Husajna, kojarzą się z dyscypliną, sprawnością i świetnym wykształceniem. Halawa nie pasował jednak do tego obrazu. Nie miał żadnego wykształcenia, nie respektował zasad, nikogo się nie słuchał. Był jak spuszczonego z łańcucha wściekły pies. Często obnosił się z wielkim karabinem maszynowym, jaki zwykle montuje się na samochodach terenowych. Regularnie rozprawiał broń wśród ekstremistów i różnych typów spod ciemnej gwiazdy, którzy potem urządzali sobie rajdy po punktach kontrolnych, strzelając tak do żołnierzy, jak i do cywilów.

Kilka miesięcy wcześniej Halawa dał jakiemuś mężczyźnie dwa karabiny AK47 i worek naboju. Wkrótce potem ten człowiek i jego kolega zaczęli się przy drodze wyjazdowej z Jerozolimy i zastrzelili greckiego mnicha prawosławnego Tsibouktsakisa Germanusa - wpakowali w niego trzynaście kul. Halawa nagroził ich za to większą ilością broni, która miała się przydać w planowanym przez niego ataku na Uniwersytet Hebrajski na Górze Skopus.

Ze zrozumiałych względów rząd izraelski wywierał naciski na Szin Bet, żeby wyeliminować Halawę. Byłem jedynym współpracownikiem Szin Bet, który mógł pomóc w jego zidentyfikowaniu, ponieważ miałem odpowiednie znajomości w Hamasie. Jednak po raz pierwszy w życiu stanąłem przed prawdziwym dylematem moralnym. W głębi duszy nie zgadzałem się na zabicie tego człowieka, bez względu na to, jak bardzo był zły.

Wróciłem do domu i wyjąłem moją Biblię, mocno już sfatygowaną od częstego kartkowania. Przeszukiwałem ją usilnie, ale nie znajdowałem niczego, co usprawiedliwiłoby morderstwo. Jednak nie chciałem też brać na siebie odpowiedzialności za śmierć niewinnych osób, gdybyśmy pozwolili Halawie kontynuować działalność i strzelać do ludzi. Nie widziałem dobrego wyjścia z tej sytuacji.

Nie przestawałem o tym myśleć i modliłem się do Boga, aż w końcu powiedziałem: Przebacz mi, Panie, to, co zamierzam zrobić. Przebacz mi. Ten człowiek nie może pozostać przy życiu.

- Świetnie - powiedział Loai, kiedy go poinformowałem o swojej decyzji. - Zajmiemy się nim. Ty się tylko postaraj, żeby Marwan Barghuti nie znalazł się z nim w jednym samochodzie.

Marwan nie był tylko grubą rybą w Palestynie, był także terrorystą odpowiedzialnym za śmierć wielu Izraelczyków. Oficerowie Szin Bet nienawidzili go, ale nie chcieli, żeby zginął w zamachu i został otoczony kultem męczennika.

4 sierpnia 2001 roku obserwowałem biuro Barghutiego. W pewnym momencie zobaczyłem, że do budynku wchodzi Halawa. Kilka godzin później wyszedł, wsiadł do swojego golfa i odjechał. Skontaktowałem się z Szin Bet i zapewniłem, że jest sam.

Samochód Halawy obserwowali również żołnierze izraelscy z czołgu stacjonującego na pobliskim wzgórzu. Czekali na możliwość oddania czystego strzału, kiedy nie będzie w pobliżu żadnych cywilów. Pierwszy pocisk przeciwpancerny wystrzelili w kierunku przedniej szyby auta, ale Halawa musiał go zauważyć, bo otworzył drzwi i próbował wyskoczyć. Nie zdążył - siła wybuchu wyrzuciła go z auta. Mój samochód, który stał kilkaset metrów dalej, zadrżał od eksplozji. Drugi pocisk chybił i uderzył w ulicę. Golf stanął w płomieniach, Halawa też się palił - ale przeżył. Patrzyłem, jak biegnie przez ulicę, krzycząc z bólu, gdy płomienie ogarniały jego ciało. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Co myśmy narobili?

- Zwariowałeś! - oficer Szin Bet wrzasnął mi do ucha przez komórkę. Zauważyli mój samochód w pobliżu miejsca zdarzenia. - Chcesz zginąć? Zwijaj się stamtąd!

Wiedziałem, że nie powinienem zbliżać się do miejsca operacji, ale zależało mi na tym, żeby zobaczyć, co się stanie. Czuję się zobligowany, by śledzić przebieg zamachu, do którego przyłożyłem rękę. Postąpiłem głupio. Gdyby ktoś mnie zauważył, z pewnością zostałbym zdemaskowany. Byłby to zbyt podejrzany zbieg okoliczności, żeby ktokolwiek uwierzył, że nie miałem nic wspólnego z całą akcją.

Tego wieczoru razem z ojcem i Marwanem Barghutim odwiedziliśmy Halawę w

szpitalu. Miał tak poparzoną twarz, że nie mogłem na nią patrzeć. Wszystko wskazywało jednak na to, że jakimś cudem przeżyje.

Halawa ukrywał się przez kilka miesięcy. Później krążyła pogłoska, że przypadkowo się postrzelił i niemal wykrwawił na śmierć. Ale nawet wtedy nie wyhamował, dalej zabijał ludzi. Którego dnia zadzwonił do mnie Loai.

- Gdzie jesteś?

- W domu.

- To dobrze, nie ruszaj się stamtąd.

Nie pytałem, co się dzieje. Nauczyłem się słuchać instrukcji Loai. Kilka godzin później znów zadzwonił. Okazało się, że Halawa spotkał się ze znajomymi w restauracji w pobliżu mojego domu. Wypatrzył go tam izraelski agent, który potwierdził jego tożsamość. Gdy Halawa z przyjaciółmi wyszli z lokalu, nadleciały dwa helikoptery, wystrzeliły rakiety i było po wszystkim.

Po zamachu w restauracji zjawili się członkowie Brygad Męczenników Al-Aksa. Znaleźli siedemnastoletniego chłopca, który jako jeden z ostatnich widział Halawę, zanim ten wsiadł do samochodu. Chłopak był sierotą, nie miał rodziny, która mogłaby go obronić, więc wzięli go na przesłuchanie i torturami wymusili przyznanie się do współpracy z Izraelczykami. Zastrzelili go, po czym przywiązali jego ciało do samochodu i ciągnęli je ulicami Ram Allah, a potem powiesili na wieży w rynku.

W tym samym czasie media podniosły raban, że Izrael próbował zlikwidować Marwana Barghutiego, co oczywiście było nieprawdą. „Firma” bardzo uważała, żeby Marwanowi nic się przypadkiem nie stało. Wszyscy uwierzyli jednak gazetom i stacji Al-Dżazira, więc Marwan postanowił zbić przy tej okazji polityczny kapitał. Zaczął się przechwalać:

- Tak, próbowali mnie zlikwidować, ale ich przechrzyłem! Przebywający w tym czasie w więzieniu Abd Allah Barghuti również uwierzył w tę wersję. Zlecił przekazanie asystentowi Marwana kilku bomb, które skonstruował z myślą o krwawym rewanżu na Izraelczykach. Marwan docenił gest Abd Allaha i czuł się wobec niego zobowiązany.

*

Pojawienie się na scenie Abd Allaha miało duży wpływ na przebieg konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Po pierwsze, bomby jego produkcji były nieporównywalnie bardziej zaawansowane i miały większą siłę rażenia niż wszystko, co widzieliśmy dotąd. Ogromna skala ofiar pociągała za sobą coraz silniejszą presję wywieraną przez społeczeństwo na rząd, by położył kres zamachom.

Po drugie, Intifada Al-Aksa rozlała się poza Palestynę. Barghuti był człowiekiem z zewnątrz, urodzonym w Kuwejcie. Kto mógł przewidzieć, jakie nowe zagrożenia czyhają na Izraelczyków poza granicami kraju?

Po trzecie, Barghuti nie był człowiekiem łatwym do wyśledzenia. Nie należał do Hamasu. Nie łączyły go ściśle związki z władzami Autonomii. Był po prostu anonimową, niezależną od nikogo maszyną śmierci.

Wkrótce po aresztowaniu Abd Allaha władze Autonomii poprosiły Marwana, by porozmawiał z nim o wszystkich planowanych atakach.

- Dobrze - odpowiedział Marwan. - Poślę do niego Hasana Jusufa.

Marwan wiedział, że mój ojciec ma zdecydowane poglądy na temat korupcji wśród polityków. Słyszał też o jego wysiłkach zmierzających do zawarcia porozumienia między Hamasem i władzami Autonomii. Zadzwoił do ojca, a ten zgodził się pomóc.

Ponieważ Abd Allah nie był członkiem Hamasu, ojciec nigdy wcześniej o nim nie słyszał. Ostrzegł go jednak surowo:

- Jeśli coś zaplanowałeś, musisz o tym opowiedzieć władzom Autonomii! Trzeba zatrzymać zamachy przynajmniej na kilka tygodni, żeby presja ze strony Izraela trochę zelżała. Jeśli wybuchnie kolejna bomba podobna do tej z „Delfinarium” czy pizzerii Sbarro, Izraelczycy wkroczą na Zachodni Brzeg. Zabiorą się za przywódców Autonomii i zrobią też porządek z tobą.

Abd Allah przyznał się, że posłał kilka bomb do Nablusu, gdzie grupa bojowników przygotowywała zamach na izraelskiego ministra spraw zagranicznych Szymona Peresa w czasie jednej z jego podróży. Mieli umieścić ładunki w czterech samochodach, otoczyć limuzynę Peresa i wysadzić ją w powietrze. Abd Allah ujawnił także, że agenci Hamasu na północy planowali zabić kilku członków izraelskiego parlamentu. Niestety, nie wiedział, kim są zamachowcy ani kogo obrali za cel. Nie wiedział też, kto ma przeprowadzić zamach na Peresa. Znał tylko numer telefonu.

Ojciec wrócił do domu i podzielił się ze mną tymi informacjami. Zostaliśmy wtajemniczeni w plan zamachu na jednego z najwyższych rangą urzędników izraelskich - ministra spraw zagranicznych. Takie wydarzenie, gdyby do niego doszło, mogło mieć przerażające konsekwencje.

Musieliśmy zatelefonować do łącznika Abd Allaha. Marwan Barghuti nie chciał, żeby Abd Allah korzystał z jego telefonu, ojciec również odmówił użyczenia swojej komórki. Wiedzieliśmy, że Izraelczycy podsłuchują rozmowy, i nikt nie chciał zostać powiązany z operacją terrorystyczną.

Ojciec posłał mnie po aparat na kartę, który po użyciu moglibyśmy wyrzucić do kosza. Kupiłem telefon, zapisałem numer i dałem znać Szin Bet, żeby namierzyli rozmowę.

Abd Allah zadzwonił do łącznika w Nablusie i kazał mu wstrzymać akcję do odwołania. Gdy wywiad izraelski dowiedział się o planowanych zamachach, wszystkich członków Knesetu i rządu objęto dodatkową ochroną. Po kilku miesiącach sprawa przycichła.

Tymczasem Marwan nadal starał się o uwolnienie Abd Allaha - nie tylko dlatego, że ten dostarczał mu bomb. Abd Allah na wolności mógł przecież zabić więcej Izraelczyków. A Marwan był nie tylko jednym z przywódców drugiej intifady, lecz także terrorystą, który osobiście strzelał do żołnierzy i osadników.

Ostatecznie władze Autonomii zgodziły się uwolnić Abd Allaha Barghutiego. Oficerowie Szin Bet byli wściekli.

A potem rozpętało się piekło.

21

GRA

LATO 2001-WIOSNA 2002

27 sierpnia 2001 roku izraelski helikopter wystrzelił dwie rakiety w okno gabinetu Abu Ali Mustafy, sekretarza generalnego Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Jedna z rakiet trafiła bezpośrednio w Mustafę, gdy siedział przy biurku. W pogrzebie, który odbył się następnego dnia, rodzinie zmarłego towarzyszyło ponad pięćdziesiąt tysięcy oburzonych Palestyńczyków. Mustafa sprzeciwiał się procesowi pokojowemu i Porozumieniom z Oslo, niemniej należał do grona działaczy o umiarkowanych poglądach, podobnie jak mój ojciec. Wiele razy wspólnie z tatą słuchaliśmy jego wykładów.

Izrael niesłusznie obarczał go odpowiedzialnością za dziewięć zamachów z użyciem samochodów pułapek. Tak jak mój ojciec, Mustafa był przywódcą politycznym, a nie wojskowym. Wiem z absolutną pewnością, że Izraelczycy nie mieli przeciwko niemu żadnych dowodów. Mimo to postanowili go zlikwidować - może w odwecie za masakrę w restauracji Sbarro, może za „Delfinarium”. Najprawdopodobniej miało to być ostrzeżenie dla Jasira Arafata. Jako sekretarz LFWP Mustafa należał także do komitetu wykonawczego Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

Dwa tygodnie później, 11 września, dziewiętnastu terrorystów Al-Kaidy uprowadziło cztery amerykańskie samoloty pasażerskie. Dwa z nich uderzyły w World Trade Center w Nowym Jorku, trzeci w Pentagon w Waszyngtonie, a czwarty spadł na pole w Somerset County w Pensylwanii. Łącznie oprócz terrorystów zginęły 2973 osoby.

Media na całym świecie z trudem nadążały z relacjonowaniem niewiarygodnego rozwoju wydarzeń. Wraz z milionami widzów obserwowałem dwie zapadające się wieże i biały pył, który przysypał Church Street niczym zimowa zadymka. Kiedy zobaczyłem materiał filmowy o palestyńskich dzieciach wiwatujących na ulicach Gazy, rumieniłem się ze wstydu.

Ten atak pogrążył sprawę palestyńską, ponieważ świat jednogłośnie potępił terroryzm - każdy terroryzm, dla jakiegokolwiek sprawy. Przez kolejne tygodnie pracownicy Szin Bet analizowali przyczyny i starali się wyciągnąć wnioski z tragicznych wydarzeń, które później nazwano po prostu „zamachem z 11 września”.

Dlaczego agencjom wywiadowczym w USA nie udało się zapobiec katastrofie? Po pierwsze, amerykańskie służby działały niezależnie i konkurowały ze sobą. Poza tym polegały głównie na technologii i rzadko współpracowały z terrorystami. Taka taktyka sprawdzała się może w czasie zimnej wojny, jednak technologia nie jest bronią, którą można pokonać fanatyczne poglądy.

Natomiast wywiad izraelski polegał przede wszystkim na zasobach ludzkich. Izraelczycy mieli liczne grono szpiegów w meczetach, w organizacjach islamskich i w kręgach przywódczych. Skutecznie rekrutowali współpracowników nawet spośród najbardziej niebezpiecznych terrorystów. Wiedzieli, że muszą mieć w ugrupowaniach terrorystycznych swoje oczy i uszy. Pozyskiwali ludzi stąd, którzy rozumieją motywacje i uczucia, potrafią odpowiednio kojarzyć fakty i wyciągać wnioski.

Natomiast Amerykanie nie rozumieli islamskiej kultury i ideologii. Do tego dochodziła kwestia otwartych granic i niedostatecznych środków bezpieczeństwa - wiele różnych czynników złożyło się na to, że USA stanowiły znacznie łatwiejszy cel niż Izrael. A przecież nawet w tak małym kraju jak Izrael nasze działania nie mogły całkowicie wyeliminować zjawiska terroryzmu, mimo że osobiście pomogłem Szin Bet oczyścić ulice z setek terrorystów.

Miesiąc później, 17 października, czterech uzbrojonych bojowników LFWP weszło do hotelu Hyatt w Jerozolimie i zastrzeliło izraelskiego ministra turystyki Rehawama Zewiego. Choć na pozór Zewi stał na czele apolitycznego resortu, był oczywistym celem. Publicznie opowiadał się za polityką celowego utrudniania życia trzem milionom mieszkańców Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy, tak aby Palestyńczycy sami postanowili wynieść się do innych krajów arabskich. Niezgrabnie zestawiając dwie metafory, miał powiedzieć dziennikarzowi Associated Press, że niektórzy Palestyńczycy są jak „wszy”, które należy wytepić, powstrzymując „raka rozprzestrzeniającego się w organizmie”⁸.

Oko za oko, ząb za ząb - wzajemne zabijanie trwało w najlepsze, a pretekstów po żadnej ze stron nie brakowało.

Już od kilku lat pracowałem dla Szin Bet, gromadząc wszelkie informacje, które tylko wpadły mi w ręce, aby pomóc w powstrzymaniu rozlewu krwi. Nadal obserwowaliśmy Muhammada Dżamala al-Natszę, Saliha Talahmę i trzech pozostałych mężczyzn, których zawiozłem do zakonspirowanego mieszkania, kiedy zostali zwolnieni z więzienia przez władze Autonomii. Od tamtej pory kilka razy zmieniali adres. Tylko Salih pozostawał ze mną w kontakcie. Pozostałych śledziliśmy jednak przez kontakty rodzinne i monitorowanie rozmów z budek telefonicznych.

Salih darzył mnie zaufaniem, zawsze mówił mi, gdzie mieszka, i często zapraszał do siebie. Gdy go lepiej poznałem, bardzo się polubiliśmy. Był inteligentnym człowiekiem i zdolnym naukowcem.

Ukończył z wyróżnieniem elektrotechnikę - jako jeden z najlepszych studentów w historii Uniwersytetu Birzeit. Byłem dla niego synem Hasana Jusufa, ale także dobrym kolegą i kompanem do rozmów.

Często odwiedzałem Saliha, jego żonę Madżidę i ich pięcioro dzieci. Starszy syn miał na imię Musab - jak ja. Madżida mieszkała z dziećmi w Hebronie, ale cała rodzina przeprowadziła się na pewien czas do Ram Allah, żeby towarzyszyć Salihowi. W tamtym czasie wciąż jeszcze studiowałem i przygotowywałem się do egzaminów końcowych, więc pewnego wieczoru Salih zapytał, jak mi idzie na uczelni.

- Masz z czymś problemy?

- Tak, ze statystyką ekonomiczną.

- Dobrze, przynieś jutro książkę, to pouczymy się razem. Zrobimy sobie prywatne zajęcia.

Kiedy powiedziałem o tym Loai i innym w Szin Bet, bardzo się ucieszyli. Uważali, że korepetycje będą świetną przykrywką dla gromadzenia informacji wywiadowczych.

Ale nie była to tylko przykrywka. Zaprzyjaźniliśmy się z Salihem. Dzięki jego pomocy po kilku tygodniach zdałem egzamin celująco. Pokochałem go i jego dzieci. Często u nich jadałem i z czasem wytworzyła się między nami wszystkimi silna więź. Był to dziwny układ, bo wiedziałem już wtedy, że Salih jest groźnym człowiekiem. Choć z drugiej strony - ja także byłem niebezpieczny.

*

W marcu 2002 roku pewnego wieczoru do moich drzwi zapukali dwaj mężczyźni.

- O co chodzi? - spytałem ostrożnie.

- Szukamy szajcha Hasana Jusufa. W ważnej sprawie.

- Co to za ważna sprawa?

Wyjaśnili, że są zamachowcami samobójcami i właśnie przybyli z Jordanii wraz z trzema innymi kolegami. Ich łącznik został aresztowany i potrzebowali bezpiecznej kryjówki.

- Dobrze - powiedziałem. - Trafiliście we właściwe miejsce. Czego potrzebujecie?

- Mamy w samochodzie materiały wybuchowe i bomby, musimy go ukryć w bezpiecznym miejscu.

Świetnie! - pomyślałem. - *Co ja mam zrobić z autem wypakowanym materiałami wybuchowymi?* Nie miałem wiele czasu do namysłu. Postanowiłem zatrzymać samochód w

garażu obok naszego domu. To nie było z pewnością zbyt mądre posunięcie, ale musiałem wymyślić coś na poczekaniu.

- Weźcie te pieniądze - powiedziałem, opróżniając portfel. - Znajdźcie jakieś miejsce do przenocowania i wróćcie tu później. Zastanowimy się, co robić dalej.

Gdy odeszli, zadzwoniłem do Loai. Ulżyło mi, kiedy agenci Szin Bet zabrali trefny samochód.

Zamachowcy wkrótce wrócili, tym razem było ich już pięciu.

- No więc - powiedziałem im - od tej pory będziecie się kontaktować z Hamasem przeze mnie. To ja podam wam cele, lokalizację, zapewnię transport i wszystko, czego będziecie potrzebować. Nie kontaktujcie się z nikim innym, bo możecie być martwi, zanim nadarzy się okazja do zabicia jakiegokolwiek Izraelczyka.

Ci zamachowcy spadli nam jak z nieba. Do tej pory nikomu nie udało się wykryć zamachowców, dopóki nie zdetonowali ładunków. I nagle pięciu z nich pojawiło się u mnie z samochodem wyładowanym bombami. Kiedy podałem Szin Bet adres kryjówki terrorystów, pół godziny później premier Szaron zatwierdził rozkaz likwidacji.

- Nie możecie tego zrobić - zaprotestowałem.

- Co takiego?! - Loai był wyraźnie zaskoczony.

- Wiem, że to terroryści i że chcą się wysadzić w powietrze, ale to prości ludzie, którzy niczego nie rozumieją. Nie zdają sobie sprawy, co robią. Nie możecie ich zabić. Inaczej to będzie moja ostatnia operacja.

- Czy to szantaż?

- Nie, ale wiesz, jak działałem. Raz zrobiłem wyjątek w sprawie Halawy i pamiętasz, jak to się skończyło. Nie będę uczestniczył w zabijaniu ludzi.

- A jest jakaś inna możliwość?

- Aresztujcie ich - powiedziałem, choć czułem, że to szalony pomysł. Przejeliśmy samochód i ładunki wybuchowe, ale zamachowcy ciągle mieli na sobie pasy. Gdyby zauważyli jakiegoś żołnierza w odległości kilkudziesięciu metrów od kawalerki, w której się zatrzymali, zdetonowałyby pasy i zabrałyby ze sobą wszystkich na drugą stronę.

Nawet gdyby udało się aresztować ich żywych, w trakcie przesłuchania na pewno zdradziłoby moje nazwisko i jako agent byłbym spalony. Instykt samozachowawczy podpowiadał mi, że najbezpieczniej byłoby po prostu wystrzelić z helikoptera kilka rakiet do ich mieszkania i zamknąć sprawę.

Moje przebudzone sumienie nie dawało mi jednak spokoju. Choć nie byłem jeszcze chrześcijaninem, próbowałem stosować się do etycznych wskazówek Jezusa. Dla Allaha

morderstwo nie było żadnym problemem, właściwie nawet je zalecał. Ale Jezus wyznaczał zupełnie inne wzorce postępowania. Teraz nie chciałbym przyłożyć ręki nawet do śmierci terrorysty.

Jednocześnie stałem się na tyle cenny dla Szin Bet, że woleli nie ryzykować zakończenia naszej współpracy. Bez zbytniego entuzjazmu zgodzili się w końcu odwołać rozkaz likwidacji.

- Musimy wiedzieć, co się dzieje w środku - powiedzieli.

Odwiedziłem zamachowców pod pretekstem, że mam dla nich kilka mebli. W meblach umieszczono pluskwy, dzięki którym słyszeliśmy każde ich słowo. Słuchaliśmy, jak ustalają, który z nich wysadzi się pierwszy, który drugi, trzeci... Każdy chciał być pierwszy, aby nie patrzeć na śmierć przyjaciół. Upiorna atmosfera - jakby rozmawiali ze sobą umarli.

16 marca oddział specjalny zajął pozycję. Zamachowcy mieszkali w centrum Ram Allah, więc wojsko nie mogło sprowadzić czołgów. Ponieważ żołnierze musieli wkroczyć pieszo, operacja była bardzo niebezpieczna. Śledziłem przebieg wydarzeń ze swojego mieszkania. Loai informował mnie o wszystkim na bieżąco przez telefon.

- Kładą się spać.

Czekaliśmy, aż zaczną chrapać. Żołnierzom nie wolno było obudzić zamachowców - musieli sforsować drzwi i doskoczyć do łóżek, zanim którykolwiek z terrorystów zdąży się poruszyć.

Jeden z żołnierzy umieścił ładunek wybuchowy na drzwiach. Wszyscy nasłuchiwalismy najmniejszego dźwięku, jakiegokolwiek nieregularności w odgłosach chrapania. Dowódca dał sygnał.

Drzwi eksplodowały. Komandosi wbiegli do mieszkania i udało im się obezwładnić wszystkich zamachowców z wyjątkiem jednego. Mężczyzna porwał karabin i sforsował okno - zanim zeskoczył na ziemię, był już martwy.

Wszyscy westchnęli z ulgą. Wszyscy oprócz mnie. Gdy tylko żołnierze zapakowali zamachowców do dzipa, jeden z nich natychmiast wymienił moje imię, oskarżając mnie o kolaborację.

Ziściła się moja najgorsza obawa. Byłem spalony. Co teraz?

Loai wpadł na pomysłowe rozwiązanie. Szin Bet deportowała tego mężczyznę do Jordanii, a jego kolegów zamknięto w więzieniu. Dopóki jeden z niedoszłych zamachowców był w domu, cieszył się wolnością i towarzystwem rodziny, trzech pozostałych zakładali, że to właśnie on zdradził. Genialne.

Upiekło mi się kolejny raz, choć niewiele brakowało. Ale czułem, że stąkam po

kruchym lodzie.

*

Któregoś dnia otrzymałem specjalne podziękowania od Awiego Dichtera, szefa Szin Bet, za pracę, którą dla nich wykonałem. Powiedział, że przejrzał wszystkie teczki dotyczące wojny Izraela z terroryzmem i w każdej z nich nie natrafił na „Zielonego Księcia”. Choć mi to schlebiali, jednocześnie odebrałem pochwałę jako ostrzeżenie. Loai też to dobrze rozumiał. Gdybym nadal działał w ten sam sposób, wkrótce mógłbym być martwy. Zostawiałem za sobą zbyt wyraźny ślad i w końcu ktoś musiał się na niego natknąć. Trzeba mnie było jakoś „immunizować”.

Moja uparta niezgoda na zabicie pięciu zamachowców poważnie mi zaszkodziła. Wszyscy byli wprawdzie przekonani, że zdradził mężczyzna odesłany do Jordanii, ale wiedzieli też, że Izraelczycy nie cackają się z osobami podejrzanymi o pomaganie zamachowcom. A ja im przecież pomogłem. Dlaczego mnie nie aresztowano?

Tydzień po zatrzymaniu terrorystów zespół analityków izraelskiego wywiadu przedstawił dwa wyjścia z tej kompromitującej sytuacji. Po pierwsze, mogli mnie aresztować i zamknąć na dłużej w więzieniu. Obawiałem się jednak, że będzie to wyrok śmierci dla taty, którego nie mógłbym już skutecznie kryć przed Izraelczykami.

- Jest jeszcze druga możliwość: podjąć grę - zasugerował Loai.

- Grę? Jaką grę?

Loai wyjaśnił, że należy sprowokować jakieś wydarzenie, o którym zrobi się głośno. Coś, co przekona całą Palestynę, że Izraelczycy chcieli mnie schwytać żywego lub martwego. Aby to wydarzenie wyglądało wiarygodnie, nie mogło być ukartowane. Loai podkreślał, że musi to być prawdziwa operacja Sił Obronnych Izraela, które rzeczywiście spróbują mnie schwytać, a to oznacza, że Szin Bet musi ich najpierw celowo wprowadzić w błąd.

Oficerowie Szin Bet dali izraelskiej armii tylko kilka godzin na przygotowanie akcji. Ostrzegli wojsko, że jako syn Hasana Jusufa jestem bardzo niebezpiecznym człowiekiem, utrzymuję związki z zamachowcami samobójcami, mogę być uzbrojony i posiadać ładunki wybuchowe. Zapewnili armię, że mają informacje z pewnego źródła - tego wieczoru zamierzam pojawić się w domu rodziców, żeby odwiedzić mamę. Przyjdę na krótko i będę uzbrojony w karabin M16.

Po takiej reklamie rzeczywiście mogło zrobić się gorąco.

Wojskowi uwierzyli, że jestem jednym z groźniejszych terrorystów, który może zniknąć na dobre, jeśli spartaczą tę akcję. Obiecali zrobić wszystko, co tylko w ich mocy. Żołnierze sił specjalnych przebrani za Arabów i świetnie wyszkoleni snajperzy pojawili się w

okolicy w samochodach palestyńskich, które zaparkowali dwie minuty od domu rodziców. Czekali na sygnał. Kilka kilometrów dalej do granicy Terytoriów podjechały ciężkie czołgi. Postawiono w stan gotowości śmigłowce szturmowe, żeby zapewnić wsparcie z powietrza, gdyby na ulice wyszli palestyńscy bojownicy.

Siedziałem w samochodzie pod domem rodziców, czekając na telefon z Szin Bet. Umówiliśmy się, że po sygnale będę miał dokładnie sześćdziesiąt sekund na ucieczkę. Potem oddziały specjalne miały otoczyć dom. Nie mogłem sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Przez chwilę pożałowałem swojej decyzji - wyobraziłem sobie przerażenie, które za chwilę ogarnie mamę, młodszych braci i siostry. Po raz kolejny musieli zapłacić za działalność moją i ojca.

Spojrzałem na piękny ogródek mamy. Zawsze sadziła dużo kwiatów. Chętnie brała sadzonki od krewnych i przyjaciół. Dbała o kwiaty prawie tak, jakby to były jej dzieci.

- Czy potrzeba nam jeszcze więcej kwiatków? - dokuczałem jej czasami w żartach.

- Jeszcze tylko kilka - odpowiadała.

Przypomniałem sobie, jak kiedyś wskazała na jeden z kwiatów i oznajmiła:

- Ta roślina jest starsza od ciebie. Kiedy byłeś mały, rozbiłeś doniczkę, ale uratowałam ją i ciągle rośnie.

Zastanawiałem się, czy biedna roślina przetrwa, gdy za kilka minut żołnierze zادهcą ją wojskowymi butami.

Zadzwoił telefon.

Serce zabiło mi mocniej. Włączyłem silnik i ruszyłem natychmiast w kierunku centrum miasta, gdzie przygotowałem sobie nową kryjówkę. Już nie musiałem udawać ściganego. Żołnierze, którzy woleliby mnie raczej zabić niż zaaresztować, właśnie w tej chwili mnie szukali. Minutę po moim odjeździe pod dom rodziców zajechało z piskiem hamulców dziesięć samochodów z palestyńskimi tablicami rejestracyjnymi. Izraelskie oddziały specjalne otoczyły dom. Karabiny maszynowe wycelowane były we wszystkie drzwi i okna. W sąsiedztwie bawiło się mnóstwo dzieci, w tym mój brat Nasir. Dzieci przerwały grę w piłkę i rozbiegły się przerażone.

Gdy żołnierze sił specjalnych zajęli wyznaczoną pozycję, zaryczały czołgi. Teraz całe miasto wiedziało już, że coś się święci. Z ukrycia słyszałem warkot potężnych silników diesla. Kilkuset uzbrojonych bojowników palestyńskich zbiegło się pod dom ojca i otoczyło żołnierzy izraelskich. Ale nie mogli strzelać, bo wokoło wciąż biegały dzieci szukające schronienia, a w środku chowała się moja rodzina.

Gdy pojawili się fedaini, przywołano helikoptery.

Nagle pomyślałem, że może źle postąpiłem, broniąc zamachowców samobójców. Gdybym po prostu pozwolił Izraelczykom spuścić na nich bombę, moja rodzina i sąsiedzi nie znaleźliby się teraz w niebezpieczeństwie. Jeśli w tym zamieszaniu zginęłoby któreś z mojego rodzeństwa, nigdy bym sobie tego nie darował.

Żeby zapewnić naszej inscenizacji światowy rozgłos, powiadomiłem wcześniej telewizję Al-Dżazira o planowanym ataku na dom szajcha Hasana Jusufa. Dziennikarze uznali, że Izrael w końcu postanowił dobrać się do mojego ojca, i chcieli mieć relację na żywo z jego aresztowania. Wyobrażałem sobie ich reakcję, kiedy zatrzeszczy megafon i żołnierze zażądają, żeby najstarszy syn Hasana, Musab, wyszedł na zewnątrz z podniesionymi rękami. Siedząc bezpiecznie w kryjówce, włączyłem telewizor i oglądałem całe to przedstawienie razem z resztą arabskiego świata.

Wojsko ewakuowało moją rodzinę z budynku i przesłuchiwało ich na ulicy. Mama zapewniała, że wyszedłem przed minutą, ale oczywiście jej nie uwierzyli. Wierzyli oficerom Szin Bet, którzy ukartowali tę intrygę. Ponieważ nie wychodziłem z domu, zagrozili, że zaczną strzelać.

Przez kolejne dziesięć minut żołnierze czekali w napięciu, licząc na to, że wreszcie wyjdę. Nie wiedzieli tylko, czy będę się bronił, czy raczej pojawię się z podniesionymi rękami. W końcu uznali, że dość już tych rozmów, i zaczęli strzelać. Kilkaset kul podziurawiło moją sypialnię na piętrze jak sito - do dzisiaj odłamki tkwią w ścianach.

Nagle strzelanina ucichła, a chwilę później powietrze przeciął ze świstem pocisk, który wysadził połowę domu. Żołnierze ruszyli do środka. Przeszukali każdy pokój, jednak nie znaleźli ani ciała, ani ukrywającego się zbiega.

Upokorzeni wojskowi byli wściekli, że wymknąłem się z pułapki. Gdyby teraz mnie dopadli - ostrzegł przez telefon Loai - zastrzeliliby mnie na miejscu. Jednak dla nas operacja zakończyła się, rzecz jasna, sukcesem. Nikt nie ucierpiał, a ja dostałem się na listę poszukiwanych terrorystów. Opowiadano o mnie w całym mieście i zyskałem status groźnego bojownika.

Przez kilka miesięcy po tym wydarzeniu trzymałem się uzgodnionego schematu: nie rzucać się w oczy żołnierzom, chronić ojca i dalej zbierać informacje dla wywiadu. Dokładnie w takiej kolejności.

TARCZA OCHRONNA

WIOSNA 2002

Eskalacja przemocy zachodziła w zawrotnym tempie.

Izraelczycy ginęli od kul, noży i bomb. Palestyńczycy byli likwidowani w zamachach organizowanych przez służby izraelskie. Błędny cykl powtarzał się coraz szybciej, a społeczność międzynarodowa bezskutecznie próbowała wywierać presję na Izrael.

„Wzywam do zakończenia bezprawnej okupacji. Bombardowanie dzielnic mieszkalnych, zamachy, nieuzasadnione użycie siły prowadzące do skutków śmiertelnych, burzenie budynków i codzienne upokarzanie zwykłych Palestyńczyków to praktyki, którym należy położyć kres” - postulował sekretarz generalny ONZ Kofi Annan w marcu 2002 roku⁹.

Tego samego dnia, w którym aresztowaliśmy czterech zamachowców samobójców, przywódcy Unii Europejskiej wezwali zarówno Izrael, jak i Palestyńczyków do powstrzymania się od przemocy. „Tego konfliktu nie można rozwiązać siłą” - stwierdzili¹⁰.

W 2002 roku święto Paschy przypadło 27 marca. W restauracji na parterze hotelu Park Hotel w Netanii na tradycyjny posiłek sederowy przybyło dwustu pięćdziesięciu gości.

Abd al-Basit Uda, dwudziestopięcioletni agent Hamasu, minął strażnika przed budynkiem, przeszedł przez recepcję i wkroczył do sali wypełnionej ludźmi. Następnie sięgnął pod kurtkę.

W wybuchu zginęło trzydzieści osób, a sto czterdzieści odniosło obrażenia. Byli wśród nich Żydzi ocaleni z Holocaustu. Hamas przyznał się do zamachu. Przywódcom ugrupowania chodziło o zerwanie szczytu krajów arabskich odbywającego się w Bejrucie. Mimo to następnego dnia Liga Arabska pod przewodnictwem Arabii Saudyjskiej zadeklarowała, że jej członkowie postanowili jednogłośnie uznać państwo Izrael i unormować stosunki, pod warunkiem że Izraelczycy zgodzą się wycofać do granic z 1967 roku, rozwiązać problem uchodźców i ustanowić niezależne państwo palestyńskie ze stolicą we wschodniej Jerozolimie. Gdyby Izrael poszedł na te ustępstwa, a Hamas nie upierałby się przy swoim hasle „wszystko albo nic”, byłoby to wielkim zwycięstwem dla naszego narodu.

Izraelczycy zdawali sobie z tego sprawę i przygotowali własne rozwiązanie.

Dwa tygodnie wcześniej rząd izraelski postanowił przeprowadzić próbę naruszenia

granic terytoriów palestyńskich, dokonując inwazji na bliźniacze miasta Ram Allah i Al-Birę. Analitycy wojskowi ostrzegali, że liczba izraelskich ofiar może być duża. Okazało się, że niepotrzebnie się martwili.

Żołnierze Sił Obronnych Izraela zabili pięciu Palestyńczyków, wprowadzono godzinę policyjną i zajęto parę budynków. Ogromne buldożery D9 zburzyły kilka domów w obozie dla uchodźców Al-Amari. Zniszczono między innymi dom Wafy Idris, pierwszej kobiety samobójczyni, która 27 stycznia dokonała zamachu, zabijając osiemdziesięcioletniego staruszka i raniąc sto innych osób przed sklepem obuwniczym w Jerozolimie.

Jednak po masakrze w restauracji Park Hotel próbna ingerencja zbrojna okazała się niepotrzebna. Rząd izraelski od razu dał zielone światło do rozpoczęcia bezprecedensowej operacji o kryptonimie „Tarcza ochronna”.

Zadzwoił mój telefon. To był Loai.

- Co słyszeć? - spytałem.

- Cała armia w gotowości - powiedział. - Dziś wieczorem zatrzymamy Saliha i pozostałych uciekinierów.

- Co ty opowiadasz?

- Mamy zamiar ponownie zająć cały Zachodni Brzeg i przeszukać każdy dom i każde biuro, wszystko jedno, ile to potrwa. Pozostań w ukryciu. Będziemy w kontakcie.

O rety! - pomyślałem. - *Świetnie! Może wreszcie skończy się ta bezmyślna wojna.*

Na Zachodnim Brzegu zawrzało. Przywódcy palestyńscy wiedzieli, że coś się szykuje, ale nie znali szczegółów. Ludzie opuszczali miejsca pracy, przychodnie, szkoły i wracali do domów, żeby śledzić wiadomości telewizyjne. Przeniosłem ojca do domu, który należał do obywateli amerykańskich, a Szin Bet zapewniła mnie, że będzie tam bezpieczny.

29 marca zameldowałem się w hotelu City Inn w Al-Birze, gdzie swoją bazę zorganizowały stacje BBC, CNN i inne zagraniczne media. Utrzymywaliśmy z ojcem kontakt przez krótkofalówkę.

Oficerowie Szin Bet chcieli, żebym siedział w hotelu, zajadał chipsy i oglądał telewizję. Ale ja nie mogłem przepuścić tak ważnego wydarzenia. Musiałem wiedzieć, co się dzieje na mieście, więc przewiesiłem przez ramię swój M16 i ruszyłem w teren. Wyglądałem jak poszukiwany listem gończym terrorysta. Poszedłem na wzgórze w pobliżu biblioteki miejskiej, skąd widać południowo-wschodnią dzielnicę Ram Allah, w której przebywał mój ojciec. Wydawało mi się, że będę tam bezpieczny, a jak tylko usłyszę czołgi, pobiegnę do hotelu.

Około północy do miasta wjechało z hukiem kilkaset czołgów Merkawa. Nie

spodziewałem się, że uderzą ze wszystkich stron naraz - ani że będą się tak szybko przemieszczać. Niektóre ulice były za wąskie, więc czołgiści nie mieli innego wyjścia, jak tylko przejechać po dachach zaparkowanych samochodów. Gdzie indziej było szeroko, ale niektórym żołnierzom najwyraźniej podobał się chrzęst metalu miażdżonego pod gąsienicami. Pod naporem czołgów w gruz zamieniały się także prowizoryczne domy w obozach dla uchodźców.

- Wyłącz nadajnik! - krzyknąłem do ojca przez krótkofalówkę. - Nie wychodź z ukrycia!

Audi ojca stało zaparkowane przy krawężniku. Z przerażeniem obserwowałem ze wzgórza, jak czołg zgniata je na miazgę. Nie wiedziałem, co robić. Z pewnością nie mogłem zadzwonić do Loai i poprosić go, żeby zatrzymał operację wojskową, ponieważ zachciało mi się bawić w Rambo.

Pobiegłem w kierunku centrum miasta i zanurkowałem do podziemnego garażu, dosłownie kilkanaście metrów przed nadjeżdżającym czołgiem. Żołnierze nie pojawili się jeszcze na ulicach, czekali aż merkawy zabezpieczą teren. Nagle uzmysłowiłem sobie, że w budynku nad moją głową znajdują się biura wielu palestyńskich grup oporu. Moje schronienie okazało się jednym z głównych celów ataku.

Załogi czołgów nie odróżniają współpracownika Szin Bet od terrorysty, chrześcijanina od muzułmanina, uzbrojonego bojownika od bezbronnego cywila. Chłopcy siedzący w tych maszynach byli przerażeni nie mniej ode mnie. Wszędzie dookoła mężczyźni wyglądający tak jak ja strzelali do czołgów z karabinów AK47. Kule odbijały się od pancerza jak piłeczki. Nagle rozległ się huk - czołg odpowiedział tak głośno, że prawie popękały mi bębniaki w uszach.

Fragmenty budynków wokół zaczęły się zapadać w dymiące sterty gruzu. Miarowe wystrzały z dział rozrywały kolejne odcinki murów. Terkot karabinów maszynowych odbijał się echem od wszystkich ścian. Kolejna eksplozja. Chmury pyłu. Przelatujące ze świstem odłamki kamieni i metalu.

Musiałem się stąd wydostać. Ale jak?

Nagle do podziemnego parkingu wbiegła grupa bojowników Fatah. Przykucnęli koło mnie. Niedobrze. Gdyby teraz nadeszli żołnierze, fedaini utworzyliby do nich ogień. Czy ja też miałem strzelać? Tylko do kogo? Gdybym nie walczył, i tak by mnie zastrzelili. Ale ja nie mógłbym nikogo zabić. Kiedyś być może tak - teraz już nie.

Do środka wbiegli kolejni bojownicy, nawołując towarzyszy. Nagle wszystko ucichło. Wstrzymaliśmy oddech.

Na parking zaczęli ostrożnie wchodzić żołnierze izraelscy. Byli coraz bliżej. Jeszcze tylko kilka sekund. Snopami światła z latarek przeczesywali ciemności w poszukiwaniu odbłyску gałek ocznych lub broni. Żołnierze nasłuchiwali. My obserwowaliśmy. Po obu stronach spocone palce unosiły się w gotowości nad spustem.

I wtedy wydarzył się cud.

Nie wiem, czy żołnierze bali się wejść głębiej do ciemnego, wilgotnego garażu, czy po prostu zatęsknili za bezpiecznym towarzystwem czołgu. Z jakiegoś powodu zatrzymali się, odwrócili i odeszli.

Gdy zniknęli, pobiegłem na górę i znalazłem pokój, z którego mogłem zadzwonić do Loai.

- Czy mógłbyś poprosić wojsko, żeby cofnęli się o kilka budynków? Mógłbym wtedy wrócić do hotelu.

- Co?! Gdzie jesteś?! Dlaczego nie w hotelu?

- Robię, co do mnie należy.

- Całkiem ci odbiło!

Zapadła niewygodna cisza.

- Dobrze, zobaczę, co da się zrobić.

Po kilku godzinach wycofano czołgi i piechotę. Żołnierze pewnie zachodzili w głowę, dlaczego wydano im taki rozkaz. W drodze powrotnej do hotelu o mało nie złamałem nogi, przeskakując z jednego dachu na drugi. Kiedy dotarłem na miejsce, zamknąłem za sobą drzwi, rozebrałem się, a broń i strój bojownika wepchnąłem do przewodu klimatyzacyjnego.

Tymczasem dom, w którym ukrywał się mój ojciec, znalazł się w oku cyklonu. Wojsko przeszukiwało każdy budynek w okolicy, każde podwórko i każdą dziurę. Dostali jednak rozkaz, by nie tykać tego konkretnego domu.

W środku tata zanosił modły i czytał Koran. W żarliwej modlitwie towarzyszyli mu właściciel domu i jego żona. Nagle zobaczyli, że bez żadnej konkretnej przyczyny wojsko odeszło i zabrało się za przeszukiwanie innego rejonu.

- Nie uwierzysz, jaki cud, Musab! - zawołał tata do słuchawki. - Niewiarygodne! Przyszli, przeszukali każdy budynek w sąsiedztwie, całą okolicę... poza naszym domem. Chwała Allahowi!

Proszę bardzo, nie ma sprawy - odpowiedziałem mu w myślach.

„Tarcza ochronna” była pierwszą operacją na taką skalę od czasu wojny sześciodniowej. Na pierwszy ogień poszło Ram Allah, potem Betlejem, Dżenin i Nablus. Kiedy biegałem po mieście, starannie unikając spotkania z żołnierzami izraelskimi, Siły

Obronne Izraela otoczyły kwaterę główną Arafata. Zamknięto wszystkie instytucje, wprowadzono rygorystyczną godzinę policyjną.

2 kwietnia czołgi i samochody opancerzone otoczyły teren Komendy Prewencji i Służby Bezpieczeństwa, która znajdowała się w pobliżu naszego domu w Betanii. Śmigłowce szturmowe warkotały nad głowami. Wiedzieliśmy, że władze Autonomii ukrywają tam co najmniej pięćdziesięciu poszukiwanych, którzy wymykali się Szin Bet aż do tej pory.

Teren komendy składał się z czterech bloków oraz czteropiętrowego budynku biurowego, w którym miał siedzibę pułkownik Dżibril Radżub¹¹ i inni dowódcy służb palestyńskich. Cały kompleks został zaprojektowany, zbudowany i wyposażony przez CIA. Agenci CIA, którzy przeszkolili i uzbroili siły policyjne Autonomii, mieli tu nawet swoje biura. Na terenie komendy stacjonowało kilkuset dobrze uzbrojonych policjantów. Przetrzymano tu również dużą liczbę więźniów, w tym Bilala Barghutiego i innych terrorystów z izraelskiej listy poszukiwanych. Oficerowie Szin Bet i wojskowi nie byli w nastroju do żartów. Ogłoszono przez megafon, że za pięć minut zostanie wysadzony budynek numer jeden, i nakazano wszystkim wyjść na zewnątrz.

Dokładnie pięć minut później: *bum!* Budynek numer dwa: „Wszyscy na zewnątrz!”. *Bum!* Budynek numer trzy. *Bum!* Numer cztery. *Bum!*

- Rozbierać się! - wydano kolejny rozkaz przez megafon.

Izraelczycy nie chcieli ryzykować. Ktoś mógł ukrywać broń albo przepasać się ładunkami wybuchowymi. Kilkuset mężczyzn rozebrało się do naga. Rozdano im specjalne kombinezony, załadowano do autobusów i zawieziono do pobliskiej bazy wojskowej Ofer - gdzie agenci Szin Bet poniewczasie zrozumieli swój błąd.

Izraelczycy nie mogli zamknąć jednocześnie tyłu ludzi, zresztą zależało im tylko na bojownikach ściganych listami gończymi. Zamierzali ich wyłuskać z tłumu zatrzymanych, a pozostałych zwolnić. Niestety, ubrania wraz z dowodami tożsamości pozostały na miejscu aresztowania. I jak teraz mieli odróżnić poszukiwanych od palestyńskich policjantów?

Operacją dowodził Ofer Dekel, przełożony szefa Loai. Dekel zadzwonił do Dżibrila Radżuba, który w czasie ataku przebywał gdzie indziej. Dał Radżubowi specjalną przepustkę, żeby mógł bezpiecznie ominąć setki czołgów i tysiące żołnierzy. Gdy Radżub dotarł na miejsce, Dekel poprosił go o wskazanie, którzy ludzie są jego pracownikami, a którzy ściganymi przez Izrael terrorystami. Radżub zapewnił, że uczyni to z przyjemnością. Szybko zidentyfikował policjantów jako ściganych i na odwrót, więc Szin Bet uwolniła właśnie tych ludzi, których chciała dopaść.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - zapytał Dekel, gdy zorientował się, co zaszło.

- Właśnie wysadziłeś w powietrze moje biura i komendę - wyjaśnił spokojnie Radżub. Równie dobrze mógłby powiedzieć: „A czego się spodziewałeś, stary?”.

Dekel najwyraźniej nie pamiętał też o tym, że Radżub został rok wcześniej ranny, kiedy czołgi i helikoptery Sił Obronnych Izraela zrównały jego dom z ziemią. Dlaczego miałby teraz wyświadczać Izraelczykom jakieś przysługi?

Szin Bet została ośmieszona. W rewanżu mogli tylko wydać oficjalne oświadczenie, w którym odmalowano Radżuba jako zdrajcę. Miał rzekomo wydać Izraelowi ściganych Palestyńczyków za pośrednictwem CIA. W rezultacie Radżub został zdegradowany i skończył jako szef Palestyńskiego Związku Piłki Nożnej.

W ciągu następnych trzech tygodni Izraelczycy od czasu do czasu odwoływali godzinę policyjną. 15 kwietnia, podczas jednej z takich przerw, zdołałem dostarczyć ojcu jedzenie i inne potrzebne rzeczy. Powiedział, że nie czuje się bezpiecznie w swojej kryjówce i chce się przenieść. Zadzwoiłem do jednego z przywódców Hamasu z pytaniem, czy zna jakieś miejsce. Zaproponował umieszczenie ojca w zakonspirowanym lokalu, w którym ukrywała się inna ważna osoba z Hamasu poszukiwana przez Izrael - szajch Dżamal at-Tawil.

Ale numer! - pomyślałem. Schwywanie Dżamala at-Tawila z pewnością poprawiłoby nastroje w Szin Bet po niedawnym blamażu.

- Lepiej nie umieszczajmy ojca w tym samym miejscu. Mogłoby to być dla nich obu zbyt niebezpieczne - powiedziałem i podziękowałem.

Umówiliśmy się na inne lokum i szybko przeniosłem tam tatę. Potem zadzwoniłem do Loai.

- Wiem, gdzie się ukrywa Dżamal at-Tawil.

Loai nie mógł w to uwierzyć. Niemal natychmiast aresztowano zbiega.

Tego samego dnia wpadła jeszcze jedna osoba z pierwszych miejsc na izraelskiej liście poszukiwanych - Marwan Barghud.

Choć Marwan był jednym z najbardziej nieuchwytnych liderów Hamasu, jego zatrzymanie okazało się dziecinnie proste. Zadzwoiłem na komórkę do jednego z jego ochroniarzy i chwilę z nim porozmawiałem, a w tym czasie Szin Bet namierzyła numer. Bez trudu aresztowano Barghutiego. Później wytoczono mu proces przed sądem cywilnym, który skazał go na pięciokrotne dożywocie.

Tymczasem w wiadomościach telewizyjnych i gazetach na całym świecie codziennie relacjonowano przebieg operacji „Tarcza ochronna”. Niewiele z tych reportaży przynosiło Izraelowi chlubę. Z Dżeninu nadeszły wieści o masakrze na wielką skalę, czego nikt nie mógł zweryfikować, bo Siły Obronne Izraela zamknęły miasto. Według palestyńskiego ministra

Saeba Erekata zginęło pięćset osób. Liczba ta została potem skorygowana do około pięćdziesięciu.

W Betlejem ponad dwustu Palestyńczyków broniło się przez pięć tygodni w oblężonej Bazylice Narodzenia Pańskiego. Po zakończeniu oblężenia większość cywilów puszczono wolno. Ośmiu Palestyńczyków zginęło, dwudziestu sześciu odesłano do Gazy, osiemdziesiąt pięć osób sprawdzono i wypuszczono, a trzynastu najbardziej poszukiwanych, najgroźniejszych bojowników zesłano do Europy.

W trakcie całej operacji „Tarcza ochronna” zginęło prawie pięćset Palestyńczyków, tysiąc pięćset osób odniosło obrażenia, a niemal cztery tysiące trzysta osób zostało zatrzymanych przez izraelskie wojsko. Po drugiej stronie zginęło dwudziestu dziewięciu Izraelczyków, a stu dwudziestu siedmiu zostało rannych. Bank Światowy oszacował straty na Zachodnim Brzegu na ponad trzysta sześćdziesiąt milionów dolarów.

W RĘKACH OPATRZNOŚCI

LATO 2002

31 lipca 2002 roku był wyjątkowo upalnym dniem, temperatura dochodziła do trzydziestu dziewięciu stopni. Zajęcia semestralne na Uniwersytecie Hebrajskim na Górze Skopus już się zakończyły, choć niektórzy studenci przystępowali jeszcze do egzaminów. Wielu innych stało w kolejkach, żeby zapisać się na wybrane zajęcia w semestrze jesiennym. O godzinie 13.30 uniwersytecka kafejka „Frank Sinatra” była wypełniona. Studenci przyszedli się ochłodzić, siedzieli przy stolikach i rozmawiali, sącząc zimne napoje. Nikt nie zwrócił uwagi na torbę pozostawioną przez malarza zatrudnionego przy pracach remontowych.

Potężna eksplozja wstrząsnęła kawiarnią, zbierając krwawe żniwo - zginęło dziewięć osób, w tym pięciu Amerykanów. Osiemdziesiąt pięć osób zostało rannych, w tym czternaście odniosło ciężkie obrażenia.

Tego samego dnia mój przyjaciel Salih zniknął. Gdy sprawdziliśmy kryjówki pozostałych czterech poszukiwanych z naszej listy, okazało się, że oni także zniknęli bez śladu, zrywając wszelkie kontakty, nawet z najbliższymi rodzinami.

Tymczasem udało nam się zidentyfikować komórkę Hamasu, która podłożyła bombę. Okazało się, że jej członkowie pochodzili z terenu Izraela, a nie z Terytoriów Okupowanych. Posiadali niebieskie izraelskie dowody tożsamości, dzięki którym mogli przemieszczać się wszędzie bez ograniczeń. Pięciu z nich mieszkało we wschodniej Jerozolimie, byli żonaci, mieli miłe rodziny i dobrą pracę.

W trakcie dochodzenia wypłynęło nazwisko Muhammada Armana, mieszkańca jednego z osiedli w Ram Allah. Torturami zmuszono Armana, by zidentyfikował człowieka, który stał za zamachem na Uniwersytecie. Powiedział, że zna go tylko pod pseudonimem „Szajch”.

Przesłuchujący pokazali mu podobizny podejrzanych terrorystów zebrane w kartotece zdjęć i portretów pamięciowych. Spytałi, czy któryś z nich to „Szajch”. Arman wskazał zdjęcie Ibrahima Hamida, dając nam w ten sposób pierwszy twardy dowód jego zaangażowania w zamachy bombowe.

Później dowiedzieliśmy się, że po zdemaskowaniu Hamid postanowił chronić Saliha i

innych członków swojej grupy. Do wszystkich komórek znajdujących się pod jego komendą posłano rozkaz, by każdy aresztowany zrzucił wszystko na Hamida, bo ten i tak nie ma już nic do stracenia. Na razie trop kończył się zatem na Ibrahimie Hamidzie. On tymczasem jakby zapadł się pod ziemię.

*

Po zakończeniu operacji „Tarcza ochronna” w Ram Allah przez kilka miesięcy obowiązywała godzina policyjna. Kwatera główna Arafata była właściwie zamknięta. Agencja USAID zawiesiła swoje projekty, a jej pracownikom nie wolno było przebywać na Zachodnim Brzegu. Izraelskie posterunki trzymały miasto w żelaznym uścisku, przepuszczając tylko karetki pogotowia. Oficjalnie nadano mi status ściganego. To wszystko bardzo utrudniało mi przemieszczanie się, jednak wciąż musiałem co dwa tygodnie spotykać się z Szin Bet, żeby omówić bieżące sprawy, które nie nadawały się na telefon.

Bardzo potrzebowałem też wsparcia emocjonalnego. Źle znosiłem samotność. Byłem teraz obcym we własnym mieście. Nie mogłem się do nikogo zbliżyć, nawet do członków rodziny. Nikomu nie mogłem zaufać. Zwykle spotykałem się z Loai w jednym z zakonspirowanych domów Szin Bet w Jerozolimie, teraz jednak nie mogłem wydostać się z Ram Allah. Za dnia nie wolno mi było w ogóle pokazywać się na ulicach. Żadna ze zwykłych możliwości nie wchodziła w grę.

Gdyby koledzy ze służb specjalnych wybrali się po mnie palestyńskim autem, ryzykowaliby, że zostaną zatrzymani przez fedainów i rozpoznani po akcencie. Z kolei gdyby agenci w mundurach wojskowych udawali, że mnie porywają, ktoś mógłby mnie zauważyć i rozpoznać, gdy wskakuję do dzipa. Raz czy dwa taki podstęp mógłby się nam udać, ale nie było to rozwiązanie na dłuższą.

W końcu oficerowie Szin Bet wpadli na ciekawszy pomysł.

Baza wojskowa Ofer, znajdująca się kilka kilometrów na południe od Ram Allah, to jeden z najlepiej chronionych obiektów izraelskich. Było to miejsce pełne tajemnic i obwarowane licznymi zabezpieczeniami. Właśnie tam urzędował miejscowy sztab Szin Bet.

- Od tej pory będziemy się spotykać w Ofer - poinformował mnie Loai. - Musisz tylko włamać się do środka.

Roześmialiśmy się. I wtedy zrozumiałem, że on mówi poważnie.

- Jeśli cię złapią - wyjaśnił - będzie to wyglądało na próbę przeniknięcia do bazy wojskowej w celu zaplanowania ataku.

- *Jeśli* mnie złapią?

Nie byłem zachwycony. Wieczorem, kiedy wreszcie miałem wprowadzić ten plan w

życie, poczułem się jak aktor na premierze - z tą różnicą, że miałem wejść na scenę, której wcześniej nie widziałem, i założyć kostium, którego nigdy wcześniej nie nosiłem. W dodatku nie pokazano mi scenariusza i nie było próby generalnej.

Nie wiedziałem, że Szin Bet umieściła swoich agentów na dwóch wieżach oskrzydających odcinek ogrodzenia, przez który miałem się włamać do środka. Nie wiedziałem też, że inni agenci, wyposażeni w noktowizory, zostali rozstawieni wzdłuż mojej trasy, na wypadek gdyby ktoś mnie śledził.

Cały czas myślałem: A jeśli popełnię jakiś błąd?

Zaparkowałem samochód w ukryciu. Loai poinstruował mnie, żebym założył ciemne ubranie, nie brał ze sobą latarki, a zamiast tego uzbroił się w nożyce do cięcia metalu.

Wziąłem głęboki oddech. Idąc w kierunku wzgórz, widziałem w oddali światła bazy. Gdy pokonywałem nierówności terenu, w pewnym momencie oszczekała mnie sfora bezdomnych psów. Miałem nadzieję, że nie ściągną na mnie niepożądaną uwagę.

W końcu dotarłem do ogrodzenia i zadzwoniłem do Loai.

- Odlicz siedem słupów od narożnika - powiedział. - Potem poczekaj na mój sygnał i zacznij ciąć.

Przeciąłem stare ogrodzenie. Na początku drugiej intifady wzniesiono nowe ogrodzenie, oddzielone od pierwotnego kilkumetrowym pasem.

Ostrzeżono mnie przed stróżującymi świniami (tak, świniami), ale nie było mi dane ich spotkać. Teren między zewnętrznym i wewnętrznym ogrodzeniem tworzył korytarz. W innych krajach pilnowałyby go owczarki niemieckie lub inne wyszkolone psy policyjne. Jak na ironię, koszerni Izraelczycy używali w tym celu świń. Uważali, że obecność świń i strach przez zetknięciem się z nimi będzie psychologicznym środkiem odstrasającym dla potencjalnych terrorystów religijnych muzułmanów. Islam zabrania bowiem kontaktu ze świniami równie stanowczo jak ortodoksyjny judaizm. Może nawet jeszcze ostrzej. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby świni patrolowały jakieś ośrodki lub osiedla. Jednak tutaj, w bazie wojskowej, właśnie tym zwierzętom powierzono to ważne zadanie.

Natrafiłem na niewielką bramkę w wewnętrznym ogrodzeniu, którą pozostawiono otwartą. Przeszedłem przez nią i znalazłem się w środku najlepiej chronionego obiektu wojskowego w Izraelu. Nad placem po obu stronach sterczały wieże strażnicze.

- Głowa w dół - powiedział mi Loai do ucha - i czekaj na znak.

Wokoło rosło mnóstwo krzaków. Po chwili niektóre z nich... zaczęły się ruszać. Okazało się, że byli to agenci, którzy zwykle uczestniczyli w naszych spotkaniach. Teraz mieli na sobie maskujące mundury przystrojone gałązkami i ciężkie karabiny maszynowe.

Widziałem, że się dobrze bawią, grając komandosów - kolejna rola w ich repertuarze, który rozciągał się od terrorystów i fedainów po staruszków, a nawet kobiety.

- Jak się masz? - zapytali, jakbyśmy właśnie odbywali miłą pogawędkę w kawiarni. -
Wszystko w porządku?

- Tak.

- Masz coś dla nas?

Czasami przynosiłem jakieś nagrania albo dokumenty, ale tym razem przyszedłem z pustymi rękami.

Zaczęło padać, więc pobiegliśmy za wzgórze, gdzie czekały dwa dżipy. Trzech mężczyzn wskoczyło do pierwszego dżipa, a ja usadowiłem się z tyłu. Reszta została przy drugim aucie, by zabezpieczać mój powrót. Było mi ich żal, bo mocno się rozpadało. Ale wyglądało na to, że pogoda nie popsowała im humorów.

Po kilkugodzinnym spotkaniu z Loai, jego zwierzchnikiem i strażnikami wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem. Byłem zadowolony z siebie, chociaż wędrówka z powrotem była długa, mokra i zimna.

Od tej pory zawsze spotykaliśmy się w tym systemie. Za każdym razem wszystko było perfekcyjne wyreżyserowane i dopracowane. Nie musiałem już przecinać płotu, choć na wszelki wypadek zawsze miałem przy sobie nożyce.

*

Po mojej udanej „ucieczce” przed nalotem wojska nagłośnionej w mediach miałem w dalszym ciągu oko na ojca. Sprawdzałem, czy jest bezpieczny i czy czegoś mu nie brakuje. Co jakiś czas zaglądałem do biura USAID, ale ponieważ wszystkie projekty zostały zawieszane, drobne prace, które mi zostały, mogłem wykonać na komputerze w domu. Wieczory spędzałem w towarzystwie osób poszukiwanych przez Izraelczyków i zbierałem informacje wywiadowcze. A raz lub dwa razy w miesiącu, późną nocą, włamywałem się do ściśle strzeżonej bazy woskowej na umówione spotkanie z Szin Bet.

W wolnym czasie nadal widywałem się z moimi chrześcijańskimi przyjaciółmi, żeby rozmawiać o Jezusie. Zresztą nie chodziło tylko o rozmowy. Choć ciągle byłem tylko naśladowcą Nauczyciela, każdego dnia czułem, że doświadczam Bożej miłości i ochrony. Co więcej, wydawało się, że Jego ochrona rozciąga się też na członków mojej rodziny.

Pewnego popołudnia żołnierze z oddziałów specjalnych przeczesali City Inn w poszukiwaniu terrorystów. Niczego nie znaleźli, więc postanowili zrobić sobie przerwę w sąsiednim domu. To była powszechna praktyka. Wojsko nie potrzebowało specjalnych rozkazów czy upoważnienia. Gdy sytuacja była w miarę spokojna, żołnierze po prostu

wkraczali do czyjegoś domu, żeby odpocząć tam przez kilka godzin i coś przekąsić. Z kolei w trakcie ciężkich walk włamywali się do domów i używali mieszkańców w roli żywych tarcz - zupełnie jak fedaini.

Tego dnia wybrali dom, w którym ukrywał się mój ojciec. Oficerowie Szin Bet o niczym nie wiedzieli, zresztą nikt z nas nie miał pojęcia. Nikt nie mógł przewidzieć, że akurat tego dnia żołnierze wybiorą sobie właśnie to miejsce. Gdy się tam zjawili, tata skrył się w piwnicy.

- Czy moglibyście pozostawić psy za drzwiami? - poprosiła gospodyni - Mam małe dzieci.

Jej mąż obawiał się, że wojsko znajdzie Hasana Jusufa i aresztuje ich za ukrywanie zbiega. Próbował zachowywać się normalnie i nie okazywać strachu - kazał swojej siedmioletniej córeczce podejść i przywitać się z żołnierzami. Dziewczynka spodobała się dowódcy. Uznał, że jest to najzwyczajniejsza rodzina, która nie ma nic wspólnego z terrorystami. Zapytał uprzejmie gospodynię, czy jego ludzie mogliby trochę odpocząć na piętrze. Kobieta się zgodziła. Dwudziestu pięciu żołnierzy izraelskich przebywało w tym domu przez ponad osiem godzin, nie zdając sobie sprawy, że mój ojciec znajduje się dosłownie pod nimi.

Towarzyszyło mi wyraźne poczucie nadprzyrodzonej ochrony. Dostrzegałem ingerencję Opatrzności w różnych wydarzeniach. Pewnego razu Ahmad al-Faransi (który poprosił mnie kiedyś o materiały wybuchowe dla swoich zamachowców) zadzwonił do mnie z centrum Ram Allah z pytaniem, czy nie mógłbym go podwieźć do domu. Powiedziałem mu, że jestem w okolicy i że zabiorę go za kilka minut. Dotarłem na miejsce, Al-Faransi wsiadł do auta i ruszyliśmy.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy zadzwoniła jego komórka. Al-Faransi figurował na rządowej liście osób przeznaczonych do likwidacji, a telefonowano z kwatery głównej Arafata z ostrzeżeniem, że śledzą nas izraelskie helikoptery. Otworzyłem okno i usłyszałem nadlatujące śmigłowce Apache. Choć może się to wydać dziwne komuś, kto nigdy nie słyszał cichego głosu Bożego w swoim wnętrzu, wierzę, że tego dnia Bóg przemówił do mojego serca. Czuję, że mam natychmiast skrócić w lewo pomiędzy dwa budynki. Okazało się później, że gdybym dalej jechał prosto, Izraelczycy mieliby czyste pole do oddania strzału. Kiedy skręciłem w uliczkę, natychmiast usłyszałem wewnętrzny głos, mówiący: *Wysiadaj z samochodu i uciekaj*. Wskoczyliśmy i pobiegliśmy. Po chwili helikopter znowu namierzył cel, ale pilot zobaczył już tylko puste auto z otwartymi drzwiami. Unosił się nad nim jeszcze około minuty, a następnie zawrócił i odleciał.

Jak się później dowiedziałem, wywiad otrzymał informację, że zauważono Al-

Faransiego, gdy wsiadał do granatowego audi. Po mieście jeździło mnóstwo takich samochodów. Loai był akurat poza salą operacyjną i nie oznaczył mojej lokalizacji, a nikomu nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy to audi nie należy przypadkiem do „Zielonego Księcia”. Zresztą tylko kilku oficerów Szin Bet wiedziało o moim istnieniu.

Czułem, że stale otacza mnie Boża ochrona. Wprawdzie nie byłem jeszcze chrześcijaninem, a Al-Faransi najpewniej też nie miał nic wspólnego z Panem Jezusem, jednak moi przyjaciele chrześcijanie codziennie się o mnie modlili. A jak powiedział Jezus w Ewangelii według św. Mateusza 5:45, Bóg sprawia, że „słońce jego wschodzi nad złymi i dobrymi, i deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych”. Jak wielki kontrast w zestawieniu z okrutnym i mściwym Bogiem Koranu!

ARESzt PREWENCYJNY

JESIEŃ 2002-WIOSNA 2003

Byłem u kresu wytrzymałości. Męczyło mnie odgrywanie tyłu niebezpiecznych ról naraz, męczyła mnie konieczność ciągłego dostosowywania sposobu bycia i wyglądu do towarzystwa, w którym akurat przebywałem. W obecności ojca i innych przywódców Hamasu musiałem grać rolę oddanego członka tej organizacji. W Szin Bet przeistaczałem się w izraelskiego kolaboranta. W domu rodzinnym byłem ojcem i opiekunem dla rodzeństwa, a w biurze - zwyczajnym pracownikiem. Kończyłem ostatni semestr na studiach i powinienem był przygotowywać się do egzaminów. Ale nie mogłem się skoncentrować.

Pod koniec sierpnia 2002 roku zdecydowałem, że czas przejść do drugiego aktu przedstawienia, które rozpoczęło się od upozorowanej próby aresztowania.

- Już nie mogę dłużej tak ciągnąć - powiedziałem Loai. - Czy kilka miesięcy w więzieniu wystarczy? Przeprowadźcie sfingowane śledztwo. Kiedy mnie wypuścicie, spokojnie dokończę szkołę, wrócę do pracy w USAID i znów będę prowadził normalne życie.

- A co z ojcem?

- Nie zamierzam go zostawić na pewną śmierć. Jego też aresztujcie.

- Jeśli tak sobie życzysz... Rząd z pewnością się ucieszy, że wreszcie schwytaliśmy Hasana Jusufa.

Powiedziałem mamie, gdzie ukrywa się ojciec, i pozwoliłem jej go odwiedzić. Pięć minut po tym, jak dotarła do zakonspirowanego mieszkania, całą okolicę obiegły siły specjalne. Żołnierze biegali po ulicach, krzycząc do cywilów, aby chronili się w domach.

Jeden z tych „cywilów” siedział właśnie przed domem, pałac nargile (turecką fajkę wodną), a był to nie kto inny, jak konstruktor bomb Abd Allah Barghuti. Abd Allah nie miał pojęcia, że po drugiej stronie ulicy ukrywa się Hasan Jusuf. A biedny żołnierz izraelski, który kazał Abd Allahowi schować się do środka, nie domyślał się, że widzi przed sobą najgroźniejszego zbrodniarza poszukiwanego w Izraelu.

Zresztą wszyscy trwali w nieświadomości. Mój ojciec nie wiedział, że rodzony syn wydał go, żeby mu uratować życie. Dowódcy z Sił Obronnych nie mieli pojęcia, że oficerowie Szin Bet przez cały czas wiedzieli, gdzie przebywa Hasan Jusuf. Nie zdawali sobie

sprawy, że całkiem niedawno żołnierze zjedli drugie śniadanie i ucieli sobie drzemkę w tym samym budynku, który służył ojcu za kryjówkę.

Jak zwykle tata poddał się bez walki. Zarówno on, jak i inni przywódcy Hamasu doszli do wniosku, że Szin Bet wpadła na jego trop, śledząc moją matkę. Mamie oczywiście było przykro, ale odczuła też ulgę, że jej mąż znajdzie się w bezpiecznym miejscu i nie będzie już figurował na izraelskiej liście osób przeznaczonych do likwidacji.

- Tobą zajmiemy się wieczorem - powiedział Loai, kiedy było już po wszystkim.

Przed zachodem słońca czekałem w domu. Zobaczyłem przez okno, jak kilkunastu żołnierzy z oddziałów specjalnych szybko zbliża się do budynku i zajmuje pozycje. Wiedziałem, że muszę trzymać głowę nisko i przygotować się na brutalne potraktowanie. Kilka minut później zajechały dżipy. Potem czołg. Wojsko zamknęło okolice. Ktoś wskoczył na mój balkon. Ktoś inny załomotał do drzwi.

- Kto tam? - zawołałem, udając, że nie wiem.

- Siły Obronne Izraela! Otwieraj!

Otworzyłem. Powalili mnie na podłogę i przeszukali, upewniając się, że nie mam broni.

- Ktoś jeszcze tu jest?

- Nie.

Właściwie nie wiem, po co pytali, skoro i tak zaczęli przeszukiwać pokój po pokoju, kopiąc w każde drzwi. Na zewnątrz stanąłem twarzą w twarz z przyjacielem.

- Gdzie się chowałeś? - Loai beształ mnie ostro. Wczuł się w rolę. - Szukaliśmy cię. Chcesz zginąć? Twoja zeszłoroczna ucieczka z domu to był kiepski pomysł.

Grupa groźnie wyglądających żołnierzy słuchała i patrzyła.

- Mamy twojego ojca - powiedział - i w końcu ciebie też dopadliśmy! Zobaczymy, co nam powiesz na przesłuchaniu!

Kilku żołnierzy wrzuciło mnie do dżipa. Loai zaszedł do mnie, pochylił się, żeby nikt go nie usłyszał, i zapytał:

- Jak tam, kolego, w porządku? Kajdanki nie uwierają za mocno?

- Wszystko w porządku - odpowiedziałem. - Zabierz mnie stąd i nie pozwól, żeby żołnierze pobili mnie po drodze.

- Nic się nie bój, będzie przy tobie jeden z moich ludzi.

Zawieźli mnie do bazy Ofer, gdzie usiedliśmy w tym samym pokoju, w którym spotykaliśmy się wcześniej. Odbyliśmy kilkugodzinne „przesłuchanie”, popijając kawę i omawiając sytuację.

- Zabierzemy cię do Moskowije - powiedział Loai - ale na krótko. Postaramy się stworzyć wrażenie, że poddano cię ciężkiemu przesłuchaniu. Twój ojciec już tam jest, będziesz mógł się z nim spotkać. Nie jest przesłuchiwany ani torturowany. Potem osadzimy cię w areszcie administracyjnym. Spędzisz tam kilka miesięcy, a wtedy poprosimy o przedłużenie twojego wyroku o trzy miesiące. Osiągnąłeś taki status, że musisz odsiedzieć swoje.

Gdy zobaczyłem funkcjonariuszy - nawet tych, którzy torturowali mnie w czasie pierwszego pobytu w więzieniu - zdziwiłem się, że nie czuję żalu ani gniewu. Jedyne wytłumaczenie tego faktu znajdowałem w wersecie, który przeczytałem w nowotestamentowym Liście do Hebrajczyków 4:12: „Słowo Boże jest żywe i skuteczne, ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić zamiary i myśli serca”. Czytałem te słowa wielokrotnie i często je rozważałem. Rozmyślałem też nad przykazaniem Jezusa, żeby przebaczać wrogom i kochać tych, którzy nas prześladowają. Choć nadal nie byłem gotowy uznać Jezusa Chrystusa za Boga, Jego słowa w jakiś sposób żyły we mnie i zmieniały mój sposób myślenia. Nie wiem, jak inaczej mógłbym patrzeć na tych mężczyzn i widzieć w nich przede wszystkim ludzi, a nie Żydów czy Arabów, więźniów czy oprawców. Dawną nienawiść, która skłoniła mnie do kupna broni i snucia planów zabijania Izraelczyków, zastąpiła teraz miłość, której nie pojmowałem.

Umieszczono mnie na kilka miesięcy w osobnej celi. Kiedy koledzy z Szin Bet nie byli zajęci przesłuchiowaniem innych więźniów, zaglądali do mnie, żeby pogadać i sprawdzić, jak się mam. Dobrze się odżywiałem i pozostawałem najpilniej strzeżoną tajemnicą więzienia. Tym razem nie było żadnych cuchnących kapturów, dziwnych garbatych strażników ani nawet piosenek Leonarda Cohena (życie potrafi jednak zaskoczyć - Cohen został później moim ulubionym wykonawcą). Na Zachodnim Brzegu rozpuszczono pogłoskę, że jestem naprawdę twardym facetem, który nic nie powiedział Izraelczykom nawet na torturach.

Kilka dni przed opuszczeniem Moskowije zostałem przeniesiony do celi ojca. Kiedy mnie ujrzał, na jego twarzy odmalowała się ulga, uśmiechnął się i przytulił mnie.

- Poszedłem w twoje ślady - powiedziałem ze śmiechem. - Nie mogę bez ciebie żyć.

W celi było jeszcze dwóch innych więźniów. Rozmawialiśmy i żartowaliśmy. Szczerze mówiąc, bardzo się cieszyłem, że widzę tatę za kratami. Tutaj był bezpieczny. Tutaj nie mógł ściągnąć na siebie kłopotów. I żaden pocisk nie mógł spaść mu na głowę.

Kiedy czytał nam Koran, po prostu patrzyłem na niego i z przyjemnością słuchałem jego pięknego głosu. Przypominałem sobie, jak łagodnie nas traktował, kiedy byliśmy mali.

Nigdy nie ściągał nas z łóżek siłą na poranną modlitwę - sami wstawaliśmy, bo chcieliśmy, żeby był z nas dumny. Tata poświęcił swoje życie Allahowi, kiedy był jeszcze bardzo młody, a my szliśmy za jego przykładem.

Myślałem sobie teraz: Kochany tato, strasznie się cieszę, że tu razem siedzimy. Może nie marzyłeś o tym, by ponownie znaleźć się w więzieniu, ale gdybyś tu nie trafił, twoje ciało porozrywane na strzepy leżałoby gdzieś teraz w plastikowym worku. Czasami podnosił oczy i widział, że się do niego uśmiecham z miłością i wdzięcznością. Nie rozumiał dlaczego, a ja nie mogłem mu wytłumaczyć.

Kiedy przyszli po mnie strażnicy, przytuliliśmy się mocno z ojcem. Wydawał się taki kruchy w moich objęciach, a jednak wiedziałem, że ma w sobie wielką wewnętrzną siłę. Przez ostatnie dni byliśmy ze sobą tak blisko, że teraz czułem się niemal odrywany od niego. Ze smutkiem żegnałem się także z oficerami Szin Bet. W ciągu kilku lat wytworzyła się między nami silna więź. Spojrzałem na ich twarze z nadzieją, że wiedzą, jak bardzo ich cenię. Oni natomiast patrzyli na mnie przeprasząco, świadomi, że następny etap mojej podróży nie będzie łatwy.

Twarze żołnierzy, którzy zakuli mnie w kajdanki do transportu, miały zupełnie inny wyraz. Dla nich byłem terrorystą, który wymknął się z obławy Sił Obronnych, zakpił sobie z nich i ukrywał się przez długi czas. Tym razem zabrano mnie do więzienia Ofer na terenie bazy wojskowej, w której wcześniej spotykałem się regularnie z Szin Bet.

Tak jak pozostali więźniowie wyhodowałem długą, bujną brodę i dołączyłem do codziennej rutyny. W czasie przeznaczonym na modlitwę klękałem, kłaniałem się i modliłem - ale już nie do Allaha. Teraz zwracałem się do Stwórcy wszechświata. Coraz bardziej zbliżałem się do Niego. Któregoś dnia znalazłem nawet Biblię w języku arabskim, ukrytą w bibliotece w dziale religii świata. Była to cała Biblia, nie tylko Nowy Testament. Wyglądała na zupełnie nową. Założę się, że nikt nawet nie wiedział o jej istnieniu. Jaki piękny prezent od Boga! Nieustannie się w niej zaczytywałem.

Co jakiś czas ktoś do mnie podchodził i delikatnie wypytywał, co takiego robię. Wyjaśniałem, że studiuje historię, a ponieważ Biblia to starożytna księga, jest jednym z najlepszych źródeł o dawnych dziejach. Poza tym - tłumaczyłem - Biblia przedstawia wspaniałe wartości i każdy muzułmanin powinien ją przeczytać. Zwykle taka odpowiedź zadowalała pytających. Denerwowali się tylko w czasie Ramadanu, kiedy widzieli, że studiuje Biblię pilniej niż Koran.

Grupa biblijna, na którą wcześniej uczęszczałem w zachodniej Jerozolimie, była otwarta dla wszystkich - chrześcijan, muzułmanów, Żydów, ateistów. Na spotkaniach miałem

okazję siedzieć obok Żydów, którzy przychodzili w tym samym celu, co ja - żeby zapoznać się z chrześcijaństwem i dowiedzieć się więcej o Jezusie. Dla mnie, palestyńskiego muzułmanina, było to wyjątkowe przeżycie - uczyłem się o Jezusie wspólnie z izraelskimi Żydami.

Poznałem wtedy dość dobrze pewnego Żyda o imieniu Amnon. Miał żonę i dwoje ślicznych dzieci. Był bardzo inteligentny, znał kilka języków. Jego żona była chrześcijanką i przez długi czas zachęcała go, by się ochrzcił. W końcu Amnon zdecydował się na ten krok. Pewnego wieczoru grupa zebrała się, by uczestniczyć w chrzcie, który odbywał się w wannie w domu pastora. Gdy przybyłem na miejsce, Amnon właśnie skończył czytać fragment z Biblii i zaczął rzewnie płakać.

Wiedział, że kiedy pozwoli się zanurzyć w wodzie, wyzna posłuszeństwo Jezusowi przez utożsamienie się z Jego śmiercią i zmartwychwstaniem. Ale rozumiał także, że tą deklaracją weźmie rozbrat ze swoją kulturą. Odwróci się od wiary swego ojca, profesora Uniwersytetu Hebrajskiego, duchowo rozstanie się ze społeczeństwem izraelskim i jego tradycjami religijnymi, zniszczy swoją reputację i narazi na szwank całą przyszłość.

Wkrótce potem Amnon otrzymał wezwanie do odbycia służby wojskowej w Siłach Obronnych Izraela. W Izraelu wszyscy obywatele niearabskiego pochodzenia powyżej osiemnastego roku życia muszą odsłużyć w wojsku trzy lata (mężczyźni) lub dwa lata (kobiety). Ale Amnon wielokrotnie widział masakry na posterunkach i czuł, że jako chrześcijanin nie może postawić się w sytuacji, w której musiałby strzelać do nieuzbrojonych cywilów. Odmówił założenia munduru i odbycia służby na Zachodnim Brzegu.

- Nawet gdybym mógł wykonać rozkaz, strzelając do rzucającego kamieniami dzieciaka w nogę, a nie w głowę - argumentował - nie chcę tego robić. Jestem powołany do tego, by kochać moich wrogów.

Po jakimś czasie otrzymał drugie wezwanie. I trzecie.

Ponieważ konsekwentnie odmawiał podjęcia służby wojskowej, został aresztowany i skazany. Nie wiedziałem, że przez cały czas, gdy przebywałem w Ofer, Amnon znajdował się w żydowskiej części tego samego więzienia. Trafił za kraty, ponieważ odmówił współpracy z władzami Izraela. Ja znalazłem się w tym samym miejscu, dlatego że zgodziłem się na tę współpracę. Ja próbowałem chronić Żydów, on próbował chronić Palestyńczyków.

Nie uważam, że rozlew krwi skończy się dopiero wtedy, gdy wszyscy w Izraelu i na Terytoriach Okupowanych zostaną chrześcijanami. Ale zastanawiam się, co by było, gdybyśmy mieli tysiąc Amnonów po jednej stronie i tysiąc Musabów po drugiej? Na pewno odczuliśmyby różnicę. A gdyby było nas jeszcze więcej... to kto wie?

Po kilku miesiącach w Ofer stanąłem przed sądem, gdzie nikt nie wiedział, kim jestem - ani sędzia, ani prokuratorzy, ani nawet mój obrońca. Na rozprawie oficerowie Szin Bet zeznali, że stanowią zagrożenie, i wnioskowali o dalsze zatrzymanie mnie w więzieniu. Sędzia się przychylił i skazał mnie na sześć miesięcy pozbawienia wolności. Znow zostałem przeniesiony.

Więzienie namiotowe Kcijot znajduje się na pustyni Negew, w pobliżu zakładów nuklearnych Dimona, kilka godzin jazdy od cywilizacji. W lecie można ugotować się tam z gorąca, a zimą zamarznąć z zimna.

- Organizacja?

- Hamas.

Nadal utożsamiałem się z moją rodziną i z moją historią. Ale teraz byłem już innym człowiekiem.

Hamas wciąż stanowił większość, jednak od czasu rozpoczęcia drugiej intifady coraz większe wpływy zyskiwał Fatah. Do każdego z tych ugrupowań należało mniej więcej tyle samo namiotów. Byłem zmęczony udawaniem, a mój nowy kodeks etyczny nie pozwalał mi kłamać. Zdecydowałem więc, że będę się trzymał na uboczu.

Więzienie Kcijot znajdowało się na prawdziwym pustkowiu. W nocy rozlegało się wycie wilków, hien i lampartów. Słyszałem o więźniach, którzy uciekli z obozu, ale nikomu nie udało się przetrwać na pustyni. Zima była gorsza niż lato - lodowate powietrze, zacinający śnieg i zimny wiatr, przed którymi chroniło tylko płótno namiotów. Każdy namiot miał pod dachem wkłady zabezpieczające przed wilgocią, jednak więźniowie zrywali je i robili z nich zasłonki wokół prycz. We wkładach miała się gromadzić wilgoć z naszych oddechów, ale teraz unosiła się w górę i wsiąkała w goły brezent, aż robił się ciężki. W nocy, gdy spaliśmy, zgromadzona ciecz opadała na nas z powrotem.

Próbując zapanować nad plagą myszy, Izraelczycy wyłożyli cały obóz lepami. Któregoś mroźnego poranka, kiedy wszyscy jeszcze spali, a ja czytałem Biblię, usłyszałem skrzypienie podobne do dźwięku zardzewiałej sprężyny. Zajrzałem pod łóżko i zobaczyłem mysz przyklejoną do pułapki. Druga mysz - małżonek lub przyjaciel - próbowała ją ratować, ostrożnie obchodząc pułapkę z różnych stron. Obserwowałem przez pół godziny, jak to małe stworzenie narażało życie, żeby uratować swego towarzysza. Tak bardzo mnie to poruszyło, że uwolniłem je obie.

Wybór lektur w więzieniu ograniczał się w zasadzie do Koranu i studiów koranicznych. Miałem tylko dwie książki w języku angielskim, które przyjaciel przemyślił dla mnie za pośrednictwem adwokata. Bardzo się cieszyłem, że mam coś do czytania i mogę

pracować nad znajomością angielskiego, ale wkrótce znałem te książki niemal na pamięć. Któregoś dnia, gdy spacerowałem po obozie, zauważyłem dwóch więźniów przygotowujących herbatę. Za nimi stała wielka drewniana skrzynia wypełniona książkami, które przysłał w darze Czerwony Krzyż. Ci dwaj więźniowie darli je na strzępy i używali jako podpałki! Byłem wściekły. Wyrwałem im skrzynię i zacząłem wyjmować książki. Pomyśleli, że też chcę sobie zrobić herbatę.

- Zwariowaliście? - zaprotestowałem. - Wiecie, ile zachodu mnie kosztowało, żeby przemycić tu dwie książki po angielsku, a wy używacie tych tutaj na podpałkę?!

- To są książki chrześcijańskie - próbowali się bronić.

- Żadne tam chrześcijańskie. To bestsellery „New York Timesa”. Na pewno nie krytykują islamu. To po prostu opowieści o zwykłych ludzkich sprawach.

Pewnie zastanawiali się, co też strzeliło do głowy synowi Hasana Jusufa. Stroni od wszystkich, większość czasu siedzi i czyta, a tu nagle robi awanturę o pudło z książkami. Nikomu innemu zapewne nie oddaliby cennej podpałki, ale mi nie odmówili. Tak więc wróciłem do namiotu ze skrzynią pełną skarbów. Ułożyłem książki dookoła swojej pryczy i rozkoszowałem się nimi. Było mi wszystko jedno, co sobie pomyślą inni. Moje serce śpiewało z wdzięczności dla Boga, że zesłał mi coś, co pomoże mi przetrwać więzienie.

Czytałem po szesnaście godzin dziennie, aż z powodu marnego oświetlenia przestawałem widzieć. W ciągu czterech miesięcy spędzonych w Kcijot przyswoiłem sobie cztery tysiące nowych angielskich słówek.

W tym czasie doszło także do dwóch buntów więziennych, znacznie gorszych niż ten w Megiddo. Ale Bóg mnie przez to wszystko przeprowadził. Odczuwałem Jego obecność i troskę tak namacalnie, jak nigdy wcześniej ani później. Choć jeszcze nie rozpoznałem w Jezusie Stwórcy wszechświata, uczyłem się kochać Boga Ojca.

*

Wyszedłem z więzienia 2 kwietnia 2003 roku, gdy oddziały koalicji zbliżyły się do Bagdadu. Wracałem na wolność jako szanowany przywódca Hamasu, zaprawiony w boju terrorysta i sprytny uciekinier. Przeszedłem próbę ognia. Ryzyko, że zostanę zdemaskowany jako agent, znacznie zmalało, a ojciec żył i był bezpieczny.

Nie musiałem już zachowywać się jak ścigany i znowu mogłem swobodnie chodzić ulicami Ram Allah. Mogłem być sobą. Zadzwoiłem do mamy, a potem do Loai.

- Witaj w domu, Zielony Książę. Brakowało nam ciebie. Dużo się dzieje, a bez twojej pomocy trudno nam sobie poradzić.

Kilka dni później spotkałem się z Loai i pozostałymi izraelskimi przyjaciółmi. Mieli

dla mnie tylko jedną nowinę, ale za to jaką.

W marcu trafili na ślad Abd Allaha Barghutiego i aresztowali go. Jeszcze tego samego roku ten urodzony w Kuwejcie konstruktor bomb stanął przed izraelskim sądem wojskowym, oskarżony o zabicie sześćdziesięciu sześciu osób i ranienie około pięciuset. Wiedziałem, że ofiar było więcej, ale tylko te można było udowodnić. Otrzymał sześćdziesiąt siedem wyroków dożywocia - jeden za każdą ofiarę śmiertelną i jeden dodatkowy za tych, którzy zostali ranni w zamachach. Przy odczytaniu wyroku nie okazał żadnej skruchy, obwinił Izrael i żałował tylko, że nie było mu dane zabić więcej Żydów.

„Fala morderczego terroru, za którą odpowiada oskarżony, była jedną z najstraszniejszych w krwawej historii tego kraju” - stwierdzili sędziowie¹². Barghuti wpadł w szal, groził, że pozabija sędziów i nauczy każdego współwięźnia z Hamasu, jak robić bomby. Dlatego umieszczono go w izolatce.

Jednak Ibrahim Hamid, mój przyjaciel Salih Talahma i kilku innych poszukiwanych wciąż pozostawało na wolności.

W październiku projekt USAID, przy którym pracowałem, zakończył się, a wraz z nim moje zatrudnienie. Rzuciłem się więc w wir pracy dla Szin Bet, gromadząc wszelkie informacje, jakie trafiały mi w ręce.

Pewnego ranka kilka miesięcy później zadzwonił Loai.

- Znaleźliśmy Saliha.

25

SALIH

ZIMA 2003-WIOSNA 2006

Każdy mógł bez trudu odgadnąć, gdzie ostatnio był Salih i jego towarzysze. Ciągnął się za nimi szlak krwi, który nie pozostawiał wątpliwości. Nikomu aż do tej pory nie udało się ich jednak dogonić.

W końcu Szin Bet wytropiła Saliha. Martwiłem się. Salih był moim przyjacielem, pomagał mi w nauce, dzieliłem chleb z nim i jego żoną, bawiłem się z ich dziećmi. Ale Salih był także terrorystą. Kiedy przebywał w areszcie Autonomii Palestyńskiej, kontynuował studia na Otwartym Uniwersytecie Al-Kuds. Dzięki zdobytej wiedzy został prawdziwym mistrzem w konstrukcji bomb - potrafił wyprodukować ładunki wybuchowe nawet z bezużytecznych odpadów.

Gdy władze Autonomii zwolniły Saliha z więzienia, znalazł się pod obserwacją Szin Bet. Izraelczycy zastanawiali się, ile czasu zajmie jemu i jego kolegom odbudowanie Brygad Al-Kasam. Nie trwało to długo. Odtworzona organizacja nie była duża - była za to śmiertelnie niebezpieczna.

Mózgiem operacji był Mahir Uda. Salih pełnił rolę inżyniera, a Bilal Barghuti zajmował się rekrutacją zamachowców samobójców. W rzeczywistości zbrojne skrzydło Hamasu składało się raptem z kilkunastu osób, które działały niezależnie, dysponowały oddzielnymi budżetami i spotykały się tylko w razie konieczności. Salih był w stanie przygotować kilka pasów z ładunkami wybuchowymi w ciągu jednej nocy, a Bilal dysponował długą listą kandydatów na „męczenników”.

Gdybym uważał, że Salih jest niewinny, ostrzegłbym go. Ale kiedy w końcu połączyliśmy wszystkie elementy układanki, zdałem sobie sprawę, że to on stał za zamachem na Uniwersytecie Hebrajskim i za wieloma innymi atakami. Należało go zamknąć w więzieniu. Jedyne, co mogłem dla niego zrobić, to zapoznać go z nauką Jezusa i zachęcić, żeby za nią poszedł, tak jak ja. Wiedziałem jednak, że jest zaślepiony gniewem i zbyt fanatycznie oddany swojej sprawie, żeby wysłuchać starego przyjaciela. Postanowiłem uprosić Szin Bet, żeby nie zabijali Saliha i pozostałych, tylko podjęli próbę aresztowania. Zgodzili się bardzo niechętnie.

Agenci izraelscy obserwowali Saliha przez dwa miesiące. Śledzili go, kiedy wyszedł z mieszkania, żeby spotkać się z Hasaninem Rumaną w jakimś opuszczonym domu. Pilnowali go, kiedy wrócił do siebie i nie wychodził na zewnątrz przez kolejny tydzień. Obserwowali jego przyjaciela Sajjida asz-Szajcha Kasama. Ten wychodził częściej, ale na krótko i zawsze szybko wracał po załatwieniu sprawy. Imponowała ostrożność, jaką zachowywali wszyscy poszukiwani. Nic dziwnego, że tyle to trwało, zanim ich namierzyliśmy. Jednak kiedy już wpadliśmy na trop, pozostawało jedynie wyśledzić wszystkie osoby, z którymi się kontaktowali - w sumie była to siatka licząca kilkudziesięciu członków.

Znaleźliśmy trzech głównych poszukiwanych z listy, ale nadal mieliśmy jedynie szczątkowe informacje na temat Ibrahima Hamida i Mahira Udy. Musieliśmy zdecydować, czy poczekamy, aż jakiś trop zaprowadzi nas bliżej - a to mogło potrwać - czy raczej przetrącimy kręgosłup Brygad Al-Kasam na Zachodnim Brzegu, aresztując osoby, które namierzyliśmy do tej pory. Wybraliśmy to drugie rozwiązanie, licząc na to, że przy odrobinie szczęścia Hamid i Uda też wpadną w sidła.

Wieczorem 1 grudnia 2003 roku siły specjalne otoczyły ponad pięćdziesiąt podejrzanych adresów jednocześnie. Wezwano wszystkie jednostki z całego Zachodniego Brzegu. Czołowi przywódcy Hamasu zaszyli się w budynku Al-Kiswani w Ram Allah. Nie odpowiadali na wezwanie do poddania się. Salih i Sajjid mieli mnóstwo broni, w tym ciężkie karabiny maszynowe, jakie zwykle montuje się na pojazdach wojskowych.

Operacja utknęła w martwym punkcie od dwudziestej drugiej aż do rana. Kiedy w końcu rozpoczęła się wymiana ognia, strzelaninę słychać było nawet w moim domu. W pewnej chwili rozległ się huk wystrzału z działa merkawy i wszystko ucichło. O szóstej rano zadzwonił telefon.

- Twój przyjaciel nie żyje - powiedział Loai. - Jest mi bardzo przykro. Wiesz, że oszczędzilibyśmy go, gdyby to było możliwe. Gdyby tylko ten człowiek - głos Loai załamał się - gdyby tylko dorastał w innym środowisku, mógłby być kimś innym. Byłby taki jak my. On naprawdę wierzył, że robi coś dobrego dla swojego narodu. Po prostu bardzo się mylił.

Loai wiedział, że kochałem Saliha i nie chciałem, żeby zginął. Rozumiał, że Salih walczył z tym, co uważał za zgubne dla swojego narodu. Być może także Loai dostrzegł w Salihu bliźniego?

- Czy wszyscy zginęli?

- Jeszcze nie widziałem ciał. Zabrali je do szpitala miejskiego w Ram Allah. Musisz tam pojechać i zidentyfikować zwłoki. Tylko ty znałeś ich wszystkich.

Zarzuciłem kurtkę i pojechałem do szpitala. Ciągle miałem nadzieję, że może to nie

Salih, może zabili kogoś innego. Na miejscu panował totalny chaos. Rozgniewani działacze Hamasu protestowali na ulicy, wszędzie pełno było policji. Nikomu nie pozwalano wejść do środka, ale ponieważ wszyscy mnie znali, zostałem wpuszczony. Pracownik szpitala poprowadził mnie korytarzem do kostnicy wypełnionej agregatami chłodniczymi. Otworzył jedną z komór i powoli wysunął szufladę, napętniając salę zapachem śmierci.

Zobaczyłem twarz Saliha. Prawie się uśmiechał, ale... jego głowa była pusta w środku. Szuflada Sajjida zawierała różne części ciała - nogi, głowę i inne fragmenty - umieszczone w czarnym plastikowym worku. Ciało Hasanina Rumany zostało rozerwane na dwie części. Nie byłem nawet pewien, czy to on, ponieważ twarz miał ogoloną, a zapamiętałem go z jasnobrązową brodą. Choć media twierdziły inaczej, nie było wśród zabitych Ibrahima Hamida. Człowiek, który nakazał tym mężczyznom walczyć aż do śmierci, uciekł, ratując własną głowę.

Ponieważ prawie wszyscy przywódcy Hamasu z Zachodniego Brzegu byli martwi albo siedzieli w więzieniu, przejąłem rolę głównego łącznika z liderami w Gazie i Damaszku. Kontaktowała się ze mną cała palestyńska sieć partii politycznych, organizacji, frakcji i komórek - w tym komórek terrorystycznych. I nikt poza kilkoma wysoko postawionymi oficerami Szin Bet nie wiedział, kim jestem w rzeczywistości. Niewiarygodne.

W związku z nową rolą przypadł mi smutny obowiązek zorganizowania pogrzebu Saliha i jego towarzyszy. Zająłem się tym. Starłem się jednocześnie zwracać uwagę na wszelkie reakcje lub wypowiedzi, które mogłyby nas zaprowadzić do Hamida.

- Skoro plotki już i tak krążą - powiedział Loai - a ty zastępujesz aresztowanych przywódców, rozpuścimy pogłoskę, że Ibrahim Hamid dogadał się z Szin Bet. Większość Palestyńczyków nie ma pojęcia, co się dzieje. Uwierzą, i Hamid będzie musiał się publicznie bronić albo przynajmniej skontaktuje się z liderami w Gazie lub w Damaszku. Tak czy owak, możemy wpaść na jego trop.

Pomysł był znakomity, ale szefowie agencji nie zgodzili się na jego wdrożenie. Obawiali się, że Ibrahim z zemsty dokona zamachu na cywilów - jakby śmierć jego przyjaciół i aresztowanie połowy organizacji nie było dostatecznym powodem do wzięcia odwetu.

Musieliśmy zastosować inne rozwiązanie.

Agenci zainstalowali urządzenia podsłuchowe w każdym pokoju w domu Hamida. Liczyliśmy na to, że jego żonie lub dzieciom wymkną się z ust jakieś informacje. Okazało się jednak, że jest to najcichszy dom w Palestynie. Kiedyś usłyszeliśmy, jak synek Hamida, Ali, zapytał matkę: „Gdzie jest tatuś?”.

- Na ten temat w ogóle nie rozmawiamy - zganiła go żona Hamida.

Skoro jego najbliżsi byli tak ostrożni, to jak przezorny musiał być sam Hamid? Mijały miesiące, a nam nadal nie udawało się wpaść na jakikolwiek ślad.

*

Pod koniec października 2004 roku Jasir Arafat poczuł się gorzej podczas spotkania. Jego ludzie oznajmili, że ma grypę. Stan Arafata pogarszał się jednak i w końcu przewieziono go z Zachodniego Brzegu do szpitala pod Paryżem. 3 listopada zapadł w śpiączkę. Mówiło się, że został otruty albo że miał AIDS. Zmarł 11 listopada w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.

Tydzień później mój ojciec został zwolniony z więzienia, ku swemu wielkiemu zdziwieniu. Rankiem tego dnia, kiedy miał wyjść na wolność, spotkali się z nim Loai i inni szefowie Szin Bet.

- Szajchu Hasanie - powiedzieli - nadszedł czas, by zawrzeć pokój. Ludzie potrzebują kogoś takiego jak pan. Arafat odszedł, wielu ludzi ginie. Jest pan rozsądnym człowiekiem. Musimy jakoś zapanować nad sytuacją, zanim dojdzie do jeszcze gorszych rzeczy.

- Opuśćcie Zachodni Brzeg i dajcie nam niezależne państwo - odpowiedział ojciec - a będzie po wszystkim.

Oczywiście obie strony dobrze wiedziały, że Hamas nigdy nie spocznie, dopóki istnieje Izrael. Niemniej powstanie niezależnej Palestyny mogłoby zapewnić spokój na dziesięć lub dwadzieścia lat.

Czekałem pod więzieniem Ofer w towarzystwie setek reporterów z całego świata. Dwóch izraelskich żołnierzy wyprowadziło ojca za bramę. Niósł swoje rzeczy w czarnym worku na śmieci i mrużył oczy w ostrym słońcu.

Objęliśmy się i ucałowaliśmy, po czym poprosił, żebym zaraz zabrał go na grób Jasira Arafata. Spojrzałem mu w oczy i zrozumiałem, że dla niego to bardzo ważny gest. Odejście Arafata osłabiło Fatah, a na ulicach znów wrzało. Liderzy Fatah przeczuwali, że Hamas zechce przejąć większy kawałek tortu. To mogło doprowadzić do wybuchu wojny domowej, której obawiały się Stany Zjednoczone, Izrael i cała społeczność międzynarodowa. Znaczący gest wykonany przez czołowego przywódcę Hamasu na Zachodnim Brzegu zaskoczył wszystkich, ale stanowił czytelny sygnał: „Uspokójcie się. Hamas nie zamierza wykorzystywać śmierci Arafata. Nie będzie wojny domowej”.

Z drugiej strony, po dziesięciu latach działalności wywiadowczej Szin Bet, po serii aresztowań i zamachów, w których zlikwidowano wielu groźnych terrorystów, Izraelczycy nadal nie wiedzieli, kto właściwie rządzi Hamasem. Na dobrą sprawę nikt z nas tego nie wiedział. Pomagałem agencji aresztować wielu znanych działaczy aktywnie zaangażowanych

w ruch oporu, za każdym razem z nadzieją, że to właśnie oni kierują Hamasem. Trzymaliśmy ludzi w areszcie całymi latami, czasami tylko na podstawie podejrzeń. A jednak wydawało się, że Hamas nie cierpi z powodu ich braku.

A więc kto tak naprawdę kierował tym ugrupowaniem?

Fakt, że nie był to mój ojciec, okazał się wielkim zaskoczeniem - nawet dla mnie. Jego biuro i samochód były na podsłuchu, monitorowaliśmy każdy jego ruch. Nie było absolutnie żadnej wątpliwości, że to nie on pociąga za sznurki.

Hamas zawsze miał w sobie coś nieuchwytnego. Nie istniały żadne jego centrale, biura czy przedstawicielstwa, do których można by się udać, żeby porozmawiać z reprezentantami organizacji. Wielu Palestyńczyków przychodziło do ojca i zwierzało mu się ze swoich problemów, prosząc o pomoc. Szczególnie rodziny więźniów i męczenników, które straciły ojców i mężów w czasie intifady. Ale nawet szajch Hasan Jusuf poruszał się po omacku. Wszyscy byli przekonani, że on zna wszystkie odpowiedzi, tymczasem ojciec, jak cała reszta, znał tylko pytania.

Kiedyś zwierzył mi się, że ma zamiar zamknąć biuro.

- Dlaczego? A gdzie będziesz się spotykał z dziennikarzami? - zapytałem.

- Nie zależy mi na tym. Przychodzi do mnie mnóstwo ludzi z prośbą o pomoc. Ale nie jestem w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb. Jest tego po prostu zbyt dużo.

- Dlaczego Hamas im nie pomoże? To są przecież rodziny członków organizacji. Hamas ma mnóstwo pieniędzy.

- Tak, ale ja nimi nie dysponuję.

- Więc poproś o środki. Powiedz im o tych wszystkich ludziach i ich sytuacji.

- Nie wiem, kim *oni* są i jak się z *nimi* skontaktować.

- Ale przecież ty jesteś przywódcą! - zaprotestowałem.

- Nie jestem żadnym przywódcą.

- Tato, przecież zakładałeś Hamas. Jeśli ty nie jesteś jego przywódcą, to kto?

- Nikt!

Byłem zaskoczony. Szin Bet nagrywała tę rozmowę - oni również byli zdumieni.

Któregoś dnia zadzwoniła do mnie Madżida Talahma, żona Saliha. Nie rozmawialiśmy od pogrzebu jej męża.

- Witaj, jak się masz? Jak tam Musab i reszta dzieciaków?

Rozpłakała się.

- Nie mam pieniędzy, żeby je nakarmić.

Salih, niech Bóg ci wybaczy to, co zrobiłeś swojej rodzinie! - pomyślałem.

- Dobrze, siostrze, uspokój się. Postaram się coś z tym zrobić.

Poszedłem do ojca.

- Właśnie rozmawiałem z żoną Salih. Nie ma pieniędzy na jedzenie dla dzieci.

- Niestety, Musab, nie ona jedna.

- Tak, ale Salih był moim bliskim przyjacielem. Musimy jej pomóc, i to natychmiast!

- Synu, powiedziałem ci, że nie mam pieniędzy.

- Dobrze, ale ktoś przecież tym wszystkim kieruje. Ten ktoś ma mnóstwo pieniędzy.

Tak nie może być! Salih oddał życie dla organizacji!

Ojciec obiecał, że spróbuje zainterweniować. Napisał list zaadresowany ogólnikowo „do odpowiednich władz” i przekazał go na punkt kontaktowy. Nie zdołaliśmy namierzyć odbiorcy, ale ustaliliśmy, że znajduje się gdzieś w rejonie Ram Allah.

Kilka miesięcy wcześniej Szin Bet wysłała mnie do kafejki internetowej na mieście. Wiedzieliśmy, że ktoś używa jednego z komputerów w tym lokalu do komunikowania się z liderami Hamasu w Damaszku. Nie mieliśmy pojęcia, kim są ci liderzy, ale nie było wątpliwości, że centrum zarządzania Hamasem znajduje się w Syrii. To miało sens: umieścić kluczowe elementy organizacji - biuro, broń i obozy wojskowe - tam, gdzie nie sięga władza Izraela.

- Nie wiemy, kto się komunikuje z Damaszkiem - powiedział Loai - ale może być niebezpieczny.

Gdy wszedłem do kafejki, zobaczyłem dwadzieścia osób siedzących przy komputerach. Nikt nie miał brody, nikt nie wyglądał podejrzanie. Jeden z mężczyzn przykuł jednak moją uwagę, choć nie miałem pojęcia dlaczego. Nie rozpoznałem go, ale instynkt podpowiadał mi, żeby mieć na niego oko. Wiedziałem, że to niewiele, ale przez te lata Szin Bet nauczyła się polegać na moich przeczuciach.

Człowiek z kafejki z pewnością był bardzo niebezpieczny. Tylko najbardziej zaufani ludzie mogli kontaktować się z liderami w Damaszku. Mieliśmy nadzieję, że nowy trop doprowadzi nas do tej nieuchwytej, tajemniczej elity, która rzeczywiście zarządza Hamasem. Puściliśmy w obieg zdjęcie mężczyzny, ale nikt go nie rozpoznał. Zaczynałem powątpiewać w swoje przeczucia.

Kilka tygodni później zorganizowałem dzień otwarty w pewnej nieruchomości w Ram Allah, którą wystawiłem na sprzedaż. Pojawiło się kilka osób, ale nikt nie złożył oferty kupna. Wieczorem, gdy już pozamykałem, otrzymałem telefon od jakiegoś człowieka, który pytał, czy może jeszcze obejrzeć dom. Mimo zmęczenia zgodziłem się, żeby przyszedł. Wróciłem na miejsce, a on pojawił się kilka minut później.

Był to mężczyzna z kafejki internetowej. Przedstawił się jako Aziz Kaid. Był zadbane, ogolony i elegancko ubrany. Sprawiał wrażenie osoby dobrze wykształconej. Powiedział, że prowadzi słynne Centrum Studiów Islamskich Al-Burak. Doszedłem do wniosku, że chyba nie jest łącznikiem, którego szukamy. Ale postanowiłem zachować to odkrycie dla siebie i nie robić na razie zamieszania w Szin Bet.

Jakiś czas po spotkaniu z Kaidem wyruszyliśmy z ojcem w objazd po miastach, wioskach i obozach dla uchodźców na Zachodnim Brzegu. W jednym z miast na spotkanie z szajchem Hasanem Jusufem przyszło ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Wszyscy chcieli go dotknąć i posłuchać, co ma do powiedzenia. Wciąż darzono go wielką miłością.

W Nablusie, bastionie Hamasu, spotkaliśmy się z przywódcami wysokiego szczebla. Domyślałem się, którzy z nich wchodzi w skład *szury* - siedmioosobowej rady starszych odpowiedzialnej za kwestie strategiczne i codzienną działalność ruchu. Tak jak mój ojciec, należeli do grona najstarszych przywódców Hamasu, jednak to nie oni byli poszukiwanymi przez nas „dyrektorami”.

Nie mogłem uwierzyć, że po tylu latach kontrola nad Hamasem wymknęła się gdzieś w nieznane ręce. Jeśli nawet ja, który urodziłem się i wychowałem w sercu tego ruchu, nie miałem pojęcia, kim są ludzie pociągający za sznurki, to kto mógł wiedzieć?

Odpowiedź przyszła niespodziewanie. Jeden z członków rady z Nablusu wymienił Aziza Kaida. Zasugerował ojcu, że powinien odwiedzić ośrodek Al-Burak i spotkać się z tym „dobrym człowiekiem”. Natychmiast nadstawiłem uszu. Dlaczego miejscowy przywódca Hamasu poleca tego człowieka? Było tu zbyt wiele zbiegów okoliczności: najpierw Aziz przykuł moją uwagę w kafejce internetowej, potem oglądał nieruchomość, a teraz członek rady zachęca mojego ojca, żeby się z nim spotkał. Czyżby przecucie mnie nie myliło i Aziz Kaid miałby okazać się kimś ważnym w organizacji?

Może właśnie udało nam się wpaść na ślad prawdziwego przywódcy? Choć wszystko to brzmiało nieprawdopodobnie, instynkt podpowiadał mi, że powinienem pójść za tym tropem. Wróciłem do Ram Allah, skontaktowałem się z Loai i poprosiłem go, żeby wyszukał informacje o Azizie Kaidzie w komputerowej bazie danych.

Na liście wyników wyskoczyło kilku Azizów Kaidów, ale żaden z nich nie pasował do opisu. Zwołaliśmy spotkanie nadzwyczajne i zaproponowałem, żeby rozszerzyć zakres wyszukiwania na cały Zachodni Brzeg. Ludzie Loai uważali, że oszalałem, ale zrobili to.

Tym razem go znaleźliśmy.

Aziz Kaid urodził się w Nablusie i należał niegdyś do islamskiego ruchu studenckiego. Zrzucił działalność dziesięć lat temu. Ożenił się, miał dzieci i mógł

podróżować poza granice kraju. Jego znajomi w większości nie byli ludźmi religijnymi. Nie znaleźliśmy niczego podejrzanego.

Opisałem Szin Bet wszystkie wydarzenia od momentu, gdy wszedłem do kafejki internetowej, aż do wizyty w Nablusie. Stwierdzili, że chociaż całkowicie mi ufają, mają za mało danych, żeby prowadzić dalej tę sprawę.

W czasie rozmowy przysłała mi do głowy pewna myśl.

- Kaid przypomina mi trzech innych gości: Salaha Husajna z Ram Allah, Adiba Zejadę z Jerozolimy i Nadżaha Madiego z Salfit. Wszyscy trzej mają dyplomy ukończenia wyższej uczelni i kiedyś byli bardzo aktywni w Hamasie. Dziesięć lat temu nagle się wycofali, nie wiadomo dlaczego. Teraz wszyscy prowadzą całkiem normalne życie i trzymają się z dala od polityki. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego ktoś tak mocno zaangażowany w ruch nagle go porzuca.

Loai przyznał, że coś w tym jest. Zaczęliśmy śledzić tych trzech mężczyzn. Okazało się, że... kontaktują się ze sobą, a także z Azizem Kaidem. Pracowali razem w ośrodku Al-Burak. Kolejny „zbieg okoliczności”?

Czyżby ci czterej niepozorni mężczyźni byli faktycznymi przywódcami Hamasu, kontrolującymi nawet jego skrzydło zbrojne? Czy mogli działać poza naszą wiedzą, podczas gdy my skupialiśmy się na ściganiu bardziej rozpoznawalnych osób?

Dalej gromadziliśmy informacje, obserwowaliśmy całą czwórkę i czekaliśmy. W końcu nasza cierpliwość się opłacała i dokonaliśmy przełomowego odkrycia.

Okazało się, że ci śmiertelnie groźni trzydziestolatkowie zdołali przejąć całkowitą kontrolę nad finansami Hamasu i zarządzali całą strukturą na Zachodnim Brzegu. Sprowadzali z zagranicy miliony dolarów, za które kupowali broń, wytwarzali materiały wybuchowe, rekrutowali ochotników, wspierali ściganych, organizowali logistykę - a wszystko pod przykrywką jednego z licznych palestyńskich ośrodków naukowych, na pozór zupełnie nieszkodliwego.

Nikt ich nie znał. Nigdy nie pojawiali się w telewizji. Komunikowali się tylko przez listy przekazywane za pośrednictwem punktów kontaktowych. Oczywiście nie ufali nikomu - najlepszym dowodem był fakt, że nawet mój ojciec nie miał pojęcia o ich istnieniu.

Pewnego dnia śledziliśmy Nadżaha Madiego w drodze z jego mieszkania do garażu wielostanowiskowego przy innym budynku.

Podszedł do jednego z pomieszczeń i podniósł bramę. Co tutaj robił? Dlaczego wynajmował garaż tak daleko od domu?

Przez następne dwa tygodnie nieustannie monitorowaliśmy ten garaż. Nikt się jednak

nie pojawił. W końcu drzwi się otworzyły - od środka - i na światło wynurzył się Ibrahim Hamid we własnej osobie!

Po jego powrocie do budynku agenci Szin Bet przystąpili do akcji. Otoczony przez siły specjalne, Hamid nie walczył na śmierć i życie, jak nakazał wcześniej Salihowi i innym.

- Rozbierz się i wyjdź na zewnątrz!

Hamid nie odpowiadał.

- Masz dziesięć minut. Potem zburzymy budynek!

Po dwóch minutach lider zbrojnego ramienia Hamasu na Zachodnim Brzegu wyszedł na zewnątrz w białym.

- Zdejmij wszystko!

Zawahał się, ale po chwili rozebrał się do naga i stanął przed żołnierzami.

Ibrahim Hamid osobiście odpowiadał za śmierć ponad osiemdziesięciu ludzi. Tyle przynajmniej mogliśmy udowodnić. Choć nie był to impuls zgodny z duchem zaleceń Jezusa, najchętniej wsadziłbym go z powrotem do brudnego garażu i zamknął w środku do końca życia, przy okazji oszczędzając państwu kosztów procesu sądowego.

Schwytanie Hamida i ujawnienie prawdziwych przywódców Hamasu okazało się moją najważniejszą operacją dla Szin Bet. To była także ostatnia wspólna akcja.

WIZJA DLA HAMASU

2005

Podczas ostatniego pobytu w więzieniu mój ojciec przeżył coś w rodzaju objawienia.

Zawsze był osobą otwartą, ciekawą świata. Chętnie rozmawiał z chrześcijanami, ludźmi niewierzącymi, a nawet z Żydami. Słuchał uważnie dziennikarzy, ekspertów i analityków, uczestniczył w wykładach uniwersyteckich. A poza tym słuchał mnie - swego asystenta, doradcy i obrońcy. Dzięki temu zyskał o wiele jaśniejsze, szersze spojrzenie na istotę problemu niż inni przywódcy Hamasu.

Dotarło do niego, że istnienie państwa Izrael jest faktem, który nie ulegnie zmianie. Zrozumiał, że wiele spośród celów Hamasu jest nielogicznych i nieosiągalnych. Dlatego zaczął poszukiwać jakiegoś kompromisowego rozwiązania, które obie strony mogłyby zaakceptować, nie tracąc twarzy. W swej pierwszej publicznej wypowiedzi po opuszczeniu więzienia zasugerował możliwość rozwiązania konfliktu na zasadzie porozumienia między dwoma państwami. Nigdy wcześniej podobna deklaracja nie padła z ust żadnego przedstawiciela Hamasu. Najdalej idące uzgodnienia, na jakie byli w stanie się zdobyć, to zawieszenie broni. Tymczasem ojciec w swojej wypowiedzi uznawał prawo Izraela do istnienia! Jego telefon natychmiast się rozdzwonił.

Kontaktowali się z nami dyplomaci ze wszystkich krajów, w tym z USA, prosząc o dyskretne spotkanie z ojcem. Chcieli się osobiście przekonać, czy mówi poważnie. Pełniłem rolę tłumacza i towarzyszyłem ojcu na każdym spotkaniu. Moi przyjaciele chrześcijanie wspierali go bezwarunkowo, a on ich za to pokochał.

Ojciec miał jednak oczywisty problem. Choć występował w imieniu Hamasu, zdecydowanie nie wyrażał już jego prawdziwego ducha. Jednak nie mógł teraz odsunąć się od organizacji - byłby to bowiem najgorszy moment. Śmierć Jasira Arafata stworzyła próżnię. Na ulicach Terytoriów Okupowanych wrzało, wszędzie pełno było bojowo nastawionych młodych ludzi - uzbrojonych, ziejących nienawiścią i pozbawionych przywództwa.

Nie chodziło o to, że Arafata tak trudno było zastąpić - nadawałby się do tego dowolny skorumpowany polityk. Problem polegał na tym, że Arafat całkowicie scentralizował Autonomię Palestyńską i Organizację Wyzwolenia Palestyny. Gra drużynowa

nie była jego mocną stroną. Dzierżył pełnię władzy i kontrolował wszelkie kontakty. Jego nazwisko figurowało też na wszystkich kontach bankowych.

Teraz w Fatah zaroilo się od chętnych do zajęcia jego miejsca. Ale którego z nich zaakceptowaliby Palestyńczycy i społeczność międzynarodowa - i który miałby zarazem dość siły, by utrzymać kontrolę nad wszystkimi frakcjami? Nawet Arafatowi nigdy się to w pełni nie udało.

Kilka miesięcy później przywódcy Hamasu postanowili wystawić ugrupowanie w wyborach do palestyńskiego parlamentu. Ojciec zareagował sceptycznie. Po tym jak podczas Intifady Al-Aksa do Hamasu przyłączono skrzydło zbrojne, obserwował, jak założona przez niego organizacja stopniowo przeobraża się w jakiś niezdarny twór. Z jednej strony funkcjonowało w niej przerośnięte skrzydło militarne, a z drugiej - bardzo krótkie, niedorozwinięte skrzydło polityczne. Działacze Hamasu nie znali reguł obowiązujących w polityce i nie mieli pojęcia, na czym polega rządzenie krajem.

Rewolucjonista stawia na ortodoksyjną ideologię i bezkompromisową walkę. Ale polityk musi być elastyczny i gotowy na ustępstwa. Jeśli Hamas chciał władzy, musiał nauczyć się negocjować - to byłoby nieodzowne. Jako funkcjonariusze państwowi wyłonieni w wyborach, członkowie Hamasu z dnia na dzień staliby się odpowiedzialni za budżet, wodę, żywność, elektryczność i wywóz nieczystości. Wszystko to wymagałoby aprobaty Izraela. Niezależne państwo palestyńskie musiało być państwem gotowym do współpracy.

Ojciec pamiętał jednak spotkania z zachodnimi przywódcami, na których Hamas odrzucał wszelkie sugestie i rekomendacje. Liderzy organizacji nikogo nie słuchali i byli zawsze w opozycji przeciw wszystkim i wszystkiemu. A skoro Hamas odmawiał negocjacji z Amerykanami i Europejczykami - rozumował mój ojciec - to czy ten sam Hamas po wygranych wyborach będzie skłonny zasiąść do rozmów z Izraelczykami?

Ojciec nie dbał o to, czy Hamas wystawi kandydatów. Nie chciał tylko, żeby jego nazwisko znalazło się na listach wyborczych organizacji razem z nazwiskami innych znanych liderów, których ludzie kochali i poważali. Obawiał się, że Hamas zdołałby dzięki temu wygrać. A wiedział, że to zwycięstwo mogłoby okazać się dla narodu katastrofalne. Późniejsze wydarzenia pokazały, że miał rację.

- Oczywiście obawiamy się, że Izrael, być może wspólnie z innymi państwami, zechce ukarać Palestyńczyków za to, że głosowali na Hamas - ojciec tłumaczył dziennikarzowi „Haaretz”. - Powiedzą tak: wybraliście Hamas, więc my zacieśnimy oblężenie i wasze życie stanie się jeszcze cięższe¹³.

Jednak wielu członków Hamasu poczuło zew pieniędzy, władzy i sławy. Nawet

osoby, które dawno pożegnały się z organizacją, teraz wracały jak spod ziemi, żeby załapać się na kawałek tortu. Ojciec był zdegustowany ich chciwością, brakiem odpowiedzialności i ignorancją. Ci ludzie nie wiedzieli, jaka jest różnica między CIA i USAID. Kto chciałby z nimi współpracować?

*

Wszystko wokół działało mi na nerwy. Złościłem się na korupcję w Autonomii, drażniła mnie głupota i okrucieństwo Hamasu, byłem sfrustrowany z powodu niekończącej się listy terrorystów, których trzeba było zamknąć w więzieniu lub zlikwidować. Męczyła mnie konieczność ciągłego stwarzania pozorów i ryzyko, które stało się moim codziennym chlebem. Znowu zapragnąłem normalnego życia.

Pewnego sierpniowego dnia, spacerując ulicami Ram Allah, zauważyłem człowieka, który niósł po schodach komputer do naprawy. Przyszło mi do głowy, że musi istnieć potencjalny rynek dla usług komputerowych świadczonych w domu u klienta. Ponieważ nie pracowałem już dla USAID, a miałem głowę do interesów, pomyślałem, że serwis komputerowy może być niezłym źródłem dochodów.

Podczas pracy w USAID zaprzyjaźniłem się z kierownikiem działu informatycznego, prawdziwym specem od komputerów. Podzieliłem się z nim moim pomysłem i postanowiliśmy wspólnie założyć firmę. Ja zainwestowałem pieniądze, on swoją wiedzę techniczną. Zatrudniliśmy też kilku serwisantów, w tym pracownice, co było nieodzowne w kulturze arabskiej, jeśli zamierzaliśmy świadczyć usługi kobietom.

Nazwaliśmy naszą firmę Electric Computer Systems. Wymyślona przeze mnie reklama przedstawiała karykaturę faceta taszcącego komputer po schodach, do którego synek zwraca się słowami: „Tato, nie musisz tego robić”, i zachęca go, żeby zadzwonił na nasz darmowy numer.

Telefony się rozdzwoiły. Odnieśliśmy wielki sukces. Kupiłem nowy samochód firmowy, zdobyliśmy licencję uprawniającą do sprzedaży produktów marki Hewlett-Packard i stworzyliśmy sieć punktów serwisowych. To był bardzo pracowity i owocny okres w moim życiu. Właściwie nie potrzebowałem wtedy pieniędzy, ale zależało mi na tym, żeby robić coś pożytecznego i dobrze się przy tym bawić.

*

Odkąd rozpocząłem swoją duchową wędrówkę, prowadziliśmy czasem z kolegami z Szin Bet ciekawe rozmowy o Jezusie.

- Wierz sobie, w co chcesz - mówili. - Możesz o tym pogadać z nami, ale broń Boże z kimś innym. I wybij sobie z głowy chrzest, bo to byłaby publiczna deklaracja. Gdyby ktoś się

dowiedział, że porzuciłeś islam i zostałeś chrześcijaninem, wpakowałbyś się w niezłe tarapaty.

Nie wiem, czy bali się tak o moją przyszłość, czy raczej o swoją, gdyby mnie stracili. Jednak Bóg wkraczał coraz mocniej w moje życie i nie mogłem się już wycofać.

Któregoś dnia mój przyjaciel Dżamal zaprosił mnie na obiad.

- Musab - powiedział - mam dla ciebie niespodziankę.

Włączył telewizor i zakomenderował z błyskiem w oku:

- Obejrzyj ten program na Al-Hajat. Myślę, że może cię zainteresować.

Na ekranie pojawił się stary koptyjski ksiądz, Zakaria Botros. Wyglądał na miłego i łagodnego człowieka. Miał ciepły głos, który przykuwał uwagę. Spodobał mi się - aż nagle dotarło do mnie, co on właściwie mówi. Dokonywał czegoś w rodzaju wiwisekcji Koranu - otwierał ciało i ukazywał każdą kość, mięsień, ścięgno i organ, a potem poddawał je dokładnym oględzinom pod mikroskopem prawdy. Wykazywał, że cała ta księga została zaatakowana przez raka. Wytykał wszystkie nieścisłości i sprzeczności historyczne - robił to z szacunkiem, a jednocześnie zdecydowanie i z przekonaniem.

W pierwszym odruchu chciałem natychmiast wyłączyć telewizor. Ale po paru chwilach zorientowałem się, że to jest Boża odpowiedź na moje modlitwy. Ojciec Zakaria odcinał wszystkie więzy, które nadal trzymały mnie przy Allahu i islamie i nie pozwalały uznać, że Jezus jest rzeczywiście Synem Bożym. A dopóki tego nie zrobiłem, nie mogłem posunąć się dalej jako naśladowca Chrystusa. Nie był to jednak łatwy krok. Odczuwałem ból podobny do dziecka, które budzi się pewnego ranka i odkrywa, że tata nie jest jego prawdziwym ojcem.

Nie potrafię powiedzieć, którego dnia i o której godzinie zostałem chrześcijaninem, ponieważ był to proces trwający sześć lat. Teraz wiedziałem jednak, że już nim jestem i że potrzebuję się ochrzcić - niezależnie od opinii kolegów z Szin Bet.

W tym czasie do Izraela przybyła grupa chrześcijan z Ameryki, żeby zobaczyć Ziemię Świętą i odwiedzić ich zaprzyjaźniony kościół, do którego akurat uczęszczałem.

Poznałem bliżej jedną z dziewcząt z tej grupy. Lubilem z nią rozmawiać i od razu jej zaufałem. Gdy opowiedziałem jej trochę o swojej duchowej podróży, zareagowała niezwykle serdecznie. Przypomniała mi, że Bóg często używa do wykonania swego dzieła najbardziej nieoczekiwanych ludzi. To rzeczywiście sprawdzało się w moim życiu.

Któregoś wieczoru, podczas kolacji w restauracji American Colony we wschodniej Jerozolimie, moja przyjaciółka spytała, dlaczego się jeszcze nie ochrzciłem. Nie mogłem się przyznać, że jestem agentem Szin Bet i że tkwię po uszy w działalności politycznej i we

wszystkich operacjach służby bezpieczeństwa w tym regionie. Jednak było to uzasadnione pytanie, które sam wielokrotnie sobie zadawałem.

- Czy ty możesz mnie ochrzcić? - zapytałem.

Zgodziła się.

- A czy zatrzymasz to tylko dla siebie?

Przyrzekła, że tak zrobi, i dodała:

- Plaża jest niedaleko, jedźmy tam teraz.

- Mówisz poważnie?

- No pewnie, dlaczego nie?

- Jasne, dlaczego nie.

Kiedy jechaliśmy do Tel Awiwu, wahałem się przez chwilę. *Czyżbym zapomniał, kim jestem? Czy rzeczywiście mogę zaufać tej dziewczynie z San Diego?* Po czterdziestu pięciu minutach spacerowaliśmy już po zatłoczonej plaży, chłonąc słodkie, ciepłe wieczorne powietrze. Nikt w tłumie nie domyślał się nawet, że syn przywódcy Hamasu - grupy terrorystycznej odpowiedzialnej za śmierć dwudziestu jeden młodych ludzi w położonym przy końcu ulicy „Delfinarium” - za chwilę zostanie ochrzczony jako wyznawca Jezusa Chrystusa.

Zdjąłem koszulę i weszliśmy do morza.

*

W piątek 23 września 2005 roku, gdy wracaliśmy z ojcem do domu po wizycie w obozie dla uchodźców niedaleko Ram Allah, tata otrzymał niespodziewany telefon.

- Co się dzieje? - krzyknął do słuchawki. - Co?!

Był roztrzęsiony.

Sami Abu Zuhri, rzecznik Hamasu w Gazie, właśnie poinformował go, że podczas wiecu w obozie dla uchodźców Dżebalija Izraelczycy zabili kilkudziesięciu członków Hamasu. Zarzekał się, że widział, jak samolot izraelski wystrzelił rakiety w tłum. Stwierdził, że Izrael złamał rozejm.

Siedem miesięcy wcześniej mój ojciec ciężko pracował nad wynegocjowaniem tego rozejmu. Okazało się, że wszystkie jego wysiłki poszły na marne. Już wcześniej nie ufał Izraelczykom, a teraz ich niepokonowana żądza krwi doprowadzała go do wściekłości.

Ja jednak byłem sceptyczny. Nic ojcu nie mówiłem, ale coś mi się w tej historii nie zgadzało.

Zadzwoił dziennikarz z telewizji Al-Dżazira. Chcieli przeprowadzić wywiad z ojcem, jak tylko dojedziemy do Ram Allah. Po dwudziestu minutach znaleźliśmy się w

studiu.

Gdy ojcu podłączano mikrofon, zadzwoniłem do Loai. Zapewnił mnie, że Izrael nie przeprowadził żadnego ataku. Zdenerwowałem się. Poprosiłem realizatora, żeby pokazał mi materiał filmowy z tego incydentu. Wziął mnie do reżyserki i kilka razy obejrzelśmy nagranie. Było na nim wyraźnie widać, że pocisk nie został wystrzelony z powietrza, tylko z ziemi.

Szajch Hasan Jusuf już na wizji wymyślał zdradzieckiemu Izraelowi, strasząc zerwaniem rozejmu i domagając się międzynarodowego śledztwa.

- No i co, poczułeś się lepiej? - spytałem go, kiedy wyszedł ze studia.

- O co ci chodzi?

- Mam na myśli twoje oświadczenie.

- Dlaczego nie miałbym poczuć się lepiej? Nie wierzę, że mogli popełnić tak ohydny zbrodnię!

- To świetnie, bo oni tego nie zrobili. To sprawka Hamasu. Zuhri kłamie. Chodź ze mną do reżyserki, coś ci pokażę.

Ojciec poszedł za mną do niewielkiego pokoju, gdzie obejrzelśmy nagranie jeszcze kilka razy.

- Przyjrzyj się eksplozji. Popatrz, podmuch wybuchu idzie z dołu do góry. Pocisk nie został wystrzelony z powietrza.

Później dowiedzieliśmy się, że w trakcie demonstracji bojownicy Hamasu z Gazy chcieli się popisać posiadaną bronią. Nagle eksplodował pocisk „Kasam” znajdujący się na przyczepie furgonetki, zabijając piętnaście osób i raniąc wiele innych.

Ojciec był zszokowany. Ale nie tylko Hamas próbował zatuszować fakty i obrócić ten incydent na swoją korzyść. Al-Dżazira znała prawdziwy przebieg wydarzeń z własnego materiału filmowego, jednak w dalszym ciągu nadawała kłamstwa.

A potem wydarzyło się coś gorszego - znacznie gorszego. W ramach odwetu za rzekomy ostrzał w Gazie Hamas wystrzelił niemal czterdzieści rakiet w kierunku miast w południowej części Izraela. Był to pierwszy poważny atak, odkąd tydzień wcześniej Izrael zakończył operację wycofania się z Gazy. Oglądaliśmy z ojcem wiadomości, które śledziła też reszta świata. Następnego dnia Loai ostrzegł mnie, że rząd uznał ostatni atak za złamanie rozejmu przez Hamas.

W wiadomościach cytowano generała Jisraela Ziwa, głównodowodzącego armii izraelskiej: „Postanowiliśmy przypuścić długotrwały, konsekwentny atak na Hamas”. Reporter dodał, że „Izrael przygotowuje się do ponownego podjęcia akcji likwidacyjnej

wymierzonej w czołowych przywódców Hamasu”, czego zaniechano po zawarciu porozumienia o zawieszeniu broni¹⁴.

- Twój ojciec musi wrócić do więzienia - powiedział Loai.

- Pytacie mnie o pozwolenie?

- Nie. Władze domagają się jego głowy i nic nie możemy zrobić.

Zdenerwowałem się.

- Ale to nie mój ojciec wystrzelił rakiety zeszłej nocy. To nie on wydał taki rozkaz.

Nie miał z tym nic wspólnego! To wszystko robota tych idiotów z Gazy!

W końcu uszła ze mnie para. Byłem zdruzgotany. Loai przerwał ciszę.

- Jesteś tam jeszcze?

- Tak - usiadłem. - To nie w porządku... ale rozumiem.

- I ty też - dodał cicho.

- Co? Ja też? Więzienie? Zapomnij! Nie wracam tam. Mogę się zdemaskować, mam to gdzieś. Skończyłem z tym.

- Bracie - szepnął - czy myślisz, że chcę cię aresztować? To zależy od ciebie. Jeśli chcesz zostać na wolności, zostań. Ale tym razem zagrożenie jest większe niż kiedykolwiek do tej pory. W ciągu ostatniego roku ciągle byłeś przy ojcu. Wszyscy wiedzą, że tkwisz w Hamasie po uszy. Wielu uważa nawet, że należysz do przywództwa... Jeśli cię nie aresztujemy, w ciągu kilku tygodni będziesz martwy.

POŻEGNANIE

2005-2007

- Co się stało? - zapytał ojciec, kiedy zobaczył, że płaczę.

Nic nie odpowiedziałem, więc zaproponował, żebyśmy przygotowali wspólnie kolację dla mamy i sióstr. Z biegiem lat bardzo się z tatą zbliżyliśmy. Rozumiał bez słów, że po prostu potrzebuję czasu, żeby sobie wszystko poukładać.

Przygotowywaliśmy posiłek, a ja myślałem o tym, że wkrótce zostaniemy rozdzieleni i nie wiadomo, kiedy znów się zobaczymy. Byłem zdruzgotany. Zdecydowałem, że nie mogę zostawić go samego.

Po kolacji zadzwoniłem do Loai.

- W porządku - powiedziałem. - Wrócę do więzienia.

Był 25 września 2005 roku. Poszedłem w ulubione miejsce na jednym ze wzgórz otaczających Ram Allah, gdzie często przesiadywałem, modląc się i czytając Biblię. I tym razem pomodliłem się, płakałem i prosiłem Pana, żeby okazał miłosierdzie mi i mojej rodzinie. Wróciłem do domu, usiadłem i czekałem. Ojciec niczego nie przeczuwał, w błogiej nieświadomości poszedł już do łóżka. Tuż po północy zjawił się oddział służby bezpieczeństwa.

Zabrali nas do więzienia Ofer. Do wielkiej sali zagoniono kilkuset mężczyzn zatrzymanych w ramach dużej akcji obejmującej całe miasto. Tym razem aresztowano także moich braci Uwajsa i Muhammada. Loai zdradził mi w tajemnicy, że byli podejrzani w sprawie o morderstwo. Ich kolega szkolny porwał, torturował i zabił osadnika izraelskiego, a Szin Bet zarejestrowała rozmowę telefoniczną, którą zabójca odbył dzień wcześniej z Uwajsem. Muhammad został zwolniony kilka dni później. Uwajs musiał odsiedzieć cztery miesiące, zanim został oczyszczony z zarzutu współudziału w tej zbrodni.

Kłęczeliśmy w tej sali dziesięć godzin, z rękami skutymi na plecach. Cicho podziękowałem Bogu, gdy ktoś podał tacie krzesło. Widziałem, że traktują go z szacunkiem.

Zostałem skazany na trzy miesiące aresztu. Moi chrześcijańscy przyjaciele przysłali mi Biblię, więc lektura Pisma Świętego była moją ucieczką od więziennej rutyny. Zwolnili mnie w Boże Narodzenie 2005 roku. Ojciec pozostał w więzieniu. Gdy piszę te słowa, nadal

tam przebywa.

*

Zbliżały się wybory parlamentarne i większość liczących się przywódców Hamasu ubiegała się o mandat. Napawali mnie obrzydzeniem. Chodzili swobodnie po ulicach, podczas gdy jedyny człowiek, który nadawał się do poprowadzenia narodu, tkwił w więzieniu za drutem kolczastym. Po wydarzeniach, które doprowadziły do naszego aresztowania, nie trzeba było przekonywać taty, żeby nie brał udziału w wyborach. Przesłał mi wiadomość, prosząc, abym poinformował o jego decyzji Muhammada Daraghmę - analityka współpracującego z agencją Associated Press, a zarazem dobrego przyjaciela.

Wiadomość obiegła media kilka godzin później i zaraz rozdzwonił się mój telefon. Przywódcy Hamasu starali się skontaktować z ojcem w więzieniu, ale on nie chciał z nimi rozmawiać.

- Co się stało? - pytali mnie. - To katastrofa! Jeśli twój ojciec nie będzie kandydował, przegramy, bo wszyscy pomyślą, że wycofał swoje błogosławieństwo dla tych wyborów!

- Jeśli nie chce brać w tym udziału, musicie uszanować jego decyzję.

Potem zadzwonił Ismail Hanija, którego nazwisko otwierało listę wyborczą Hamasu i który wkrótce miał zostać nowym premierem Autonomii.

- Musab, jako przywódca ruchu proszę cię, żebyś zwołał konferencję prasową i ogłosił, że twój ojciec wciąż kandyduje z listy Hamasu. Wyjaśnij, że wiadomość podana przez Associated Press była pomyłką.

No proszę, teraz zażądali jeszcze, żebym dla nich kłamał! Czyżby zapomnieli, że islam zabrania kłamać? A może uważali, że w polityce wszystko uchodzi?

- Nie mogę tego zrobić - odpowiedziałem. - Szanuję pana, ale jeszcze bardziej szanuję mego ojca i swoje własne sumienie. - Odłożyłem słuchawkę.

Pół godziny później otrzymałem telefon z pogrózkami.

- Masz natychmiast zwołać konferencję prasową - powiedział anonimowy głos - albo cię zabijemy.

- Więc przyjdźcie tu i zabijcie mnie.

Rozłączyłem się i zawiadomiłem Loai. Po kilku godzinach mężczyzna, który wykonał ten telefon, został aresztowany.

Nie przejmowałem się pogrózkami. Kiedy jednak dowiedział się o nich ojciec, osobiście poinformował Daraghmę, że weźmie udział w wyborach. Potem kazał mi się uspokoić i czekać, aż zostanie zwolniony. Zapewnił, że rozmówi się z Hamasem.

Oczywiście ojciec nie mógł prowadzić kampanii wyborczej z więzienia. Zresztą nie

musiał. Hamas rozplakatował całe miasto jego podobizną, namawiając wszystkich do głosowania na listę partyjną. W wieczór wyborczy szajch Hasan Jusuf dostał się do parlamentu, wprowadzając ze sobą całą rzeszę innych działaczy przyczepionych do niego jak rzep do psiego ogona.

*

Sprzedalem wspólnikowi swoje udziały w Electric Computer Systems, ponieważ miałem przecucie, że wiele rzeczy w moim życiu wkrótce się zmieni.

Kim byłem? Na jaką przyszłość mogłem liczyć, gdyby sprawy nadal toczyły się tym samym torem?

Miałem dwadzieścia siedem lat i nawet nie mogłem umawiać się z dziewczynami. Chrześcijanka obawiała się mojej reputacji - byłem przecież synem czołowego przywódcy Hamasu. Muzułmanka nie patrzyłaby przychylnym okiem na Araba chrześcijanina. A która izraelska dziewczyna chciałaby się spotykać z synem Hasana Jusufa? Zresztą nawet gdyby umówiła się ze mną jakaś młoda dama, o czym byśmy rozmawiali? Czy mogłem swobodnie opowiadać o swoim życiu? I co to właściwie było za życie? Jaki sens miało moje poświęcenie, dla kogo robiłem to wszystko? Dla Palestyny? Dla Izraela? A może dla pokoju?

Co osiągnąłem jako superszpieg Szin Bet? Czy mojemu narodowi żyło się lepiej? Czy udało się powstrzymać rozlew krwi? Czy Izraelczycy mogli czuć się bezpieczniej? Czy mój ojciec był w domu z rodziną? Czy byłem dobrym wzorem dla młodszego rodzeństwa? Czulem, że poświęciłem prawie trzecią część swego życia dla uludy, dla „gonitwy za wiatrem”, jak to ujmuje król Salomon w Księdze Koheleta 4:16.

Nikomu nie mogłem powiedzieć o tym, czego się nauczyłem, ukrywając się pod różnymi maskami. Kto by mi uwierzył?

Zadzwoiłem do biura Loai:

- Nie mogę już dla was pracować.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nic. Kocham was. Uwielbiam pracę wywiadowczą. Chyba nawet się od niej uzależniłem. Ale niczego nie osiągamy. Prowadzimy wojnę, której nie da się wygrać aresztowaniami, przesłuchaniami i zamachami. Nasi wrogowie to idee, a idee mają gdzieś okupację i godzinę policyjną. Nie da się zniszczyć idei działem merkawy. Poruszamy się w błędnym kole. Nie mogę tak dłużej. Mój czas się skończył.

Wiedziałem, że dla Szin Bet to ciężki cios. Znajdowaliśmy się w samym środku wojny.

- Dobrze - odpowiedział Loai. - Przekażę wiadomość szefom agencji i zobaczymy, co

oni na to.

Gdy spotkaliśmy się ponownie, powiedział:

- Mamy dla ciebie propozycję. W Izraelu działa wielka firma telekomunikacyjna. Dostaniesz środki na założenie takiej samej firmy na terytoriach palestyńskich. To świetna okazja i zabezpieczysz się na resztę życia.

- Nie rozumiesz. Nie chodzi mi o pieniądze. Chodzi mi o to, że zmiierzam donikąd.

- Jesteś potrzebny tym ludziom, Musab.

- Znajdę inny sposób, żeby pomagać ludziom, bo to, co robię teraz, jest nieskuteczne.

Nawet agencja nie ma pojęcia, do czego to wszystko zmierza.

- Więc czego chcesz?

- Chcę wyjechać z kraju.

Loai powtórzył naszą rozmowę swoim zwierzchnikom. Odbijaliśmy piłeczkę. Oni nalegali, żebym został, ja upierałem się, że muszę wyjechać.

- Dobrze - stwierdzili - pozwolimy ci wyjechać do Europy na kilka miesięcy, może na rok, o ile dasz słowo, że wrócisz.

- Nie jadę do Europy. Chcę wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Mam tam przyjaciół. Wrócę może za rok, za dwa lata, a może za pięć. Nie wiem. Teraz wiem tylko, że potrzebuję przerwy.

- W Stanach będzie ci trudno. Tutaj masz pieniądze, pozycję i ochronę z każdej strony. Wyrobiłeś sobie solidną opinię, rozwinąłeś świetny biznes i żyjesz wygodnie. Czy wiesz, jak twoje życie zmieni się w Stanach? Będziesz nikim i nie będziesz miał żadnych wpływów.

Powiedziałem im, że nie przeszkadza mi to, nawet jeśli będę musiał zmywać gary. Nalegałem, ale oni się zaparli.

- Nie zgadzamy się na wyjazd do Stanów. Tylko Europa i to na krótko. Jedź i odpoczywaj. Będziemy nadal płacić ci pensję. Po prostu pojedź i rozerwij się trochę. Zrób sobie wakacje, a potem wracaj.

- Dobrze - uciałem tę rozmowę. - Wracam do domu. Nic już dla was nie zrobię. Nie będę wychodził, żebym przypadkiem nie odkrył jakiegoś zamachowcy i nie musiał o tym donieść. Nie zwracajcie sobie mną więcej głowy. Już dla was nie pracuję.

Wróciłem do domu rodziców i wyłączyłem komórkę. Zapuściłem brodę. Mama martwiła się o mnie, często zaglądała do mojego pokoju, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Czytałem Biblię, słuchałem muzyki, oglądałem telewizję, rozmyślałem o ostatnich dziesięciu latach i walczyłem z depresją.

Minęły trzy miesiące. Któregoś dnia mama zawołała mnie do telefonu.

Odpowiedziałem, że nie chcę z nikim rozmawiać. Człowiek przy telefonie uparł się jednak, że to bardzo ważne, że jest starym przyjacielem i zna ojca.

Zszedłem na dół i podniosłem słuchawkę. To był ktoś z Szin Bet.

- Chcemy się z tobą zobaczyć - powiedział. - To pilne. Mamy dla ciebie dobre wiadomości.

Poszedłem na spotkanie. Zerwanie współpracy byłoby dla nich wielką stratą, a widzieli, że jestem zdeterminowany.

- Dobrze, wyślemy cię do Stanów, ale tylko na kilka miesięcy. I musisz obiecać, że wrócisz.

- Nie wiem, dlaczego ciągle upieracie się przy czymś, czego nie dostaniecie - odpowiedziałem spokojnie, ale stanowczo.

W końcu ustąpili.

- Dobrze, pozwolimy ci wyjechać, ale są dwa warunki. Po pierwsze, musisz wynająć prawnika i złożyć u nas za pośrednictwem sądu podanie o zgodę na wyjazd z kraju ze względów zdrowotnych. Inaczej byłbyś spalony. Po drugie, musisz wrócić.

Szin Bet nigdy nie pozwalała członkom Hamasu wyjeżdżać za granicę, chyba że potrzebowali leczenia, które było niedostępne na Terytoriach Okupowanych. Właściwie od dawna miałem problem ze szczęką, który powodował nieprawidłowy zgryz. Operacji tego rodzaju nie można było wykonać na Zachodnim Brzegu. Do tej pory za bardzo się tym nie przejmowałem, ale teraz miałem świetny pretekst. Zatrudniłem więc prawnika, żeby wysłał do sądu zaświadczenie lekarskie z podaniem o pozwolenie na wyjazd do Stanów Zjednoczonych na operację.

Celem tej procedury było pozostawienie w urzędach dokumentów świadczących o tym, że nieprzyjaźnie nastawiona biurokracja utrudniała mi opuszczenie Izraela. Gdyby Szin Bet pozwoliła mi wyjechać bez walki, wyglądałoby to na faworyzowanie i mogłoby wzbudzić podejrzenia, że coś im dałem w zamian. Musieliśmy stworzyć pozory, że rzucali mi kłody pod nogi.

Prawnik, którego wybrałem, nie kwapił się z pomocą. Prawdopodobnie założył, że nie mam żadnych szans na wyjazd, więc zażądał zapłaty z góry. Uiszciliem ją, lecz on i tak nic nie robił w mojej sprawie. W Szin Bet nie mogli przygotować odpowiedniej dokumentacji, bo nie otrzymali podania od adwokata. Co tydzień dzwoniłem do niego i pytałem, jak się posuwa sprawa. Jego zadanie polegało tylko na złożeniu stosownych dokumentów, ale przeciągał wszystko w nieskończoność i oszukiwał mnie. Ciągle powtarzał, że napotkał jakiś problem albo że pojawiły się nowe komplikacje. Stale prosił też o więcej pieniędzy, a ja płaciłem.

Trwało to sześć miesięcy, aż wreszcie w pierwszym dniu nowego roku 2007 zadzwonił telefon.

- Otrzymał pan pozwolenie na wyjazd! - oznajmił mój adwokat z taką dumą, jakby właśnie rozwiązał problem głodu na świecie.

*

- Czy mógłbyś jeszcze ten jeden raz spotkać się z liderem Hamasu w obozie dla uchodźców Dżalazone? - zapytał Loai. - Jesteś jedyną osobą, która...

- Za pięć godzin opuszczam kraj.

- No dobrze - szybko się poddał. - Uważaj na siebie i odzywaj się do nas. Jak przekroczysz granicę, daj znać, czy wszystko w porządku.

Zawiadomiłem znajomych z Kalifornii, że przyjeżdżam. Oczywiście nie mieli pojęcia, że jestem synem czołowego przywódcy Hamasu i agentem Szin Bet. Byli bardzo przejęci. Spakowałem trochę ubrań do małej walizki i zszedłem na dół do mamy. Była już w łóżku.

Ukląknęłam przy niej i wyjaśniłam, że za kilka godzin wyjeżdżam, przekraczam granicę z Jordanią i lecę do Stanów Zjednoczonych. Nawet wtedy nie mogłam jej wytłumaczyć dlaczego.

Wyczytałam wszystko z jej oczu: *Twój ojciec jest w więzieniu, a ty jesteś dla młodszych dzieci jak tata. Co będziesz robić w Ameryce?* Wiedziałam, że nie chce, bym jechał, ale jednocześnie pragnęła, żebym znalazł spokój. Życzyła mi, abym ułożył sobie życie za granicą, po tym jak zaznałam tylu przeciwności w swoim kraju. Nie zdawała sobie sprawy, przez co naprawdę przeszedłem.

- Chciałabym cię pocałować na pożegnanie - poprosiła. - Obudź mnie rano, zanim wyjdiesz.

Pobłogosławiła mnie, a ja powiedziałem, że wychodzę wczesnym rankiem i że nie musi wstawać. Ale była przecież moją mamą. Przesiedziała z nami całą noc - razem z braćmi i siostrami, i z moim przyjacielem Dżamalem.

Gdy zbierałem swoje rzeczy i właśnie miałem spakować Biblię - tę, w której zapisywałem swoje notatki, w której zaczytywałem się całymi latami i którą miałem ze sobą nawet w więzieniu - poczułem, że powinienem dać ją Dżamalowi.

- Nie mam nic cenniejszego - powiedziałem mu. - Weź moją Biblię, czytaj ją i żyj według niej.

Wiedziałam, że uhonoruje moje życzenie i będzie sięgał po tę Księgę, kiedy tylko o mnie pomyśli.

Upewniłem się, że mam dosyć pieniędzy, żeby przetrwać przez jakiś czas, wyszedłem

z domu i udałem się w kierunku Mostu Allenby'ego, łączącego Izrael z Jordanią.

Bez problemu przeszedłem przez posterunek izraelski. Zapłaciłem podatek wyjazdowy, wynoszący trzydzieści pięć dolarów, i wszedłem do wielkiego terminalu imigracyjnego naszpikowanego wykrywaczami metalu i urządzeniami rentgenowskimi. Znajduje się tu także osławiony pokój numer trzynaste, gdzie przesłuchuje się podejrzanych. Jednak wszystkie te urządzenia i rewizje osobiste są stosowane głównie wobec osób przybywających do Izraela z Jordanii, a nie wobec podróżnych przekraczających granicę w drugą stronę.

Tłum w terminalu zaskakiwał różnorodnością stroju - od szortów obwieszonych saszetkami, przez jarmułki i burki, po welony i bejsbolówki. Jedni nieśli plecaki, inni popychali wózki bagażowe. W końcu wsiadłem do jednego z wielkich autokarów - jedyne go środka transportu dozwolonego na betonowym moście kratowym.

W porządku - pomyślałem - już prawie mam to za sobą.

Nadal trochę się denerwowałem. Szin Bet nie pozwalała opuszczać kraju ludziom takim jak ja. To było nie do pomyślenia. Nawet Loai przyznał, że jest zaskoczony, gdy w końcu dostałem zgodę na wyjazd.

Kiedy już znalazłem się po stronie jordańskiej, okazałem paszport. Obawiałem się trochę, ponieważ wygasł za niecały miesiąc, a moja amerykańska wiza była ważna na trzy lata.

Boże, proszę - modliłem się - pozwól mi dostać się do Jordanii choćby na jeden dzień. Tylko tyle potrzebuję.

Niepotrzebnie się martwiłem. Nie miałem żadnych kłopotów. Pojechałem taksówką do Ammanu i kupiłem bilet na samolot Air France. Zatrzymałem się w hotelu na kilka godzin, a potem ruszyłem na międzynarodowe lotnisko Queen Alia. Już za chwilę miałem wylecieć do Kalifornii przez Paryż.

Siedząc w samolocie, rozmyślałem o tym, co za sobą zostawiam, o wszystkich pozytywach i negatywach. Myślałem o rodzinie i przyjaciółach, lecz także o niekończącym się rozlewie krwi, o zniszczeniu, o całym tym absurdzie.

Oswojenie się ze smakiem prawdziwej wolności zajęło mi jakiś czas. Mogłem wreszcie być sobą, nie musiałem uczestniczyć w potajemnych spotkaniach ani odsiadywać wyroków w izraelskich więzieniach. Nie musiałem ciągle oglądać się przez ramię.

To uczucie było dziwne i cudowne zarazem.

*

Pewnego dnia szedłem ulicą w Kalifornii, gdy nagle zauważyłem znajomą twarz

zbliżającą się w moją stronę. Był to Mahir Uda - terrorysta odpowiedzialny za wiele zamachów samobójczych, którego obserwowałem w 2000 roku, kiedy spotykał się z uzbrojonymi zbirami Arafata. Zdemaskowałem ich później jako komórkę założycielską Brygad Męczenników Al-Aksa.

Początkowo nie miałem pewności, czy to faktycznie Uda. Nawet znajome twarze wyglądają nieco inaczej w obcym środowisku. Miałem nadzieję, że się mylę. Do tej pory Hamas nigdy nie posunął się do tego, by przeprowadzić jedną ze swoich „operacji męczeńskich” na terenie Stanów Zjednoczonych. Jeśli Uda tu był, nie wróżyło to niczego dobrego dla USA. Ani dla mnie.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się przez ułamek sekundy. Byłem pewien, że zobaczyłem w jego oczach błysk świadczący o tym, że mnie rozpoznał, jednak wyminął mnie i poszedł dalej w swoją stronę.

EPILOG

W lipcu 2008 roku spotkałem się w restauracji z dobrym znajomym Awim Issacharoffem, dziennikarzem izraelskiej gazety „Haaretz”. Opowiedziałem mu o tym, jak zostałem chrześcijaninem. Chciałem, żeby ta wiadomość została najpierw opublikowana przez źródło z Izraela, a nie z Zachodu. Issacharoff opisał moją historię w artykule pod znamienym tytułem *Syn marnotrawny*.

Podobnie jak wiele innych osób, które decydują się pójść za Jezusem Chrystusem, swoim publicznym wyznaniem wiary zasmuciłem matkę, ojca, braci, siostry i przyjaciół.

Jednym z nielicznych, którzy wspierali moją rodzinę w tych trudnych chwilach, był mój przyjaciel Dżamal. Po moim wyjeździe Dżamalowi doskwierała samotność, ale później spotkał piękną dziewczynę, zaręczył się i ożenił. Ślub odbył się dwa tygodnie po publikacji artykułu w „Haaretz”.

Moi bliscy uczestniczyli w tej uroczystości ślubnej, ale cały czas płakali, ponieważ myśleli o mnie, o tym, że zmarnowałem życie, że już nigdy się nie ożenię i nie założę muzułmańskiej rodziny. Widząc ich smutek, nawet pan młody się rozplakał.

- Nie mogłeś poczekać z tym swoim oświadczeniem, aż wezmę ślub? - zapytał mnie potem Dżamal przez telefon. - Zamieniłeś najpiękniejszy dzień mojego życia w katastrofę.

Czułem się okropnie. Dzięki Bogu, Dżamal nadal pozostaje moim najlepszym przyjacielem.

Ojciec przebywał wówczas w więzieniu. Pewnego dnia otrzymał wiadomość, że jego najstarszy syn nawrócił się na chrześcijaństwo. Z jego punktu widzenia zniszczyłem swoją przyszłość i przyszłość naszej rodziny. Ojciec wierzy, że pewnego dnia na jego oczach zostaną zabrani do piekła i będziemy rozdzieleni na wieki.

Kiedy się dowiedział, wybuchł płaczem i nie chciał opuścić swojej celi.

Więźniowie ze wszystkich frakcji przychodzili go pocieszyć:

- Wszyscy jesteśmy twoimi synami, Abu Musab - mówili. - Prosimy, uspokój się.

Początkowo ojciec nie mógł uzyskać potwierdzenia tej wiadomości, ale tydzień później spotkał się z moją siedemnastoletnią siostrą Anhar, która jako jedyna z rodziny miała pozwolenie na widzenia w więzieniu. Gdy tylko spojrział jej w oczy, wiedział, że to wszystko prawda. Nie mógł nad sobą zapanować. Inni więźniowie opuszczali odwiedzających krewnych i podchodzili do niego, całowali go w głowę i płakali wraz z nim. Tata próbował

powstrzymać szloch, żeby ich przeprosić, ale łkał jeszcze mocniej. Płakali nawet strażnicy izraelscy, którzy szanowali ojca.

Napisałem do niego długi list. Tłumaczyłem, że to bardzo ważne, aby odkrył prawdziwy charakter Boga, którego od zawsze kochał, ale którego nigdy nie poznał.

Moi wujowie z niecierpliwością oczekiwali, kiedy ojciec się mnie wyrzeknie. Gdy odmówił, odwrócili się od mamy i rodzeństwa. Tata wiedział jednak, że gdyby się mnie wyrzekł, terroryści z Hamasu zabiliby mnie. Ochraniał mnie, mimo że zadałem mu tak głęboką ranę.

Dwa miesiące później więźniowie z obozu Kcijot na pustyni Negew zagrozili buntem. Izraelska służba więzienna Szabas zwróciła się do ojca z prośbą, by spróbował załagodzić sytuację.

W tym czasie zadzwoniła do mnie mama, z którą kontaktowaliśmy się co tydzień, od kiedy przyleciałem do Ameryki.

- Ojciec jest w Negewie. Więźniowie przemycili telefony komórkowe. Czy chciałbyś z nim porozmawiać?

Nie mogłem w to uwierzyć. Nie spodziewałem się, że usłyszę tatę, zanim zostanie zwolniony z więzienia.

Zadzwoiłem na podany numer. Nikt nie odpowiadał. Spróbowałem jeszcze raz.

- Halo!

To był jego głos! Ze wzruszenia prawie nie mogłem mówić.

- Cześć tato.

- Cześć.

- Tęskniłem za twoim głosem.

- Co u ciebie?

- Dobrze. Zresztą, to nieważne. Jak ty się masz?

- W porządku. Przysłali mnie tu, żeby rozmawiał z więźniami i spróbował załagodzić sytuację.

Cały tata. Zawsze troszczy się przede wszystkim o innych ludzi.

- Jak ci się teraz żyje w USA?

- Bardzo dobrze. Piszę książkę...

Więźniowie ustalili, że każdy ma tylko dziesięć minut na rozmowę, a ojciec nie zamierzał nadużywać swojej pozycji i korzystać ze specjalnych przywilejów. Pragnąłem opowiedzieć mu o moim nowym życiu, ale on nie chciał o tym rozmawiać.

- Bez względu na to, co się stało - powiedział - nadal jesteś moim synem. Jesteś

częścią mnie i nic tego nie zmieni. Masz inne przekonania, ale ciągle jesteś moim ukochanym dzieckiem.

Ten człowiek był niesamowity.

Zadzwoiłem ponownie na drugi dzień. Serce go bolało, ale słuchał.

- Mam pewną tajemnicę, o której musisz wiedzieć - wyznałem. - Chcę, żebyś dowiedział się o wszystkim ode mnie, a nie z mediów.

Wyjaśniłem, że przez dziesięć lat współpracowałem z Szin Bet. Powiedziałem mu, że żyje tylko dlatego, że zgodziłem się, by dla ochrony zamknięto go w więzieniu. Że jego nazwisko figuruje na jednym z pierwszych miejsc na rządowej liście osób przeznaczonych do likwidacji i że nadal pozostaje w więzieniu, ponieważ wyjechałem i nie mogę go już dłużej chronić.

Zapadła cisza. Ojciec milczał.

- Kocham cię - powiedziałem na koniec. - Zawsze będziesz moim tatą.

POSTSCRIPTUM

Opowiadam swoją historię z nadzieją, że uda mi się pokazać memu narodowi - palestyńskim wyznawcom islamu uciskanym od stuleci przez despotyczne reżimy - że tylko prawda może ich wyzwolić.

Opowieść tę dedykuję także Izraelczykom. Chcę im powiedzieć, że jest nadzieja. Jeśli ja, członek organizacji terrorystycznej dążącej do zagłady Izraela, nie tylko pokochałem naród żydowski, ale nawet ryzykowałem dla niego własne życie - to znaczy, że jeszcze nie wszystko stracone.

Moja opowieść zawiera także przesłanie dla chrześcijan. Musimy wyciągnąć wnioski z błędów mojego narodu, który wziął na swoje barki wielki ciężar, usiłując zasłużyć sobie na Bożą życzliwość. Nie wolno nam redukować chrześcijaństwa do religijnych rytuałów i reguł, które narzucamy sobie i innym. Powinniśmy natomiast bezwarunkowo kochać ludzi, niezależnie od tego, z której strony świata pochodzą. Jeśli mamy reprezentować Jezusa na ziemi, musimy naszym życiem pokazać Jego przesłanie miłości. Jeśli chcemy iść w Jego ślady, musimy być także gotowi na prześladowania z Jego powodu.

Zwracam się też do specjalistów od Bliskiego Wschodu, rządowych decydentów, politologów i analityków agencji wywiadowczych. Mam nadzieję, że zapoznanie się z moją historią pomoże im lepiej zrozumieć sytuację w jednym z najbardziej zapalnych regionów świata i że dzięki temu będą skuteczniej rozwiązywać jego problemy.

Przedstawiam tę historię, zdając sobie sprawę, że wiele osób - w tym te, na których najbardziej mi zależy - nie zrozumie moich motywów i sposobu myślenia.

Znajdą się zapewne i tacy, którzy oskarżą mnie, że zrobiłem to wszystko dla pieniędzy. Jednak, jak na ironię, w moim poprzednim życiu niczego mi nie brakowało, a teraz ledwo wiązę koniec z końcem. Moja rodzina przechodziła wprawdzie okresy biedy, szczególnie podczas długich pobytów ojca w więzieniu, jednak stałem się z czasem dość majątnym młodym człowiekiem. Pensja, którą płacił mi rząd, sięgała dziesięciu średnich krajowych. Wiodłem wygodne życie, posiadałem dwa domy i jeździłem nowym samochodem sportowym.

A mogłem mieć jeszcze więcej. Gdy powiedziałem Izraelczykom, że kończę współpracę, próbowali zatrzymać mnie w kraju, oferując pomoc w założeniu firmy telekomunikacyjnej, która przynosiłaby miliony dolarów dochodu. Nie przyjąłem tej oferty i

wyjechałem do Stanów, gdzie nie mogłem znaleźć zwykłej pracy i praktycznie nie miałem gdzie mieszkać. Mam nadzieję, że kiedyś pieniądze nie będą już dla mnie problemem, ale nauczyłem się, że same w sobie nie stanowią dla mnie wartości. Gdyby były moim głównym celem, pozostałbym w kraju i dalej pracowałbym dla Izraela. Mogłem też przyjąć hojną pomoc finansową, jaką oferowano mi po przeprowadzce do Stanów. Odmówiłem, ponieważ nie chcę, żeby pieniądze stały się moim priorytetem - nie chcę też sprawiać wrażenia, że kieruję się chęcią zysku.

Niektórzy mogą pomyśleć, że pragnę być w centrum uwagi, ale tego też miałem pod dostatkiem w swojej ojczyźnie.

O wiele trudniej przyszło mi zrezygnować z przywileju posiadania władzy i autorytetu, którym cieszyłem się jako syn czołowego przywódcy Hamasu. Zakosztowałem władzy i wiem, jak uzależnia - znacznie mocniej niż pieniądze. Lubiłem być wpływową postacią, ale kiedy człowiek się uzależnia, przestaje panować nad sobą, a zaczyna być kontrolowany przez swój nałóg - także wtedy, gdy nałogiem jest władza.

Moja historia wyrasta z głębokiego umiłowania wolności. Jestem synem narodu ciemzonego od stuleci przez skorumpowanych władców i obce mocarstwa. Kiedy przebywałem w izraelskim więzieniu, odkryłem, że Palestyńczycy są uciskani przez własnych przywódców nie mniej niż przez Izrael.

W moim dawnym życiu miałem pieniądze, władzę i pozycję, ale tak naprawdę pragnąłem wolności - która oznacza między innymi odrzucenie nienawiści, uprzedzeń i żądy zemsty. Zakosztowałem tej wolności w całej pełni, gdy przyjąłem naukę Jezusa: „Miłujcie swoich wrogów”. Wtedy przestało się dla mnie liczyć, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem - miałem przecież kochać wszystkich. Zaprzyjaźniłem się z niezwykłym Bogiem, który pomaga mi kochać innych ludzi. Osobista więź z Bogiem jest jedynym źródłem mojej wolności, a także kluczem do nowego rozdziału życia.

*

Oby po przeczytaniu tej książki żaden Czytelnik nie odniósł wrażenia, że jestem idealnym naśladowcą Chrystusa. Wciąż zmagam się z różnymi problemami. Innymi słowy, jestem już wyznawcą Jezusa Chrystusa, ale dopiero zaczynam stawiać pierwsze kroki jako Jego uczeń. Moim najpewniejszym przewodnikiem w tej wędrówce jest Słowo Boże zapisane na kartach Biblii.

Urodziłem się i wychowałem w środowisku religijnym, w którym panowało przekonanie, że na zbawienie trzeba zapracować dobrymi uczynkami. Wiem, że muszę oduczyć się tego sposobu myślenia, żeby zrobić miejsce dla prawdy:

Zostaliście pouczeni w Nim - zgodnie z prawdą, jaka jest w Jezusie - że, co się tyczy poprzedniego sposobu życia, trzeba porzucić dawnego człowieka, który ulega zepsuciu na skutek zwodniczych żądz, odnawiać się duchem w waszym myśleniu i przyoblec człowieka nowego, stworzonego według Boga, w sprawiedliwości i prawdziwej świętości.

List do Efezjan 4:22-24

Wraz z innymi naśladowcami Chrystusa wierzę, że Jezus jest Synem Bożym, który stał się człowiekiem, umarł za nasze winy, zmartwychwstał i siedzi po prawicy Boga Ojca. Przeprosiłem Go za swoje grzechy i przyjąłem chrzest. Czuję, że na razie zaledwie przestąpiłem bramę Królestwa Bożego i wierzę, że przede mną jeszcze dużo, dużo więcej. Chcę chłonąć to wszystko całym sercem.

Tymczasem nadal walczę z wpływem tego świata, z własną grzeszną naturą i z siłami ciemności. Nadal żywię wiele błędnych przekonań i nieraz się mylę. Mam problemy, które czasem wydają się nie do pokonania. Jednak mam też nadzieję, że podobnie jak apostoł Paweł, który przedstawiał się Tymoteuszowi jako „pierwszy z grzeszników”, stanę się kiedyś takim człowiekiem, jakim chce Bóg - bylebym tylko nie poddał się i wytrwał.

A zatem jeśli któryś z Czytelników tej książki spotka mnie na ulicy, niech nie pyta mnie ani o radę, ani o opinię na temat tego czy innego wersetu z Pisma Świętego, ponieważ najpewniej wie więcej niż ja. Życzyłbym sobie również, żeby chrześcijanie nie traktowali mnie tak, jakbym był ich religijnym trofeum. Niech raczej modlą się o mnie, by moja wiara wzrastała. Bym uczył się coraz lepiej, jak chodzić Bożymi drogami, nie następując innym na odcisk.

*

Dopóki będziemy szukać wrogów wszędzie wokół, a nie dostrzeżemy problemu w nas samych, konflikt na Bliskim Wschodzie nigdy się nie skończy.

W jego rozwiązaniu nie pomoże nam religia. Zresztą religia bez Jezusa jest tylko jałową próbą osiągnięcia świętości o własnych siłach. Rozwiązania nie przyniesie również wolność polityczna. Izraelczycy wyzwoleni spod ucisku, którego ofiarami byli w Europie, sami stali się uciskającymi. Muzułmanie uratowani od prześladowań sami zaczynają prześladować. Zupełnie jak w stosunkach międzyludzkich - maltretowane dzieci i małżonkowie często powielają te same schematy. Zranieni ludzie, o ile nie zostaną uleczeni, ranią innych - to truizm, ale jakże prawdziwy.

Zmierzałem prostą drogą do tego, by stać się takim właśnie człowiekiem. Wierzyłem w kłamstwa podawane do powszechnej wiadomości, kierowałem się rasizmem i nienawiścią,

pałałem żądzą zemsty.

I wtedy, w 1999 roku, spotkałem jedyne prawdziwego Boga. Jest On Ojcem, który kocha miłością nie dającą się opisać słowami. Okazał tę miłość przez ofiarowanie swego jedyne Syna, który zginął na krzyżu dla okupienia grzechów świata. Trzy dni później Bóg okazał swą moc i sprawiedliwość, wskrzeszając Jezusa z martwych. To Bóg, który nakazuje mi kochać wrogów i przebaczać im - jak On sam ukochał mnie i przebaczył mi. To Bóg, który daje mi siłę do wypełniania tego nakazu w codziennym życiu.

Prawda i przebaczenie to jedyne rozwiązanie problemu bliskowschodniego. Jeśli zależy nam na pokoju między Izraelczykami i Palestyńczykami, nie chodzi już o to, by *znaleźć* rozwiązanie. Wyzwanie polega na tym, by być tym pierwszym, który odważy się owo rozwiązanie *przyjąć i zastosować*.

NAJWAŻNIEJSZE OSOBY

RODZINA MUSABA

szajch Jusuf Dawud - dziadek ze strony ojca

szajch Hasan Jusuf - ojciec, współzałożyciel i przywódca Hamasu od 1986 roku

Subha Abu Salim - matka

Ibrahim Abu Salim - wuj (brat matki), współzałożyciel Bractwa Muzułmańskiego w Jordanii

Dawud - wuj (brat ojca)

Jusuf Dawud - kuzyn, syn Dawuda, który pomógł Musabowi zakupić nie działającą broń

bracia Musaba - Suhajb (1980), Sajf (1983), Uwajs (1985), Muhammad (1987), Nasir (1997)

siostry Musaba - Sabila (1979), Tasnim (1982), Anhar (1990)

GŁÓWNE POSTACIE

(W KOLEJNOŚCI WYSTĘPOWANIA W KSIĄŻCE)

Hasan al-Banna - egipski reformator i założyciel Bractwa Muzułmańskiego

Dżamal Mansur - współzałożyciel Hamasu w 1986 roku, zlikwidowany przez Izraelczyków

Ibrahim Kiswani - kolega Musaba, który pomógł mu zakupić uszkodzone karabiny

Loai - oficer prowadzący Musaba w Szin Bet

Marwan Barghuti - sekretarz generalny Fatah

Mahir Uda - przywódca Hamasu i szef więziennej służby bezpieczeństwa z ramienia tej organizacji

Salih Talahma - terrorysta z Hamasu i przyjaciel Musaba

Ibrahim Hamid - szef służby bezpieczeństwa Hamasu na Zachodnim Brzegu

Sajjid asz-Szajch Kasam - terrorysta z Hamasu

Hasanin Rumana - terrorysta z Hamasu

Chalid Maszal - szef syryjskiej komórki Hamasu w Damaszku

Abd Allah Barghuti - konstruktor bomb

POZOSTAŁE NAZWISKA
(W KOLEJNOŚCI ALFABETYCZNEJ)

Abd al-Aziz ar-Rantisi - przywódca Hamasu, lider w obozie deportowanych w Libanie

Abd al-Basit Uda - zamachowiec samobójca z Hamasu, który przeprowadził zamach w Park Hotel

Abu Ali Mustafa - sekretarz generalny LFWP, zlikwidowany przez Izraelczyków

Abu Salim - rzeźnik, szalony sąsiad Musaba

Adib Zejada - tajny przywódca Hamasu

Ahmad al-Faransi - prawa ręka Marwana Barghutiego

Ahmad Ghandur - przywódca Brygad Męczenników Al-Aksa w pierwszym okresie ich działalności

Ahmad Jasin - współzałożyciel Hamasu w 1986 roku, zlikwidowany przez Izraelczyków

Ajman Abu Taha - współzałożyciel Hamasu w 1986 roku

Akil Sarur - przyjaciel Musaba i jego współwięzień w Megiddo

Amnon - Żyd nawrócony na chrześcijaństwo, współwięzień Musaba

Amr Abu Sarhan - zasztyletował trzech Izraelczyków w 1989 roku

Amr Salah Diab Amarna - pierwszy oficjalny zamachowiec samobójca z Hamasu

Anas Rasras - lider *madżid* (więziennej komórki Hamasu w Megiddo)

Ariel Szaron - jedenasty premier Izraela (2001-2006)

Awi Dichter - szef izraelskiej służby bezpieczeństwa Szin Bet

Aziz Kaid - tajny lider Hamasu

Baruch Goldstein - urodzony w Ameryce lekarz, który zabił dwudziestu dziewięciu Palestyńczyków w Hebronie w czasie Ramadanu w 1994 roku

Bilal Barghuti - kuzyn terrorysty z Hamasu Abd Allaha Barghutiego

Bill Clinton - czterdziesty drugi prezydent Stanów Zjednoczonych

Daja Muhammad Husajn at-Tawil - zamachowiec samobójca z French Hill

Dżamal ad-Dura - ojciec dwunastoletniego Muhammada ad-Dury, według Palestyńczyków zabitego przez żołnierzy izraelskich w czasie demonstracji w Gazie

Dżamal at-Tawil - przywódca Hamasu na Zachodnim Brzegu

Dżamal Hamami - współzałożyciel Hamasu w 1986 roku

Dżamal Salim - przywódca Hamasu zabity w trakcie zamachu na Dżamala Mansura w Nablusie

Dżibril Radżub - szef służby bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej

Dżuma - grabarz na cmentarzu w pobliżu domu Musaba

Ehud Barak - dziesiąty premier Izraela (1999 - 2001)

Ehud Olmert - dwunasty premier Izraela (2006 - 2009)

Fathi Szakaki - założyciel Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu i inicjator zamachów bombowych

Fuad Szubaki - urzędnik Autonomii Palestyńskiej, dyrektor finansowy operacji militarnych

Hasan Salama - przyjaciel Jahii Ajjasza, który nauczył go konstruować bomby

Icchak Rabin - piąty premier Izraela (1974-1977; 1992-1995), zginął w zamachu z rąk prawicowego ekstremisty izraelskiego Jigala Amira w 1995 roku

Imad Akil - przywódca Brygad Al-Kasam, zbrojnego ramienia Hamasu, zabity przez Izraelczyków

Ismail Hanija - wybrany na palestyńskiego premiera w 2006 roku

Iz ad-Din Szuhajl al-Masri - zamachowiec samobójca z pizzerii Sbarro

Jahja Ajjasz - konstruktor bomb, któremu przypisuje się rozwinięcie techniki zamachów samobójczych w konflikcie izraelsko-palestyńskim

Jasir Arafat - długoletni przewodniczący OWP, prezydent Autonomii Palestyńskiej, zmarł w 2004 roku

Jisrael Ziw - generał brygady Sił Obronnych Izraela

Kapitan Szaj - oficer Sił Obronnych Izraela

Kofi Annan - siódmy sekretarz generalny ONZ (1997 - 2006)

Król Husajn - król Jordanii (1952-1999)

Leonard Cohen - kanadyjski poeta i piosenkarz, który skomponował utwór „First We Take Manhattan”

Madżida Talahma - żona Saliha Talahmy, terrorysty z Hamasu

Mahmud Muslih - współzałożyciel Hamasu w 1986 roku

Mahomet - założyciel islamu

Muhammad ad-Dura - dwunastoletni chłopiec rzekomo zabity przez żołnierzy izraelskich podczas demonstracji Fatah w Gazie

Muhammad Arman - członek komórki terrorystycznej Hamasu

Muhammad Daraghma - dziennikarz palestyński

Muhammad Dżamal an-Natsza - współzałożyciel Hamasu w 1986 roku i szef jego skrzydła zbrojnego na Zachodnim Brzegu

Muhanad Abu Halawa - członek Brygad Męczenników Al-Aksa

Musab Talahma - najstarszy syn terrorysty Saliha Talahmy

Nadžah Madi - tajny przywódca Hamasu

Nissim Toledano - żołnierz izraelskiej straży granicznej zabity przez Hamas

Ofer Dekel - oficer Szin Bet

Rehawam Zewi - izraelski minister turystyki zastrzelony przez zamachowca z LFWP

Saddam Husajn - dyktator iracki, który zaatakował Kuwejt w 1990 roku

Saeb Erekat - minister rządu palestyńskiego

Said Hutari - zamachowiec samobójca z dyskoteki „Delfinarium”

Salah Husajn - tajny lider Hamasu

Sami Abu Zuhri - rzecznik Hamasu w Gazie

Szada - palestyński robotnik zabity przypadkowo przez izraelskiego czołgistę

Szlomo Sakal - izraelski sprzedawca zasztyletowany w Gazie

Szymon Peres - dziewiąty prezydent Izraela, który objął urząd w 2007 roku, sprawował także funkcję premiera i ministra spraw zagranicznych

Tsibouksakis Germanus - mnich greckoprawosławny zamordowany przez Ismaila Radaidę

Zakaria Botros - koptyjski ksiądz, który przyprowadził do Chrystusa wielu muzułmanów; występuje w programie telewizji satelitarnej, w którym ujawnia błędy Koranu i wykazuje prawdziwość Biblii

SŁOWNICZEK

abu - syn

adlad - numer

Al-Dżazira - arabska stacja telewizji satelitarnej z siedzibą w Katarze

Al-Fatiha - otwierająca sura (rozdział) Koranu, recytowana przez imama lub przywódcę religijnego

Allah - arabskie słowo określające Boga

Autonomia Palestyńska (właściwie: Palestyńskie Władze Narodowe) - struktura utworzona w 1994 roku na podstawie Porozumień z Oslo jako organ zarządzający obszarem Strefy Gazy i częścią Zachodniego Brzegu

azan - muzułmańskie wezwanie do modlitwy rozbrzmiewające pięć razy dziennie

baklawa - słodkie ciasto z orzechami i miodem

Brygady Iz ad-Din al-Kasam - zbrojne skrzydło Hamasu

Brygady Męczenników Al-Aksa - grupa terrorystyczna założona w czasie drugiej intifady przez połączenie różnych grup oporu, która przeprowadza zamachy samobójcze i inne ataki wymierzone w Izrael

Czarny Wrzesień - krwawa konfrontacja między rządem jordańskim i organizacjami palestyńskimi we wrześniu 1970 roku

Demokratyczny Front Wyzwolenia Palestyny (DFWP) - świecka organizacja głosząca ideologię marksistowsko-leninowską i sprzeciwiająca się okupacji izraelskiej na Zachodnim Brzegu i w Gazie

dinar - oficjalna waluta Jordanii, używana na Zachodnim Brzegu obok izraelskiego szekla

dżalsa - grupa studiująca islam

dżihad - słowo oznaczające „walkę”, interpretowane przez militarne grupy islamskie jako wezwanie do walki zbrojnej, a nawet terroryzmu

emir - arabskie określenie wodza

Fatah - największa partia polityczna w ramach Organizacji Wyzwolenia Palestyny

fatwa - opinia lub orzeczenie islamskiego duchownego dotyczące prawa islamskiego

fedain - bojownik o wolność

hadis - ustna tradycja islamu

hadżdż - pielgrzymka do Mekki

Hamas - islamski ruch oporu na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy, uznawany przez USA, Unię Europejską i inne kraje za organizację terrorystyczną

Hezbollah - islamska organizacja polityczna i paramilitarna w Libanie

hidżab - nakrycie głowy lub chusta noszona przez muzułmanki w niektórych kulturach

imam - przywódca islamski, zwykle zarządzający meczetem

Imperium Osmańskie (Otomańskie) - państwo tureckie istniejące w latach 1299-1923

intifada - bunt lub powstanie

Jednostka 17 - elitarny oddział komandosów Jasira Arafata

kalifat - islamski ustrój polityczny w państwie rządonym przez kalifa

kałasznikow - rosyjski karabin szturmowy AK47 skonstruowany przez Michaiła Kałasznikowa

Kcijot - izraelskie więzienie namiotowe na pustyni Negew, w którym przebywał Musab

Kneset - izraelski parlament

koktajl Mołotowa - bomba naftowa; zwykle szklana butelka napełniona benzyną, ze szmacianym knotem, który zapala się i rzuca w cel

Koran - święta księga islamu

Kurdowie - grupa etniczna; większość Kurdów mieszka w Kurdystanie, który znajduje się na terenach Iraku, Iranu, Syrii i Turcji

Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny (LFWP) - partia marksistowskoleninowska działająca w ruchu oporu na Zachodnim Brzegu i w Gazie

madżid - więzienna służba bezpieczeństwa Hamasu

meczet - miejsce, w którym odbywają się muzułmańskie nabożeństwa i modlitwy

Meczet Al-Aksa - trzecie co do ważności święte miejsce islamu, muzułmanie wierzą, że Mahomet wstąpił stąd do nieba; meczet znajduje się na Wzgórzu Świątynnym, najświętszym miejscu dla Żydów, gdzie niegdyś wznosiła się starożytna świątynia żydowska

Medyna - drugie co do ważności święte miejsce islamu, znajdujące się w Arabii Saudyjskiej; tu pochowany jest Mahomet

Megiddo - obóz więzienny w północnym Izraelu

Mekka - najświętsze miejsce islamu, znajdujące się w Arabii Saudyjskiej, gdzie prorok Mahomet założył nową religię

Merkawa - czołg bojowy używany przez Siły Obronne Izraela

minaret - strzelista wieża meczetu, z której muzułmański przywódca religijny wzywa wiernych na modlitwę

miwar - oddział tymczasowy w więzieniu Megiddo, na który trafia nowy więzień przed przeniesieniem do głównej części obozu

Moskowijski - izraelski areszt śledczy w zachodniej Jerozolimie

Mossad - izraelska agencja wywiadowcza, odpowiednik amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA)

Most Allenby'ego - most nad Jordanem między Jerychem i Jordanią, zbudowany w 1918 roku przez brytyjskiego generała Edmunda Allenby'ego

mudżahedin - muzułmański partyzant

Munkar i Nakir - aniołowie, którzy według muzułmańskiej tradycji torturują zmarłych

Organizacja Wyzwolenia Palestyny (OWP) - ruch polityczny, którego przewodniczącym w latach 1969 - 2004 był Jasir Arafat

Partia Likud - prawicowa partia izraelska

Partia Pracy - lewicowa partia socjalistyczno-syjonistyczna w Izraelu

Porozumienia z Oslo - porozumienie z 1993 między Izraelem i OWP

rada szura - w kulturze islamu grupa siedmiu przywódców podejmujących kluczowe decyzje

raka - islamski zestaw modlitw i gestów

Ramadan - miesiąc postu, który upamiętnia objawienie Koranu Mahometowi

sawaid - agenci służby bezpieczeństwa Hamasu w izraelskich obozach więziennych; przetrzymywali kuli z wiadomościami między różnymi oddziałami

Scud - rakiet balistyczna skonstruowana w Związku Radzieckim w czasie zimniej wojny

Siły Obronne Izraela - armia Izraela, która obejmuje wojska lądowe, lotnictwo i marynarkę wojenną

sunnici - największa denominacja islamska

sura - rozdział Koranu

szajch - muzułmański starszy lub przywódca

szariat - islamskie prawo religijne

szawisz - więzień wybrany do reprezentowania innych przed izraelskimi władzami więziennymi, „zaufany”

Szin Bet - izraelska służba bezpieczeństwa, odpowiednik amerykańskiego Federalnego Biura Śledczego (FBI)

szoter - hebrajskie określenie strażnika więziennego lub policjanta

szyici - druga co do wielkości denominacja islamska po sunnitach

Tarcza ochronna - zakrojona na dużą skalę operacja wojskowa przeprowadzona przez Siły Obronne Izraela podczas drugiej intifady

Terytoria Okupowane - Zachodni Brzeg Jordanu, Strefa Gazy i Wzgórza Golan

wojna sześciodniowa - krótka wojna w 1967 roku między Izraelem a Egiptem, Jordanią oraz Syrią

wudu - islamski rytuał oczyszczenia

Wzgórze Świątynne - wzgórze położone w obrębie Starego Miasta Jerozolimy, na którym znajduje się meczet Al-Aksa i Kopuła na Skale, najstarsze islamskie budowle na świecie; na Wzgórzu Świątynnym znajdowała się również Pierwsza i Druga Świątynia Jerozolimska

CHRONOLOGIA WYDARZEŃ

1923 - koniec Imperium Osmańskiego

1928 - Hasan al-Banna zakłada Stowarzyszenie Braci Muzułmanów

1935 - Bractwo Muzułmańskie zakłada oddział w Palestynie

1948 - Bractwo Muzułmańskie podejmuje zbrojne działania przeciwko rządowi w Egipcie; Izrael ogłasza niepodległość; Egipt, Liban, Syria, Jordania i Irak dokonują inwazji na Izrael

1949 - Hasan al-Banna ginie w zamachu; powstaje obóz dla uchodźców Al-Amari na Zachodnim Brzegu

1964 - założenie Organizacji Wyzwolenia Palestyny

1967 - wojna sześciodniowa

1968 - Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny porywa samolot Boeing 707 linii El Al i zmusza załogę do lądowania w Algierze; brak ofiar śmiertelnych

1970 - Czarny Wrzesień, tysiące bojowników OWP ginie w potyczkach z armią Jordanii; Jordania wydała OWP

1972 - jedenastu sportowców izraelskich ginie w zamachu przeprowadzonym przez organizację „Czarny Wrzesień” podczas olimpiady w Monachium

1973 - wojna Jom Kippur

1977 - Hasan Jusuf żeni się z Sabhą Abu Salim

1978 - Musab Hasan Jusuf przychodzi na świat; trzydzieści osiem osób ginie w ataku Fatah na izraelską autostradę przybrzeżną na północ od Tel Awiwu

1979 - powstaje Palestyński Islamski Dżihad

1982 - Izrael dokonuje inwazji na Liban i usuwa OWP

1985 - Hasan Jusuf z rodziną przeprowadzają się do Al-Biry

1986 - siedmiu przywódców palestyńskich zakłada Hamas na spotkaniu w Hebronie

1987 - Hasan Jusuf podejmuje drugą pracę jako nauczyciel religii muzułmańskiej w szkole chrześcijańskiej w Ram Allah; początek pierwszej intifady

1989 - pierwsze aresztowanie i uwięzienie Hasana Jusufa; Amer Abu Sarhan z Hamasu zabija trzech Izraelczyków

1990 - Saddam Husajn dokonuje inwazji na Kuwejt

1992 - rodzina Musaba przeprowadza się do Betanii; kolejne aresztowanie Hasana

Jusufa; terroryści z Hamasu porywają i zabijają policjanta izraelskiego Nissima Toledano; deportacja przywódców palestyńskich do Libanu

1993 - Porozumienia z Oslo

1994 - Baruch Goldstein zabija dwudziestu dziewięciu Palestyńczyków w Hebronie; pierwszy oficjalny samobójczy zamach bombowy; Jasir Arafat triumfalnie powraca do Gazy, by utworzyć siedzibę Autonomii Palestyńskiej

1995 - zamach na premiera Izraela Icchaka Rabina; Hasan Jusuf aresztowany przez władze Autonomii Palestyńskiej; Musab nielegalnie kupuje broń

1996 - likwidacja konstruktora bomb z Hamasu Jahii Ajjasza; aresztowanie Musaba i pierwszy pobyt w więzieniu

1997 - Musab zwolniony z więzienia; Mossad przeprowadza nieudany zamach na Chalida Maszala

1999 - Musab zaczyna uczęszczać na chrześcijańskie studium biblijne

2000 - szczyt w Camp David; rozpoczyna się druga intifada (Intifada Al-Aksa)

2001 - zamach samobójczy na skrzyżowaniu French Hill; zamachy w dyskotecie „Delfinarium” i pizzerii Sbarro; Izraelczycy likwidują sekretarza generalnego LFWP Abu Ali Mustafę; izraelski minister turystyki Rehawam Zewi ginie w zamachu przeprowadzonym przez bojowników z LFWP

2002 - Izrael rozpoczyna operację „Tarcza ochronna”; dziewięć osób ginie w zamachu na Uniwersytecie Hebrajskim; Musab i jego ojciec aresztowani i uwięzieni

2003 - wojska koalicji zachodniej wyzwalają Irak; terroryści z Hamasu: Salih Talahma, Hasanin Rumana i Sajjid asz-Szajch Kasam giną z rąk Izraelczyków

2004 - śmierć Jasira Arafata; Hasan Jusuf zwolniony z więzienia

2005 - chrzest Musaba; zerwanie rozejmu między Hamasem i Izraelem; trzecie aresztowanie i uwięzienie Musaba; Musab zwolniony z więzienia

2006 - Ismail Hanija wybrany premierem Palestyny

2007 - Musab opuszcza Terytoria Okupowane i wyjeżdża do Ameryki

PRZYPISY

¹ Data i okoliczności, w których doszło do założenia Hamasu, do tej pory nie były powszechnie znane. Większość dostępnych relacji na ten temat zawiera liczne nieścisłości. Na przykład w Wikipedii podaje się błędnie, że „Hamas został utworzony w 1987 roku, na początku pierwszej intifady, przez szajcha Ahmada Jasina, Abd al-Aziza ar-Rantisiego i Muhammada Tahę z palestyńskiego oddziału Bractwa Muzułmańskiego”. Autorzy noty wymieniają prawidłowo tylko dwa nazwiska z grona siedmiu założycieli Hamasu i błędnie przesuwają datę powstania organizacji o jeden rok. Zob. <http://en.wikipedia.org/wiki/Hamas> (dostęp: 20 listopada 2009 r.).

Na stronie MidEastWeb można z kolei znaleźć następującą informację: „Hamas został utworzony w lutym 1988 roku w celu włączenia Bractwa w pierwszą intifadę. Założycielami Hamasu byli: Ahmad Jasin, Abd al-Fatah Dukhan, Muhammad Szama, Ibrahim al-Jazuri, Isa an-Nadżdżar, Salah Szehada (z Bajt Hanun) i Abd al-Aziz Rantisi. Wśród założycieli wymienia się także Dr. Mahmuda Zahara. Pozostali przywódcy to: szajch Chalil Kawka, Isa al-Aszar, Musa Abu Marzuk, Ibrahim Gusza i Chalid Maszal”. Ta nota zawiera jeszcze więcej nieścisłości niż artykuł z Wikipedii. Zob. <http://www.mideastweb.org/hamashistory.htm> (dostęp: 20 listopada 2009 r.).

² Pierwsze głośne porwanie samolotu przez OWP miało miejsce 23 lipca 1968 roku, kiedy działacze LFWP zmusili do lądowania w Algierze załogę Boeinga 707 należącego do linii El Al. Kilkunastu pasażerów izraelskiego pochodzenia i dziesięciu członków załogi wzięto jako zakładników. Nie było ofiar śmiertelnych. Cztery lata później podczas olimpiady w Monachium w ataku terrorystycznym inspirowanym przez OWP zginęło jedenastu sportowców izraelskich. 11 marca 1978 roku bojownicy Fatah podpłynęli łodzią na północ od Tel Awiwu, porwali autobus i przypuścili atak w rejonie autostrady przybrzeżnej, zabijając prawie czterdzieści osób i raniąc ponad siedemdziesiąt.

Organizacja rekrutowała członków także w Jordanii wśród uchodźców palestyńskich, którzy stanowili dwie trzecie ludności kraju. Dzięki pieniądзом płynącym z innych krajów arabskich OWP była wkrótce silniejsza i lepiej uzbrojona niż jordańska armia i policja. Istniało realne zagrożenie, że przywódca OWP Jasir Arafat przejmie kontrolę nad Jordanią i ustanowi w niej państwo palestyńskie.

Król Jordanii Husajn musiał działać szybko i zdecydowanie. Wiele lat później dzięki kontaktom z izraelską służbą bezpieczeństwa dowiedziałem się, że Husajn zawarł wówczas z Izraelem tajny sojusz, mimo że pozostałe kraje arabskie dążyły do zniszczenia Izraela. Było to logiczne posunięcie, ponieważ Husajnowi nie udało się zachować władzy bez pomocy z zewnątrz, natomiast Izrael nie byłby w stanie skutecznie zabezpieczyć długiej granicy z Jordanią. Gdyby informacja o tym sojuszu przedostała się jednak do wiadomości publicznej, decyzja Husajna byłaby dla niego politycznym i kulturowym samobójstwem.

W 1970 roku, zanim OWP udało się przejąć władzę w Jordanii, król Husajn rozkazał jej przywódcom i bojownikom opuścić kraj. Gdy odmówili, wyrzucił ich siłą - korzystając z broni dostarczonej przez Izrael. Ta operacja wojskowa wśród Palestyńczyków znana jest jako „Czarny Wrzesień”.

Magazyn „Time” cytował Arafata, zwracającego się wówczas do życzliwych mu przywódców arabskich: „Popelniono masakrę. Tysiące ludzi znajduje się pod gruzami. Ciała gniją. Setki tysięcy znalazło się bez dachu nad głową. Zabici leżą na ulicach. Nasze dzieci, kobiety i starcy giną z głodu i pragnienia” (The Battle Ends; The War Begins, „Time”, 5 października 1970 r.).

Król Husajn zaciągnął wobec Izraela dług, który próbował spłacić w 1973 roku, ostrzegając Jerozolimę, że koalicja arabska pod wodzą Egiptu i Syrii przygotowuje się do ataku. Niestety Izraelczycy nie potraktowali tego ostrzeżenia poważnie. Inwazja rozpoczęła się w święto Jom Kippur, a nieprzygotowany Izrael poniósł ciężkie straty, których można było uniknąć.

Po wydarzeniach Czarnego Września działacze OWP schronili się w Libanie, wciąż osłabionym wojną domową, która pochłonęła wiele ofiar. Tutaj organizacja odbudowała struktury i odzyskała wpływy, rozrastając się do tego stopnia, że w końcu stała się państwem w państwie. Bojownicy OWP korzystali z nowej bazy do prowadzenia wojny pozycyjnej z Izraelem. Bejrut był za słaby, by powstrzymać ciągły ostrzał i liczne ataki

rakietowe wymierzone w północne osiedla żydowskie. Dlatego w 1982 roku Izraelczycy najechali na Liban i po czteromiesięcznej kampanii udało im się wypędzić OWP z tego kraju. Arafat z grupą tysiąca bojowników uciekł do Tunezji. Ale nawet stamtąd OWP kontynuowała ataki i organizowała oddziały bojowników na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy.

³ *Arafat Return: Unity Is 'the Shield of Our People'*, „New York Times”, 2 lipca 1994 r., <http://www.nytimes.com/1994/07/02/world/arafat-in-gaza-arafat-s-return-unity-is-the-shield-of-our-people.html> (dostęp: 23 listopada 2009 r.)

⁴ Leonard Cohen, „First We Take Manhattan”. Copyright 1988 Leonard Cohen Stranger Music, Inc. W przekładzie Macieja Zembatego:

Mój wyrok brzmiał: dwadzieścia lat znużenia.

Tak karzą tych, co system zmienić chcą.

Powracam, niosąc zemstę i zniszczenie

Najpierw wziąć Manhattan, potem Berlin wziąć!

⁵ Izraelskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, „Suicide and Other Bombing Attacks in Israel Since the Declaration of Principles (September 1993)”; The Palestinian Academic Society for the Study of International Affairs, Jerozolima, „Palestine Facts - Palestine Chronology 2000”, http://www.passia.org/palestine_facts/chronolo-gy/2000.html. Zob. także http://www.mfa.gov.il/MFA/MFAArchi-ve/2000_2009/2000/II/Palestinian%20Terrorism-%20Photos%20-%20November%202000.

⁶ Kolejne potwierdzenie tego związku wyszło na jaw rok później, gdy Izrael zaatakował Ram Allah i zajął kwatery główną Arafata. Wśród dokumentów odkryto fakturę datowaną na 16 września 2001 roku, przesłaną przez Brygady Męczenników Al-Aksa do generała brygady Fuada Szubakiego, dyrektora finansowego operacji wojskowych. Faktura miała pokryć koszty materiałów wybuchowych użytych w atakach na miasta w Izraelu i towarzyszył jej wniosek o sfinansowanie produkcji kolejnych bomb oraz druku plakatów propagandowych promujących zamachowców samobójców. Jael Szahar, "Al-Aqsa Martyrs Brigades - A Political Tool with an Edge", 3 kwietnia 2002 r., International Institute for Counter-Terrorism, IDC Herzliya.

⁷ Leonard Cole, *Terror: How Israel Has Coped and What America Can Learn*, Indiana University Press, Bloomington 2007, s. 8.

⁸ „Obituary: Rehavam Zeevi”, BBC News, 17 października 2001 r., http://news.bbc.co.uk/2/hi/middle_east/1603857.stm (dostęp: 24 listopada 2009 r.).

⁹ „Annan Criticizes Israel, Palestinians for Targeting Civilians”, U. N. Wire, 12 marca 2002 r., http://www.unwire.org/unwire/20020312/24582_story.asp (dostęp: 23 października 2009 r.).

¹⁰ Unia Europejska, „Declaration of Barcelona on the Middle East”, 16 marca 2002 r., <http://europa.eu/bulletin/en/200203/iI055.htm>.

¹¹ Pułkownik Dżibril Radżub wykorzystywał stanowisko zwierzchnika służby bezpieczeństwa na Zachodnim Brzegu, wprowadzając do zarządzanej przez siebie instytucji dworskie obyczaje. Jego oficerowie musieli płaszczyć się przed nim i traktować go jak monarchę. Widziałem, jak przygotowywano dla niego śniadanie - stół ugiął się pod ciężarem pięćdziesięciu różnych potraw. Radżub zachowywał się arogancko i lekceważąco, bardziej jak gangster niż przywódca. Gdy Arafat aresztował wielu liderów i członków Hamasu w 1995 roku, Radżub poddał ich okrutnym torturom. Hamas kilkakrotnie groził mu zamachem, dlatego Radżub poruszał się w opancerzonym samochodzie odpornym na kule i eksplozje. Nawet Arafat nie posiadał takiego pojazdu.

¹² Associatet Press, „Palestinian Bombmaker Gets 67 Life Terms”, MSNBC, 30 listopada 2004 r., <http://www.msnbc.msn.com/id/6625081/>.

¹³ Danny Rubinstein, *Hamas Leader: You Cant Get Rid of Us*, „Haaretz”, <http://www.haaretz.com/hasen/pages/ShArt.jhtmlPitemNo=-565084&contrassID=2&subContrassID=4&sbSubContrassID=o>.

¹⁴ „Israel Vows to 'Crush' Hamas after Attack”, Fox News, 25 września 2005, <http://www.foxnews.com/story/0,2933,170304,00.html> (dostęp: 5 października 2009 r.).